



Rosemary Rogers



*Bezdroża
namiętności*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Rosja, 1820

Carskie Sioło

Podróż z Petersburga do Carskiego Sioła była całkiem przyjemnym doświadczeniem w tym krótkim letnim czasie, gdy drogi są suche, a powietrze wypełnia zapach kwiatów polnych i rozgrzanej ziemi. Z tego właśnie powodu dwa dni wcześniej car opuścił stolicę, twierdząc, że taka wspaniała aura to prawdziwy dar niebios umożliwiający chwilę oddechu od obowiązków dworskich. Ostatnio Aleksander Pawłowicz korzystał z każdego pretekstu, żeby uwolnić się od brzemienia władzy, ale sprawa lorda Edmonda Summerville'a należała do tych, których nie dało się odłożyć na później.

Po pokonaniu ostatniej wyniosłości na drodze Edmond skierował czarnego rumaka w aleję wjazdową do Pałacu Katarzyny, większej z dwóch budowli, które roztaczały swój splendor na tle wiejskiego krajobrazu północnej Rosji. Arcydzieło architektury, wzniesione przez żonę Piotra Wielkiego, Katarzynę I, po przebudowie dokonanej przez carycę Katarzynę Wielką, przedstawiało zachwycający widok. Trzypiętrowy korpus, zakończony po obu stronach wąskimi skrzydłami, był pomalowany na żywy błękit, z którym pięknie kontrastował blask pięciu złotych kopuł pokrywających pałacową kaplicę. Wzdłuż fasady frontowej ciągnął się rząd kobiecych figur z brązu, połyskujących w świetle słonecznym.

Edmond nie zwolnił tempa jazdy dopóty, dopóki nie minął połączanej bramy, zamykającej wjazd na dziedziniec, i zatrzymał się dopiero przed głównym wejściem. Na powitanie wybiegł z tuzin lokajów, którzy zajęli się jego koniem i forysiami. Będąc młodszym synem księcia, Edmond nawykł do sprawnej obsługi i ceremoniału godnego członka rodziny królewskiej. Nie

zwracał uwagi na gorliwość służby, tylko pewnym krokiem pokonywał marmurowe schody wiodące do obszernego westybulu.

Na spotkanie wyszedł jeden z najbardziej zaufanych ludzi cara. Dworak ubrany w czarny, złotem szamerowany frak i kamizelkę w paski, byłby na miejscu w każdym londyńskim salonie. Moda europejska była silnie zakorzeniona wśród urzędników dworskich i arystokracji rosyjskiej. Herrick Gerhardt pochodził z Prus.

W Petersburgu pojawił się, gdy miał zaledwie siedemnaście lat. Dzisiaj był starcem z gęstą siwą czupryną i przenikliwymi brązowymi oczami, z których biła inteligencja. Jego miłość do cara była niekwestionowana, ale brakowało mu wszelkich talentów dyplomatycznych.

- Edmondzie, pana przybycie stanowi najbardziej nieoczekiwaną niespodziankę - odezwał się nieskazitelną francuszczyzną, którą posługiwała się cała szlachta rosyjska.

Badawczo wpatrywał się w wyraziste rysy twarzy przybyłego, jego żywe niebieskie oczy kontrastujące z kruczoczarnymi włosami i tej samej barwy wysoko uniesionymi łukami brwiowymi oraz w szerokie usta, na których nie gościł tym razem zwyczajowy czarujący uśmiech. Edmond, syn angielskiego księcia, po matce Rosjance miał wysokie kości policzkowe. W odróżnieniu od starszego o dziesięć minut brata bliźniaka kochał kraj swojej matki.

Witając się z Gerhardtem, skłonił uprzejmie głowę.

- Obawiam się, że będę musiał zająć parę chwil carowi - zapowiedział.

- Jakiś kłopot?

- Czysto osobistej natury. - Niepokój, który ogarnął go po otrzymaniu ostatniego listu od brata, znowu dał o sobie znać. - Muszę bez zwłoki udać się do Anglii.

- To bardzo nieodpowiedni moment na oddalanie się od Jego Carskiej Mości. Zakładano, że pan będzie mu towarzyszył na kongresie w Opawie.

- Niestety, to konieczność.

- Mocno niefortunna. Obaj wiemy, że rośnie nasza nieufność do Metternicha i niezadowolenie z coraz większego wpływu, jaki wywiera na cara. Pana obecność pomogłaby utrzymać księcia na dystans.

Edmond nie potrafił wzbudzić w sobie żalu, że ominie go udział w konferencji Świętego Przymierza*. Choć dobrze się czuł w polityce i nie stronił od intryg, nie cierpiał sztywnej atmosfery oficjalnych spotkań dyplomatycznych. Cóż bardziej nudnego niż obserwowanie, jak nadęci dygnitarze dumnie kroczą w salonach i przypinają sobie nawzajem medale? Poważne rozmowy odbywają się za zamkniętymi drzwiami, nie na widoku publicznym. Ponadto bez przedstawicieli Wielkiej Brytanii czy Francji zjazd od początku był skazany na niepowodzenie.

* Święte Przymierze - sojusz zawarty 26 września 1815 z inicjatywy cara Aleksandra I przez Rosję, Austrię i Prusy. Sygnatariusze zobowiązali się do wspólnej walki z liberalizmem i ruchami rewolucyjnymi oraz w obronie porządku politycznego ustalonego po wojnach napoleońskich na kongresie wiedeńskim. Nazwą Święte Przymierze określano państwa założycielskie, których porozumienie wzmocniała obawa przed polskim ruchem niepodległościowym. W 1820 obradujący w Opawie II kongres Świętego Przymierza zobowiązał uczestników do zwalczania dążenia do reform konstytucyjnych w swych krajach (przyp. tłum.).

- Myślę, że przecenia pan mój wpływ - rzekł.

- Nie. Mam świadomość, że należy pan do grona tych nielicznych, którym Aleksander Pawłowicz ciągle ufa. - Gerhardt posłał Edmondowi chmurne spojrzenie. - Ma pan wyjątkową okazję przysłużenia się ojczyźnie.

- Pochlebia mi pańskie przekonanie, sądzę jednak, że pańska obecność u boku cara zniweczy ambicje Metternicha skuteczniej niż obecność mojej skromnej osoby.

- Niestety, ja będę musiał zostać w kraju. Edmond pozwolił sobie okazać zdziwienie.

Rzadko się zdarzało, by Gerhardt nie towarzyszył carowi podczas ważnych wizyt zagranicą.

- Spodziewa się pan kłopotów?

- Takie niebezpieczeństwo zawsze istnieje, jak długo Arakczejew będzie kierował państwem - odparł, nie kryjąc antypatii do człowieka, który wyrósł tak wysoko mimo skromnego pochodzenia. - Jego miłość do cara jest niekwestionowana, ale on nigdy się nie nauczy, że siłą nie wymusi się lojalności. Siedzimy na beczce prochu, a postępowanie Arakczejewa może być iskrą, która doprowadzi do wybuchu - dodał.

Edmond nie zaprzeczył. Zdawał sobie sprawę z rosnącego niezadowolenia z cara nie tylko wśród pospólstwa, lecz także w kręgach szlachty i arystokracji. Z ciężkim sercem wyjeżdżał w takim niepewnym czasie, ale nie miał wyjścia.

- Jest on... niestety, brutalny wobec poddanych cara - przyznał - ale to jeden z niewielu ministrów, którzy nie zachowują się jak chorągiewka na wietrze.

Gerhardt przysunął się bliżej i zniżonym głosem, żeby nie usłyszeli dwaj lokaje pełniący służbę przy drzwiach, powiedział:

- Dlatego właśnie jest rzeczą ważną, żeby pozostał pan przy Aleksandrze Pawłowiczu. Nie tylko car pana słucha, ale pańscy informatorzy wykryją każde niebezpieczeństwo, zanim oficjalny raport znajdzie się na moim biurku.

Wzmianka Gerhardta o wtyczkach Edmonda w środowiskach przestępczych, w półświatku, wśród cudzoziemskich szpiegów, marynarzy, a nawet wśród arystokracji wywołała uśmiech na jego ustach. Pochodzące od Edmonda informacje miały nieocenioną wartość dla Aleksandra Pawłowicza. Polegali na nich również wszyscy ci, którym leżało na sercu bezpieczeństwo cara.

- Obiecuje, że moi współpracownicy będą z panem w ścisłym kontakcie - rzekł z posepną miną - ale nie mogę odłożyć wyjazdu do Anglii.

Gerhardt zrozumiał, że nie wyperswaduje Edmondowi zamierzonej podróży. Przestał nalegać.

- Bóg z panem.

Edmond uklonił się i pewnym krokiem skierował się ku głównym schodom pałacowym, imponującej marmurowej konstrukcji wznoszącej się na trzy kondygnacje nad westybulem. Wzdłuż ścian eksponowana była kolekcja porcelany chińskiej, jednak na Edmondzie większe wrażenie robiła gra światła słonecznego na naturalnym kamieniu niż wytworzone ręką ludzką wazy i patery. Dobry architekt potrafił tchnąć życie w kamień bez uciekania się do nadmiernej ornamentacji.

Droga wiodła następnie przez Salę Portretową, w której naczelne miejsce wśród wiszących w złoconych ramach obrazów zajmowała podobizna carycy Katarzyny I, i przez kolejny hol prosto do prywatnego gabinetu cara Aleksandra. W odróżnieniu od oficjalnych pomieszczeń władca wybrał dla siebie stosunkowo niewielki, lecz wygodny pokój z widokiem na wspaniałe ogrody. Ignorując gwardzistów przy drzwiach, Edmond wszedł do gabinetu i skłonił się od progu.

- Sire.

Aleksander Pawłowicz siedział za pedantycznie uporządkowanym biurkiem. Uniósł głowę i posłał przybyłemu uśmiech, który pochlebcy określali jako anielski.

- Niech pan wejdzie, Edmondzie - rozkazał po francusku.

Stukając obcasami butów do konnej jazdy po wzorzystym parkiecie, Edmond zajął miejsce na jednym z połączonych mahoniowych foteli i ukradkiem obserwował twarz człowieka, który zasłynął zwycięstwem nad Napoleonem w 1812 roku. Car był imponującej postawy, odziedziczonej po rosyjskich przodkach i choć z czasem stał się nieco otyły, jego twarz zachowała

regularne rysy, upodabniające go do matki. Jasne włosy były już nieco przerzedzone, ale niebieskie oczy patrzyły wciąż tak samo bystro i inteligentnie jak w młodości.

Edmond dostrzegł wyraz pogłębiającej się z roku na rok melancholii na obliczu cara. Ten niegdyś gorliwy idealista, gotów odmieniać los Rosji, pograżał się w defetystycznych nastrojach, stawał się coraz bardziej nieufny wobec siebie i innych, coraz chętniej wycofywał się z życia dworskiego.

- Proszę wybaczyć najście - zaczął spokojnym głosem Edmond.

- Jest wielu, których przybycie potraktowałbym jak najście, ale nie pana, przyjacielu. - Car wskazał dłonią na zawsze obecną tacę z zastawą do herbaty. - Napije się pan?

- Nie, dziękuję. Nie chcę odrywać Waszej Carskiej Mości od pracy.

- Praca i obowiązek. - Aleksander westchnął ciężko, odłożył gęsie pióro i odchylił się do tyłu w fotelu. Jak jego ojciec, car Paweł I, Aleksander preferował prosty mundur wojskowy, którego jedyną ozdobą by krzyż Świętego Jerzego. - Często marzę o tym, żeby wyjść z pałacu i zniknąć w tłumie.

- Odpowiedzialność jest okupiona wysoką ceną - zgodził się Edmond. On również marzył o zgubieniu się wśród tłumu. Prosta, nieskomplikowana egzystencja była rzadkim darem, który tylko nieliczni doceniali jak należy.

- Wielka szkoda, że nie jestem tym, kim pan, Edmondzie. Myślę, że podobałby mi się los młodszego syna, który ma coś do powiedzenia na temat własnego przeznaczenia. Nieraz myślałem o abdykacji i prostym życiu gdzieś nad Renem. - Car uśmiechnął się melancholijnie. - Oczywiście było to niemożliwe. W odróżnieniu od Konstantego*, nie dano mi wyboru, musiałem spełnić swój obowiązek.

* Konstanty Pawłowicz Romanow (1779-1831) był drugim synem cara Pawła I, bratem carów Aleksandra I i Mikołaja I, następcą tronu rosyjskiego w latach 1801-1823. W 1814 roku został naczelnym dowódcą Wojsk Polskich i faktycznym namiestnikiem cara w Polsce. W 1823 roku zrezygnował z praw do

tronu rosyjskiego, przysługujących mu na wypadek śmierci starszego brata. Przyczyną rezygnacji był ślub w 1820 z polską hrabiną Joanną Grudzińską (przyp. tłum.).

- Los młodszego brata ma i złe strony, Sire. Nikomu nie życzyłbym mojego życia.

- Tak, pan bardzo dobrze ukrywa swoje kłopoty, Edmondzie, ale ja zawsze czułem, że pana serce nie zna, co to spokój. Być może któregoś dnia przegna pan prześladowające go demony.

Przenikliwość cara zadziwiła Edmonda, starał się jednak tego nie okazać. Przysiągł sobie nikomu nie wspominać o ranie jątrzącej się w jego sercu.

- Może - odpowiedział wymijająco. - Obawiam się, że jeszcze nie dzisiaj. Przyjechałem prosić Waszą Carską Mość o wybaczenie.

- Tak?

- Muszę wracać do Anglii.

- Coś się wydarzyło?

- Jestem mocno zaniepokojony, Sire. W listach, które otrzymywałem od brata w ciągu ostatnich miesięcy, były wzmianki o pewnych... incydentach świadczących o tym, że ktoś próbuje wyrządzić mu krzywdę.

- Proszę mówić jaśniej - zainteresował się car.

- Strzelano do niego w lesie, co brat zapisał na konto kłusowników, zawalił się most w chwili po tym, jak przejeżdżał nim powóz brata, a ostatnio wybuchł pożar w skrzydle pałacu w Meadowland, w którym mieści się jego sypialnia.

- Pańskie zaniepokojenie jest zrozumiałe. Przypuszczam, że pański brat podjął jakieś kroki, żeby zadbać o swoje bezpieczeństwo?

- Stefan sprawdza się w roli głowy rodziny. Kocha ziemię, jego inwestycje potroiły odziedziczony majątek, dba o tych, których los zależy od niego, czy to o swojego lekkomyślnego brata, czy o najskromniejszego sługę. -

Edmond uśmiechnął się smutno. Choć różni, bracia byli sobie bardzo oddani, zwłaszcza od czasu tragicznego utonięcia obojga rodziców. - Jest jednak bardzo łatwowierny, ufa każdemu i nie jest zdolny do najmniejszego kłamstwa - dodał.

- Zaczynam rozumieć. - Car pokiwał głową.

- Nie chodzi tylko o bezpieczeństwo Stefana. Chcę dostać w swoje ręce tego kogoś, kto kryje się za zamachami, i wytrząsnąć z niego życie - powiedział cichym głosem Edmond.

- Wie pan, kto to jest?

W jednym z listów do Edmonda brat wspominał, że w sąsiedztwie pojawił się kuzyn Howard Summerville, który odwiedził matkę mieszkającą zaledwie kilka mil od rodowej siedziby Huntleyów. Howard, będąc ich najstarszym stryjecznym bratem, mógł odziedziczyć tytuł książęcy, gdyby coś złego przytrafiło się Stefanowi i Edmondowi.

- Mam pewne podejrzenia.

- Ach tak. A zatem pana obowiązkiem jest chronić brata.

- Mam pełną świadomość, że to bardzo zły czas na wyjazd, lecz...

Aleksander przerwał mu, wstając.

- Edmondzie, niech pan jedzie do rodziny - rozkazał. - Po załatwieniu wszystkich spraw powróci pan do Rosji.

Edmond również się podniósł i złożył monarsze głęboki ukłon.

- Dziękuję, Sire.

- Edmondzie?

- Słucham.

- Musi pan wrócić. Pański brat wybrał Anglię, ale rodzina Huntleyów jest winna Rosji jednego ze swoich synów.

- Naturalnie. - Edmond pochylił głowę. Ciekawe, co miałyby do powiedzenia na ten temat angielski król Jerzy IV, pomyślał.

Edmond zostawił w tyle służących oraz powóz i spiął konia, by skrócić czas podróży z Londynu do domu dzieciństwa w Surrey.

Stefan był drobiazgowy, ale w swoich listach poświęcał stanowczo zbyt dużo uwagi sprawom administrowania majątkiem, a za mało sobie samemu. Edmond wiedział więc dokładnie, jakimi zbożami zostały obsiane pola, ale niewiele o tym, co słyhać u brata. Choć bardzo mu było spieszno do domu, nie mógł się oprzeć chęci rozejrzenia się po znajomych okolicach otaczających posiadłość w Meadowland.

Edmond stwierdził ze zdziwieniem, że pamięta każdy zakręt drogi, strumyk przecinający pastwiska, każdy dąb wzdłuż długiej alei wiodącej do domu. Wróciły wspomnienia wspólnych zabaw ze Stefanem w piratów na połyskującym w oddali stawie, pikników z rodzicami w grocie, chowania się przed guwernerami w szklarniach.

Ze ściśniętym sercem mijał obrośniętą bluszczem murowaną bramę do posiadłości, skąd jego oczom ukazał się widok nieregularnej bryły kamiennego dworu, który dominował nad tutejszym krajobrazem od dwustu pięćdziesięciu lat. Domostwo na końcu obsadzonej drzewami alei dojazdowej było wzniesione na oryginalnych fundamentach z czasów Normanów. Dwanaście wielkich wykuszy świeciło rzędami okien, dach wieńczyła kamienna balustrada. Poprzedni książę dobudował galerię portretów, a sprowadzeni z Rosji rzemieślnicy wznieśli dla matki kilka fontann w powiększonym parku.

Edmond otrząsnął się z ogarniających go wspomnień. Nie przybył do Anglii, żeby zagłębiać się w przeszłość czy tracić czas na jej rozpamiętywanie. Przyjechał dla Stefana. Tylko dla niego.

Skierował konia do bocznego wejścia. Chciał uniknąć fanfar, jakie zawsze towarzyszyły jego rzadkim wizytom w siedzibie przodków. Później przywita się z licznym personelem, który uważał bardziej za członków rodziny niż służących, ale na razie chciał się upewnić, czy Stefan jest bezpieczny. Będzie

musiał znaleźć godnego zaufania sojusznika, który powie mu prawdę, co wydarzyło się tu, w Surrey.

Wszedł przez otwarte drzwi tarasowe do gabinetu, w którym brat urządził pracownię malarską. Eleganckie meble, w tym kosztowne biurko matki, zostały zsunięte w najodleglejszy kąt, a cały pokryty perskim dywanem środek był zastawiony rozpiętymi na blejtramach płótnami oraz sztalugami. Edmond uśmiechnął się: po co bratu ta pracownia. Przez ostatnich dwadzieścia lat stworzył zaledwie kilka nieudanych pejzaży.

Kręcąc głową, przeszedł do następnego pokoju, który był gabinetem muzycznym. Tu spotkał go siwowłosy lokaj, który znalazł się w pobliżu marmurowej klatki schodowej, jak gdyby wyczuwając, że ktoś naruszył mir domowy. Stary sługa przez krótką chwilę zastanawiał się, dlaczego księżę Huntley skrada się po własnym domu jak złodziej. Nawet najstarsi służący, którzy znali Stefana i Edmonda od dzieciństwa, mieli trudności z rozpoznawaniem braci.

- Co za miła niespodzianka! - wykrzyknął wreszcie lokaj.

Goodson był prawdziwym skarbem. Skuteczny, dobrze zorganizowany, krótko trzymał podległy mu personel. Edmond cenił najbardziej to, że Goodson działał bezszmerowo. Nigdy nic nie zakłócało spokoju mieszkańców Meadowland. Do ich uszu nie dochodziły żadne odgłosy sprzeczek między służbą, utarczek z nieproszonymi gośćmi przy drzwiach wejściowych czy incydentów słownych podczas rzadkich przyjęć towarzyskich w pałacu.

- Dziękuję, Goodson. Ja też się cieszę, że tu jestem - powiedział Edmond.

- Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej - stwierdził sentencjonalnie lokaj.

Personel nie potrafił zrozumieć, dlaczego Edmond wybrał życie w Rosji. Dla nich był on Anglikiem i synem księcia. Jego miejsce było w Meadowland, a nie w jakimś dziwnym, obcym kraju.

- Chyba masz rację. Księżę w domu?

- Jest w gabinecie. Mam pana zaanonsować?

Oczywiście, Stefan był w gabinecie. Jeśli nie nadzorował prac w polu, to spędzał czas przy biurku.

- Sam pójdę, jeszcze pamiętam drogę.

- Poproszę panią Slater, żeby zaparzyła panom herbatę - odparł lokaj.

Edmondowi ślinka napłynęła do ust. Jadał dania przygotowane przez najszlachetniejszych kucharzy na świecie, ale nic nie mogło się równać z prostą angielską kuchnią pani Slater.

- Poprosisz ją, żeby podała swoje znakomite ciasteczka? Nic równie dobrego od lat nie miałem w ustach.

- Nie muszę prosić. Będzie uszczęśliwiona pańskim powrotem do Meadowland i zrobi wszystko, żeby panu dogodzić. Wie, co pan lubi od czasu, gdy nosił pan krótkie spodenki.

- Goodson?

- Tak, proszę pana?

- W jednym z listów brat wspominał, że pan Howard Summerville złożył wizytę swojej matce.

- To prawda. On i jego rodzina spędzili u pani Summerville kilka tygodni.

Odpowiedź nie zawierała żadnych podtekstów, ale Edmond był pewien, że stary sługa zna dokładną datę przyjazdu Howarda do Surrey. W końcu to do jego nieprzyjemnych obowiązków należało niedopuszczenie tego darmozjada do księcia, którego niechybnie nagabywałby o pieniądze.

- Ile dokładnie?

- Przyjechał tydzień przed Bożym Narodzeniem, a wyjechał dopiero dwunastego września.

- Zabawił poza Londynem raczej długo jak na dżentelmena nawykłego do korzystania z uciech wielkiego miasta, nie uważasz, Goodson?

- To prawda, chyba że wziąć pod uwagę krążące po okolicy plotki.

- A mianowicie?

- Pani Summerville musiała zlikwidować siedzibę w Londynie i ograniczyć wydatki. Opowiadano, że ów dżentelmen nie może się na krok ruszyć z domu, żeby nie oblegali go wierzyciele.

- Wygląda na to, że mój kuzyn okazał się większym głupcem, niż przypuszczałem.

- Istotnie, milordzie.

- Idę do brata. Jak z nim porozmawiam, chciałbym zamienić kilka słów z jego kamerdynerem.

- Powiem Jamesowi, żeby czekał na pana w bibliotece. - Zdziwienie Goodsona nie trwało dłużej niż ułamek sekundy.

- Wolałbym zacisze mojego saloniku. Zakładam, że nie został zamieniony w rozsądek albo zapełniony pod sufit książkami o uprawie roślin.

- Pańskie pokoje są dokładnie w takim stanie, w jakim pan je opuścił. Jego Wysokość polecił, aby były zawsze gotowe na pańskie przybycie.

Edmond uśmiechnął się. To bardzo w stylu brata. Dobrze wiedzieć, że gdzieś człowieka oczekują.

- Poproś Jamesa za godzinę.

- Jak pan sobie życzy.

Edmond wiedział, że Goodson nie tylko sprawi, że James będzie na niego czekał, ale zrobi to tak dyskretnie, że fakt ten nie będzie komentowany w pomieszczeniach dla służby.

Gabinet brata znajdował się na drugim piętrze. Edmond cicho otworzył drzwi wielkiego pokoju wprost zawałonego książkami i segregatorami. Jedyne ciężkie, dębowe biurko było względnie wolne od papierów. Leżał na nim tylko jeden otwarty segregator. Brat siedział za biurkiem.

- Wiesz, Stefan, to nadzwyczajne, że nic się nie zmieniło w Meadowland, włącznie z tobą. Wyobrażałem sobie, że siedzisz w tym właśnie miejscu, pochylony nad raportem kwartalnym, w tym samym niebieskim surducie od dnia, w którym cię nad nim zostawiłem.

Stefan uniósł ciemną głowę znad papierów i dłuższy czas przypatrywał się bratu.

- Edmond?

- We własnej osobie.

Stefan zerwał się z fotela, by uściskać brata.

- Jakże się cieszę, że cię widzę!

Uczucia Edmonda wobec brata nie były skomplikowane. Był on jedyną osobą, którą naprawdę kochał.

- Ja także, wierz mi.

Obaj byli do siebie łącząco podobni. Ktoś spostrzegawczy mógł wszak zauważyć, że oliwkowa karnacja Stefana była odrobinę ciemniejsza, gdyż spędzał dużo czasu na powietrzu, doglądając dzierżawców, a w jego błękitnych oczach gościł wyraz naiwnej ufności, niespotykany u Edmonda. Gęste, ciemne włosy wily się jednakowo u obu braci, zaś wysokie i szczupłe sylwetki były nie do odróżnienia.

Jako dzieci z upodobaniem zamieniali się rolami, wprowadzając w stan konfuzji wszystkich dorosłych, z wyjątkiem rodziców oraz towarzyski zabaw dziecięcych, sąsiadki, Brianny Quinn. Ta mała psotnica o jasnych włosach bezbłędnie odróżniała Stefana od Edmonda.

- Zapewniam cię, że liczy sobie więcej niż trzy lub cztery sezony - powiedział Stefan, wygładzając niebieski surdut.

- Stawiam tysiąc funtów, że co innego usłyszałbym od twojego kamerdynera - odparł ze śmiechem Edmond.

- No cóż, nigdy nie byłem takim modnisiem jak ty - odparł Stefan, obrzucając pełnym uznania spojrzeniem surdut w kolorze owocu morwy i srebrną kamizelkę Edmonda.

- W odróżnieniu od bezużytecznego brata zawsze miałeś daleko poważniejsze sprawy na głowie niż krój surduta i fason butów. Między innymi dzięki temu mogę żyć w luksusie.

- Nie uznawałbym anioła stróża Jego Carskiej Mości za osobę bezużyteczną - zaprotestował Stefan.

- Powiadasz, anioła stróża? Mylisz się, jestem niepoprawnym grzesznikiem, hulaką i awanturnikiem, który unika stryczka tylko dlatego, że ma księcia za brata.

- Mów, co chcesz, mnie nie zwiedziesz.

- Zakładasz dobre intencje ludzi, nawet swojego nic niewartego brata. Słuchaj, wiem, że pani Slater szykuje poczęstunek, ale prawdę mówiąc, miałbym chęć na łyceczek tej irlandzkiej whisky, którą trzymasz schowaną w szufladzie.

- Oczywiście.

Stefan wyciągnął butelkę i dwie szklaneczki. Nalał solidną porcję bursztynowego płynu do każdej z nich, jedną wręczył Edmondowi, drugą wziął do ręki i usiadł za biurkiem.

- Ach, doskonała! - orzekł Edmond po tym, jak wlał całą zawartość szklaneczki do gardła. - Ten pokój pachnie Anglią - dodał.

- A jak pachnie Anglia?

- Nawoskowanym drewnem, skórzanymi meblami i wilgotnym powietrzem. Ten zapach nigdy się nie zmienia.

- Może i nie. Mnie to podnosi na duchu. Ja, Edmondzie, nie szukam ciągle nowych przygód. Wolę mniej efektowną, nudną egzystencję.

- Muszę ci coś wyznać. Cieszę się, że nic nie zmieniłeś w Meadowland. Lubię wiedzieć, że kiedy tu wrócę, wszystko będzie dokładnie takie, jak zapamiętałem. - Zaświeciły mu się przekornie oczy. - Oczywiście, kiedy się ożenisz, zostaniesz zmuszony do przeprowadzenia renowacji. Kochamy ten stary dom z dymiącymi kominkami, ciekącymi dachami i starymi meblami, ale żadna światowa kobieta nie zechce żyć w takiej mizerii.

Stefan nie zareagował na prowokację.

- To właśnie powód, dla którego wciąż się nie żenię - odparł.

Nie brał do serca aluzji dotyczących jego kawalerskiego stanu. O brak kandydatek na żonę nie musiał się martwić. Wiele panien chętnie skorzystałoby z możliwości zostania księżną Huntley.

- Nie mógłbym znieść myśli o zmianach w moim ukochanym domu - dodał.

- Bardziej prawdopodobne, że czekasz na miłość, a kiedy ją spotkasz, będziesz wodzony za nos przez jakąś zupełnie nieodpowiednią pannę.

- Prawdę powiedziawszy, sądziłem, że to ty zakochasz się po uszy w jakiejś uduchowionej lady, która będzie tobą kręciła, jak zechce. Byłaby to sprawiedliwa kara za spustoszenie, jakiego dokonujesz wśród płci pięknej.

- *Mon Dieu**, nawet ja nie zasługuję na taki potworny los - odrzekł.

Stefan zachichotał. Miał w tej sprawie własne zdanie.

- Jakie wieści przywozisz z Rosji?

- Wiesz co, Stefan? Bardziej interesujące jest to, co dzieje się w Meadowland.

** Mon Dieu (franc.) - mój Boże! (przyp. tłum.).*

Do swojego saloniku Edmond przyszedł dwie godziny później.

Goodson nie kłamał. Na marmurowej półce nad kominkiem stały świeże kwiaty. Pokój wyglądał tak, jakby jego lokator nigdy go nie opuszczał.

Przy jednym z okien wychodzących na pobliski staw stał korpulentny kamerdyner jego brata.

- James, dziękuję, że przyszedłeś.

- Milordzie, bardzo cieszymy się, że pan przyjechał. - Lokaj, który służył u Stefana dobrych dziesięć lat, skłonił się głęboko. - Jego Wysokość ogromnie za panem tęsknił. - James ukradkiem zlustrował elegancki ubiór Edmonda. - Byłbym szczęśliwy móc panu służyć, gdy pozwolą mi na to obowiązki względem pana brata...

- Nie ma potrzeby. Mój służący przyjedzie wraz z bagażami przed nadejściem nocy - przerwał mu Edmond. - Od ciebie spodziewam się informacji.

- Informacji? - zmieszał się James.

- Opowiedz mi nawet z najmniej istotnymi szczegółami, czy i kiedy było zagrożone życie mojego brata.

Służący postąpił w kierunku Edmonda i nieoczekiwanie padł na kolana.

- Próbowałem przekonać Jego Wysokość, że jest w niebezpieczeństwie, ale uparcie odrzucał myśl, iż ktoś mógłby chcieć wyrządzić mu krzywdę.

- Właśnie dlatego wróciłem. Nie jestem taki naiwny jak Stefan i nie lekceważę oczywistych prób zamachu na jego życie. Możesz być pewien, że nie spocznę, aż odkryję, kto za tym stoi.



ROZDZIAŁ DRUGI

Wąski szeregowy dom przy Curzon Street oddzielała od ulicy żeliwna balustrada. Fasada nie wyróżniała się niczym nadzwyczajnym. Wnętrze, niegdyś wytworne, zajmował od frontu salon, za którym znajdowała się okazała jadalnia. Obecnie pokoje te były wypełnione niezbyt gustownymi meblami w „egipskim” stylu. Całości dopełniały sarkofag i mumia, wzbudzające przestrasz niejednego gościa. Generalnie, panował tu przesadny przepych, wiele mówiący o właścicielu, jednym z tych dorobkiewiczów, którzy mają więcej pieniędzy niż dobrego smaku. Zaletą domu był dobrze utrzymany ogród na tyłach domu, którego dodatkową atrakcją była niewielka grota, gdzie można było znaleźć schronienie przed ciekawskim wzrokiem osób niepowołanych.

Stojąc przy wąskim otworze okiennym groty, z którego widać było tylne wejście do domu, młoda kobieta przyciskała dłoń do brzucha, jakby chciała w ten sposób uspokoić jego nerwowe skurcze. Trzymała się w cieniu. Z upiętymi w skromny węzeł na czubku głowy lokami, w ciężkiej, czarnej pelerynie okrywającej drobne ciało, bardziej odpowiedniej na zimę niż na ten ciepły, październikowy wieczór, wyglądała bardzo niepozornie. Takie z całą pewnością było jej zamierzenie, gdy rano opuszczała swoje pokoje.

Niestety, nic nie mogło zamaskować pięknych rysów twarzy, w której dominowały lekko skośne, ocienione gęstymi rzęsami zielone oczy i pełne, wyraziście zarysowane usta. Nade wszystko nie dawał się ukryć niespotykany odcień jasnych włosów, przetykanych srebrnymi pasemkami, podkreślający doskonałą, koloru kości słoniowej karnację.

W tej chwili dziewczyna oddałaby wszystko, żeby pozostać niewidzialna dla mężczyzn. Zwłaszcza dla jednego. Znajome skrzypnięcie tylnych drzwi domu wyrwało młodą kobietę z czarnych myśli, które ją trapiły. Gwizdnęła cicho, żeby dać znać służącej o swojej obecności.

- Janet! - zawołała. - Jestem w grocie.

Pulchna służąca, odziana w skromną szarą suknię i biały czepek ukrywający ciemne włosy, rozejrzała się po ogrodzie, po czym pospieszyła do groty.

- Ależ mnie panienka przestraszyła - rzekła, przyciskając rękę do obfitego biustu.

- Pan Wade wrócił wcześniej z klubu, nie mogłam ryzykować, że nas podsłucha - szepnęła Brianna Quinn.

Janet skrzywiła się z wyraźnym obrzydzeniem. Taki wyraz towarzyszył większości kobiet, gdy mówiły o Thomasie Wadzie.

- Zawsze się skrada. Patrzy na panienkę jak głodny kot na mysz.

Brianna zadrżała i westchnęła ciężko. Panikowała, a przecież musi zachować przytomność umysłu i dobrze zaplanować ucieczkę.

- Wkrótce odkryje, że ja nie jestem żadną myszą! - powiedziała zapalczywie. - Niech się dzieje, co chce, ale przed końcem tygodnia uwolnię się od kurateli ojczyma.

- Jeśli o to chodzi... - Janet schyliła przepraszająco głowę, wyciągając z kieszeni fartucha welinową kopertę, którą Brianna wręczyła jej rano.

Brianna nie mogła uwierzyć. W poprzednim tygodniu wysyłała list za listem do londyńskiego domu Stefana. Kiedy dowiedziała się, że ten odludek przyjechał do miasta, była pewna, że właśnie on ją ocali. Nie otrzymawszy odpowiedzi, posłała służącą, aby doręczyła mu pismo osobiście. Przypuszczała, że albo nie dostał jej listów, albo nie miał możliwości przeczytania ich. Nie mogła uwierzyć, że Stefan z rozmysłem ignorował jej wołanie o pomoc.

- Nie rozmawiałaś z księciem?

- Nie tylko nie mogłam z nim porozmawiać, ale nie pozwolono mi nawet zostawić listu.

- Dlaczego?

- Drzwi otworzył jakiś zwałisty służący. Patrzył na mnie jak na śmieć podrzucony na progu i kazał wracać, skąd przyszedłam. Nawet nie powiedział „do widzenia”.

Janet była mocno zde gustowana. Rówieśniczka Brianny, tak jak i ona miała dwadzieścia dwa lata, ale, w odróżnieniu od swojej pani, nie należała do delikatnych istot. Brianna była raz świadkiem, jak omal nie zatłukła na śmierć parasolką jakiegoś pijanego marynarza za to, że ośmielił się uszczypnąć ją w pośladek.

- Ten drań nie chciał wziąć listu panienki do Jego Wysokości. Powiedział, że pan przyjechał do miasta w interesach i nikogo nie przyjmuje, po czym zamknął mi przed nosem drzwi. Bydlak.

Brianna była zadziwiona. Dobrze znała służbę Huntleyów, gdyż większość z nich pracowała dla rodziny księcia jeszcze przed śmiercią jej ojca. Nie przypominała sobie nikogo, kto pasowałby do opisu Janet.

- Jak wyglądał ten lokaj?

- Wielki i tęgi. Miał złą twarz i gęste jasne włosy. Mógłby nawet się podobać takiej, która lubi mężczyzn przypominających byki. Aha, i miał śmieszny akcent. Nie jest Anglikiem, to pewne.

- Dziwne. Nie wygląda mi to na Goodsona.

- Kogo?

- Kamerdynera księcia. O ile wiem, w Meadowland nigdy nie zatrudniano cudzoziemców. Ich personel nie zmienia się od lat.

- Ten wyglądał bardziej na zbrodniarza niż służącego, jeśli panienka chce wiedzieć.

- Nic nie rozumiem, Janet. Stefan nigdy nie zlekceważyłby mojej prośby o pomoc, chyba że bardzo zmienił się przez ostatnie lata. Na litość boską, przecież ojciec uczynił go jednym z moich opiekunów prawnych.

- Co panienka zamierza? Jeśli nawet nie może porozmawiać z księciem...

Brianna przemierzała grotę wzdłuż i wszerz, słyhać było tylko szelest czarnej krepy peleryny. Nagle zatrzymała się, zaciskając pięści.

- Porozmawiam z nim. Nawet gdybym musiała osobiście szturmować drzwi jego domu.

- Nie może panienka tego zrobić. Wybuchłby skandal.

- Wolę skandal, niż dać się wywieźć ojczymowi w jakieś ustronne miejsce - syknęła Brianna. Nie chciała nawet spróbować wyobrazić sobie, co by się stało, gdyby Thomas Wade zdołał umieścić ją w odizolowanym od świata domku myśliwskim.

- Zaraz, coś sobie przypomniałam.

- Co takiego?

- Gdy próbowałam wejść do domu księcia, przyszedł posłaniec z paczką dla Jego Wysokości.

- I co?

- W paczce były domino i maska zamówione przez księcia.

- Zatem on wybiera się na maskaradę.

- I to niebawem.

Służący obsztorcował chłopaka za spóźnienie i narzekał, że nie starczy czasu na poprawki, jeśli księżę ich zażąda.

- A więc maskarada odbywa się dzisiaj.

Dochodziła jedenasta wieczór, gdy ruch w domu ustał na tyle, że Brianna mogła niepostrzeżenie się wymknąć tylnymi drzwiami i ciemnymi ulicami dotrzeć do okazałego budynku, w którym odbywał się tak zwany doroczny bal maskowy kurtyzan.

Budowla wcale nie wyglądała na miejsce schadzek panów z wyższych sfer z kobietami lekkiego prowadzenia. Wyróżniała się gustowną fasadą z czerwonej cegły i wspartym na jońskich kolumnach eleganckim portykiem. Organizatorem balu był lord Blackwell.

Sznur powozów oczekujących na swoją kolej i ciżba noszących maseczki dżentelmenów przy wejściu świadczyły o tym, że uroczystość cieszyła się powodzeniem wśród męskiej części londyńskiej socjety.

- Nie podoba mi się to, panienko - szepnęła Janet. - Powinnam zostać przy paniencie na wypadek kłopotów.

Brianna otuliła się szczelniej dominem. Znalazła ten czarny, podbity srebrnym jedwabiem płaszcz i czarną maskę z piór w matczym kufrze na strychu i pomyślała, że los każe jej podjąć ryzyko. Strój uzupełniała jasnoróżowa balowa suknia z jedwabnej satyny, obszyta czarnymi i srebrnymi galonami u dołu i wokół wycięcia stanika.

Tak ubrana stała teraz przed domem i na myśl o wejściu do środka i wmieszanu się w tłum rozochoconych dżentelmenów i kobiet podejrzanego konduity poczęły się jej dłonie i trzęsły kolana. A jeśli zostanie rozpoznana? Albo gorzej, jeśli będzie nagabywana, zanim odnajdzie Stefana, zakładając, że on tu przybył?

- Nonsens. Powinnaś wrócić do domu i zadbać o to, że by Thomas nie zorientował się, że nie ma mnie w sypialni.

Brianna ścisnęła rękę służącej. Nawet nie wiedziała, że stać ją na tyle odwagi.

- To nie miejsce dla damy. Na takie bale przychodzą tylko dziwki.

- Nikt mnie nie zobaczy. - Głos Brianny brzmiał o wiele pewniej, niż wskazywałby na to stan jej nerwów. - Poza tym słyszałam, że wiele pań z dobrego towarzystwa bywa na takich maskaradach. Oczywiście incognito.

- Ale nie panny z dobrych domów - nie ustępowała Janet.

- Nie stać mnie dłużej na zachowanie godne panny z dobrego domu, Janet. Jeśli nie przekonam Stefana, żeby wziął mnie pod opiekę, będę zmuszona uciec w świat na własną rękę. W takim przypadku udział w maskaradzie nie będzie moim największym zmartwieniem.

Za trzy dni Brianna miała się znaleźć na odludziu w Norfolk. A tam nie już nie powstrzyma Thomasa Wade'a przed uwiedzeniem pasierbicy.

- Proszę obiecać, że panienka będzie ostrożna - przestrzegła zrezygnowana Janet. - Jak panowie sobie podpisują, są skłonni do kłopotliwych zachowań.

- Zachowam największą ostrożność, zapewniam cię. Janet, wiele zależy od ciebie. Nikt nie może się dowiedzieć, że nie jestem w łóżku i nie śpię.

- Nikt się nie prześliznie przez próg pani sypialni, obiecuję.

- Wrócę, jak tylko porozmawiam ze Stefanem.

- Życzę szczęścia, panienko.

- Miejmy nadzieję, że nie będę go potrzebowała.

Brianna odczekała, aż służąca się oddali, i zebrała się w sobie, aby przejść na drugą stronę zatłoczonej ulicy, bezpośrednio pod dom. Czowała się niemal jak naga wśród mężczyzn tłoczących się na schodach wejściowych. Rozum uspokajał, że w przebraniu i masce nikt jej nie rozpozna, zwłaszcza że dotąd nie bywała w wielkim świecie. Mimo to wydawało się Briannie, że wszystkie spojrzenia były skierowane w jej stronę.

W gruncie rzeczy, tak właśnie było.

Chociaż związała włosy w ciasny węzeł nad karkiem, w sztucznym oświetleniu lśniły, a maska nie ukrywała skośnych zielonych oczu i pełnych, jakby złożonych do pocałunku ust. Z pochyloną głową przesuwała się do przodu, gdy nagle, już w drzwiach, ktoś uchwycił ją za ramię i zmusił do zatrzymania się.

- A ty dokąd? - usłyszała męski głos.

Napotkała spojrzenie lokaja w liberii. Serce podeszło jej do gardła.

- Ja... ja idę na bal.

- I myślisz, że możesz paradować jak królowa? Może mają cię jeszcze anonsować?

Lokaj zepchnął Briannę ze schodów.

- Kuchennymi drzwiami, pannico. Frontowe są przeznaczone dla dżentelmenów.

Brianna pospieszyła w stronę tylnego wejścia. Delikatne haftowane pantofelki przemokły na wilgotnej trawie. Odnalazła wąskie drzwi, przez które gospodyni przepuściła ją kuchennymi schodami do salonu bogato udekorowanego złożonymi sztukateriami, o ścianach wybitych karmazynowym jedwabiem, z którym pięknie kontrastował żyłkowany marmur kominków. W wyfroterowanym na wysoki połysk parkiecie podłogi odbijało się światło kryształowych żyrandoli. Ustawione wzdłuż ścian stoły ugiwały się od wykwintnych potraw i mrożonego szampana.

Osiągnęła swój cel, ale odnalezienie Stefana nie było takie proste jak przypuszczała. Salon i przyległe pokoje wypełniały setki gości - wszyscy w dominach i maskach przemieszczali się nieustannie z miejsca na miejsce lub siedzieli na kanapkach i fotelach ustawionych w płytkich wnękach. Z dali dobiegały dźwięki kwartetu skrzypcowego, ale poprzez gwar rozmów i chichotów trudno było rozpoznać, co grali muzycy. Brianna domyśliła się, że utwory Mozarta.

W normalnych warunkach byłaby zgorszona widokiem kobiet, które rozchyłały domina, żeby pokazać, że nie miały pod spodem nic poza koronkowymi gorsetami, a także mężczyzn, którzy bez ceremonii obmacywali wystawiane na pokaz wdzięki. Brianna była niewinną panią nienawykłą do takich zachowań. Jednak była zbyt zaabsorbowana poszukiwaniem księcia Huntleya, by zwracać uwagę na takie sceny. Nie przyszło też jej do głowy, dlaczego tak subtelny i skromny człowiek jak Stefan obracał się w tym wulgarnym towarzystwie.

Znalazła się na środku salonu, gdy podeszła do niej rosła kobieta o obfitych kształtach, których Briannie brakowało.

- Hej, ty, nie rozpychaj się, wystarczy gości dla wszystkich.

- Szukam księcia Huntleya - odezwała się niezrażona Brianna.

- Co ty powiesz! Myślisz, że twoja wyszukana wymowa zrobi na nim wrażenie?

- Wiesz, gdzie go znajdę?

- Słyszałam, że zasiadł do kart. Woli hazard od dziewcząt.

- Dzięki Bogu - mruknęła do siebie Brianna.

- Co ty tam mówisz?

- Pytałam, gdzie są pokoje ze stolikami karcianymi.

- Na końcu korytarza, po lewej.

- Dziękuję.

Brianna ruszyła w stronę wyjścia z salonu, gdy nieoczekiwanie czyjeś silne męskie ramię objęło ją w talii. Stłumiła okrzyk przestrawu.

- Dokąd ci tak spieszno? - usłyszała, gdy próbowała się wyrwać.

- Jestem umówiona - odparła, usiłując naśladować sposób mówienia innych kobiet.

- Mam na ciebie chętkę.

Brianna zebrała wszystkie siły i kopnęła napastnika w goleń. Zawył z bólu.

- Mówiłam, że mam spotkanie z innym.

- Ty dziwko!

Dała nurka w otwarte drzwi. Na szczęście z powodu ścisku w salonie nieznajomy nie mógł rzucić się za nią w pogoń. Dziękując Bogu za ocalenie, ruszyła w głąb wyłożonego grubym chodnikiem korytarza w stronę pokoju karcianego.

ROZDZIAŁ TRZECI

W zadymionym pokoju karcianym Edmond starannie maskował zniecierpliwienie. Jak przewidywał, nie było łatwo przekonać upartego brata, że jest w niebezpieczeństwie. Stefan, choć otwarty na argumenty, uporczywie wzbraniał się przed uznaniem, że ktoś dybie na jego dziedzictwo, a zwłaszcza najbliższy kuzyn. Potem nastąpiła kolejna batalia w związku z realizacją pomysłu Edmonda. Chciał wyjechać do Londynu, udając Stefana, i w ten sposób odwrócić niebezpieczeństwo od Meadowland, a być może wywabić złoczyńcę z ukrycia. Ileż to razy Edmond musiał przekonywać brata, że tylko on poradzi sobie ze zdemaskowaniem wroga i tylko on zmieni myśliwego w zwierzynę łowną. Rozstrzygnął argument, że swoim uporem Stefan może wystawić na niebezpieczeństwo służbę i dzierżawców z Meadowland, wszak ktoś gotowy zamordować księcia nie zawaha się zabić prostego człowieka, jeśli stanie na jego drodze. Dopiero wtedy Stefan ugiął się i zaakceptował plan Edmonda.

Mimo to upłynęły jeszcze dwa tygodnie, zanim Edmond mógł wreszcie opuścić Meadowland i udając brata, zatrzymał się w jego londyńskiej siedzibie, Huntley House. Kolejny tydzień zajęło zastąpienie personelu Stefana jego własnymi służącymi. Jeśli miał stanowić przynętę dla mordercy, musiał otoczyć się ludźmi wyszkolonymi do ochrony.

Wyśledzenie Howarda Summerville'a nie było trudne. Wystarczyło się zorientować, kiedy odbywa się najbardziej skandaliczne i wulgarne wydarzenie w kalendarzu imprez towarzyskich w Londynie, czyli bal maskowy kurtyzan, organizowany przez lorda Blackwella. Edmond nie rozczarował się. Natychmiast zlokalizował Howarda przy stoliku karcianym. Teraz należało tylko zadbać o to, żeby kuzyn zauważył jego obecność.

Od dwudziestu minut przechadzał się tam i z powrotem obok krzesła Howarda, aby zwrócić jego uwagę. Obaj ze Stefanem nie należeli do ułomków, ich wysokie postacie rzucały się w oczy, ale żeby nie było najmniejszych

wątpliwości Edmond nie krył złotego sygnetu z herbem Huntleyów, który wsunął na palec.

Inni obecni w zadymionym pokoju natychmiast witali się z nim skinieniem głowy, gdy ich mijał, tylko Howard go nie dostrzegął. Edmond nabral już przekonania, że nie obejdzie się bez odciągnięcia kuzyna od stolika za kołnierz fraka, gdy ten rzucił nagle karty na stół i chwiejąc się, wstał z krzesła. Niemal wpadł na Edmonda, który ucieszył się z takiego obrotu spraw. Spotkanie wyglądało na przypadkowe. Dobrze, że nie musiał trącać kuzyna, aby ten go zauważył. Howard Summerville był rozwiązły, zdeprawowany i odrażający, ale nie był półgłówkiem. Na pewno bez dodatkowej zachęty zacznie się zastanawiać, z jakiego powodu trzymający się dotychczas z dala od świata książe Huntley rzuca się nagle w wir podejrzanych uciech życia londyńskiego.

- To ty, Huntley?

Edmond sztywno kiwnął głową, udając, że nie jest zachwycony spotkaniem. Tak zareagowałby Stefan.

- Co tu robisz? Czy to miejsce stosowne dla para Anglii?

Edmond powstrzymał się od ostrej odpowiedzi. Udawał przecież księcia Huntleya, a Stefan nigdy nie dałby się wyprowadzić z równowagi, chociaż potrafił okazywać rezerwę, gdy był niezadowolony.

- Zauważyłem kilku - odrzekł, spoglądając znacząco w kierunku stolika karcianego.

- Rzeczywiście - przyznał Howard. - Myślałem jednak, że uczestniczysz w bardziej wyrafinowanych rozrywkach, które oferuje Londyn. Prawdę mówiąc, nie sądziłem, że w ogóle bierzesz udział w jakichkolwiek rozrywkach.

- Dlatego tu jestem.

- Nie rozumiem.

- Edmond wrócił na krótko do Meadowland i zażądał, bym wyjechał do Londynu trochę się rozerwać, podczas gdy on dopilnuje majątku. Stwierdził, że

stałem się nudny do granic wytrzymałości, a kiedy on sobie coś ubzdura, nie można mu tego wyperswadować.

- Wyobrażam sobie. Ten twój braciszek to niezłe ziółko. Ostatnim razem, gdy się z nim widziałem, zalazł mi niezłe za skórę. Rosja to odpowiednie miejsce dla niego, z tym jego sercem zimnym jak syberyjska aura. W twoim przypadku miał jednak rację. Zapracowujesz się. Potrzebujesz trochę rozrywki. Dziesiątki razy mówiłem to pani Summerville.

- Doprawdy?

- Żebyś wiedział. To uśmiech losu, że cię tu spotykam.

Edmond bez trudu zgadnął, co teraz nastąpi. Stał nieruchomo ze skrzyżowanymi na piersi ramionami.

- Uśmiech losu? Co masz na myśli?

- Próbowałem skontaktować się z tobą w Meadowland. Parę razy zresztą. Ten hultaj, twój kamerdyner, nie pozwolił mi nawet przekroczyć progu.

- Powiadasz?

- Tak. - Howard był nieco zrażony zdawkowymi odpowiedziami Edmonda. - Eee... miałem ostatnio pewne kłopoty z wierzycielami.

- Czy kiedykolwiek nie miałeś kłopotów z wierzycielami?

- Takie tam drobne. Tym razem, obawiam się, jestem pogrążony. Zastanawiam się nawet nad ucieczką na kontynent, jeśli moja sytuacja się nie poprawi.

Edmond starał się zachować obojętność, chociaż wzbierał w nim gniew. To, że Howard znajdzie się w beznadziejnej sytuacji, było do przewidzenia. Najwidoczniej właśnie to nastąpiło.

- Mimo to trwonisz pieniądze na karty i dziwki. - Edmond wiedział, że tak zareagowałby brat.

- Liczyłem na to, że się odegram.

- Oczywiście.

Nie zwracając uwagi na ironiczny ton Edmonda, Howard brnął dalej.

- Gdybyś rozważył możliwość udzielenia mi niewielkiego wsparcia...

- Chciałbym się upewnić, że cię dobrze rozumiem, kuzynie. Prosisz mnie o pieniądze?

- Tylko tyle, żeby spłacić najpilniejsze długi.

- A jak bardzo jesteś zadłużony?

Nadzieja zapłonęła w ciemnych oczach Howarda, szybko jednak zgasła. Nawet dobroduszny Stefan nigdy mu nie pomagał, wiedząc, że równałoby się to wyrzucaniu pieniędzy w błoto. Howard i tak straciłby uzyskane pieniądze w najbliższej jaskini hazardu.

- Dlaczego cię to interesuje?

Edmond zrozumiał, że posunął się za daleko. Rozejrzał się obojętnie po pokoju.

- Zapytałem tak tylko, z czystej ciekawości. Howard nie krył rozczarowania.

- Powinienem wiedzieć, że prosić ciebie o pomoc to strata czasu. Twoja rodzina zawsze wywyższała się nad moją.

- A ty zawsze nas oskarżałeś o swoje niepowodzenia - rzucił lodowatym tonem Edmond.

- Po prostu nie dopisywało mi szczęście. Każdemu może się zdarzyć... - Howard uciał nagle narzekania i utkwiał zdumiony wzrok w kimś, kto znalazł się za plecami Edmonda. - O, kogo my widzimy?

Poirytowany zachowaniem kuzyna Edmond nie kwapił się, żeby się odwrócić. Ktokolwiek śmiał ingerować w jego prywatną rozmowę z Howardem, powinien zrozumieć, że jego obecność jest niemile widziana.

- Wasza Wysokość, muszę z panem porozmawiać - usłyszał cichy kobiecy głos. Jednocześnie poczuł, że dama ta lekko ciągnie go za rękaw.

- Proszę odejść, nie jestem zainteresowany - odparł zniecierpliwiony i z gniewną miną zlustrował od stóp do głów kobietę w dominie i masce z piór.

Nie dała się odprawić. Edmond zauważył, że jest uderzająco piękna. Maską nie zasłaniała regularnych rysów twarzy i olśniewających zielonych oczu. A włosy... te cudowne jasne włosy nie mogły być naturalne.

- Proszę poświęcić mi parę minut. To dla mnie niezwykle ważne.

Edmond udawał, że bliskość jej pachnącego lawendą ciała nie robi na nim żadnego wrażenia.

- Proszę odejść - powtórzył opryskliwie. - Są tu inni, którzy nie odmówią pani towarzystwa.

- Na przykład ja - wtrącił Howard. Na jego ziemistej twarzy pojawiły się wypieki. - W odróżnieniu od mojego pruderyjnego kuzyna potrafię docenić piękną kobietę.

Młoda dama zignorowała tę propozycję. Stała naprzeciwko Edmonda. Na koloru kości słoniowej twarzy igrało światło świec.

- Proszę, Stefanie, to pilna sprawa... - Skośne zielone oczy rozszerzyły się nagle. - Mój Boże, to nie Ste...

- *Mon Dieu.*

Edmond porwał ją w ramiona i unosząc znad podłogi, zamknął jej usta gwałtownym pocałunkiem.

Pocałunek miał jedynie uciszyć dziewczynę. Zorientowała się, że on nie jest Stefanem. Dopóki nie przypomni sobie, kim ona jest, nie wypuści jej z objęć. Nie cierpiał z powodu tego przymusu. Jej usta były miękkie i słodkie, oddech pachniał miętą, była w tym czysta magia.

- Co ja widzę, Huntley, mówiłeś, że nie jesteś zainteresowany - zaprotestował Howard. - Gdzie idziesz?

Edmond zignorował kuzyna. Nie zwracał również uwagi na pełne podziwu gwizdy pijanych mężczyzn, którzy rozstępowali się przed nim, gdy kierował się ku wyjściu z pokoju, nie odrywając ust od warg dziewczyny. Niósł ją w głąb korytarza i schodami na górę, gdzie znajdowały się sypialnie. Po

wejściu do pierwszego otwartego pokoju zatrzasnął kopniakiem drzwi i ostrożnie postawił dziewczynę na podłodze, nie przestając spijać z jej ust niewypowiedzianej słodyczy, która doprowadzała go niemal do szaleństwa.

Rozgniewała go swoją nieoczekiwaną interwencją, ale gotów był zapomnieć przy niej na chwilę o konieczności ścigania Howarda. Przeczyna, że nieznaną mogłaby mu dać taką pełnię satysfakcji, za którą mężczyźni gotowi są zaprzedać duszę.

Niechętnie oderwał usta od warg dziewczyny, zdjął maskę, pod którą skrywał twarz, i rozejrzał się po pokoju. Wnętrze oświetlone jedynie ogniem płonącym na kominku było niewątpliwie umeblowane z gustem, ale Edmonda interesowało tylko łóżko z baldachimem wspartym na czterech słupkach.

Dziewczyna odgadła jego intencje, bo zaczęła się wyrywać.

- Dostyc tego - syknęła, odpychając się od jego piersi. - Puść mnie, Edmondzie.

Mon Dieu. Znał ten głos. Zdrętwiał.

Zerwał jej z twarzy maskę. Jasne włosy rozsypały się na ramiona.

Brianna Quinn!

Powinien ją rozpoznać w chwili, gdy do niego podeszła. Przez wiele lat była ich sąsiadką, przynajmniej do czasu, kiedy jej matka wyszła ponownie za mąż i obie wyjechały do Londynu.

Chociaż widział Briannę po raz ostatni dziesięć lat temu, tych kocich oczu i jasnych włosów nie dało się zapomnieć. Oczywiście zachował w pamięci drobną, chudą dziewczynkę w poplamionej i rozdartej w wielu miejscach sukience od wspinania się na drzewa, która chętnie chodziła wczesnym rankiem łowić ryby ze Stefanem. Dzisiaj miał przed sobą kobietę o skórze jak krew z mlekiem i zmysłowych ustach, które aż prosiły się o pocałunek.

- Brianna Quinn - rzekł. - Powiniennem wiedzieć. Zawsze pojawiaasz się tam, gdzie nie trzeba.

Zaczerwieniła się. Bez wątpienia przypomniła sobie, jak uciekała przed jego zalotami na stryszek z sianem albo chowała się w szklarni.

- To twoja opinia, bo tylko tobie przychodziły do głowy głupie pomysły, Stefan inaczej się zachowywał.

Zmieniła się nie tylko fizycznie. Jako dziewczynka bała się go, potykała się, gdy na nią patrzył, jąkała się, gdy miała coś powiedzieć w jego obecności. Nazywał ją *ma souris*, myszka. Teraz patrzyła mu śmiało w oczy z dumną miną.

- Gdzie on jest?

Edmond nie próbował jej oszukiwać. Brianna należała do tych nielicznych, którzy bezbłędnie rozróżniali braci.

- Zapewne we własnym łóżku, starannie owinięty kołdrą. Wiesz, jak wcześniej kładzie się spać.

Pobladła.

- W Meadowland?

- Tak.

- Ale... - Urwała zdenerwowana. Widocznie brak Stefana w Londynie pokrzyżował jej plany. - Dlaczego udajesz, że nim jesteś?

Irytowała go. Uniemożliwiła mu dokończenie rozmowy z tym łajdakiem, Howardem. Co więcej, omal go nie zdemaskowała publicznie, a na dodatek obudziła w nim niezdrowe żądze. Czas najwyższy, żeby wytłumaczyła swoją obecność na otoczonej złą sławą maskaradzie.

- A może teraz ja ciebie zapytam, co, u diabła, robi rzekomo przyzwoita młoda dama na balu lorda Blackwella? - zaatakował.

Nie przestraszyła się, jak się tego spodziewał. Podparła się pod boki i chwilę patrzyła nań wyzywająco.

- Nie zamierzam odpowiadać na żadne pytania, dopóki się nie dowiem, dlaczego udajesz księcia Huntleya.

- Mylisz się, *ma souris*. - Naparł na nią ciałem, zmuszając do wycofania się pod ścianę. Nie spuszczał z niej groźnego spojrzenia. - Odpowiesz na wszystkie moje pytania, i to natychmiast.

- Nie zmusisz mnie - syknęła.

Edmond musiał przyznać, acz niechętnie, że mu zaimponowała. Swoją stanowczością kruszył opór niejednego mężczyzny, tymczasem Brianna do-trzymywała mu pola. Przeszła mu chęć ukarania jej za to, że znalazła się w niewłaściwym miejscu, teraz jednak opanowało go zupełnie inne pragnienie. Oczami wyobraźni ujrzał ją nagą na łóżku, które miał za plecami, a siebie obok niej, wypróbowującego ustami smak jej cudownie jasnej, o odcieniu kości słoniowej skóry.

- Chyba nie zapomniałaś, jak niebezpiecznie jest rzucać mi wyzwanie? - zapytał, nacierając na nią udami. Zadrzał, gdy wyczuł poprzez gruby materiał domina, jak doskonale są kształty jej ciała. - Stawiam czoło prowokacjom.

Brianna zrozumiała, co jej grozi.

- Puść mnie, Edmondzie. Roześmiał się szyderczo.

- Powiedz, po co tu przysłaś, bo inaczej otworzę drzwi i ogłoszę wszem i wobec, kim jesteś.

Spodziewał się, że Brianna ugnie się pod groźbą. Nie był przygotowany na to, że zacznie walczyć. Odepchnięcie nie było silne, ale odstąpił od niej i podszedł do drzwi.

- Proszę bardzo, rób, co chcesz, nie mam nic do stracenia - powiedziała, zrzucając domino. Różowa balowa suknia była głęboko wycięta i odsłaniała kształtny biust. Udawała, że nie widzi, jakie wrażenie widok ten zrobił na Edmondzie, i gwałtownym ruchem otworzyła drzwi. - Możesz być pewien, że zacznę krzyczeć, że jesteś oszustem.

Blefowała. Edmond był o tym przekonany. Przecież żadna kobieta nie będzie na tyle nierozsądna, żeby tak lekkomyślnie postawić pod znakiem zapytania swoją przyszłość.

- Spróbujmy - rzekł ze spokojem.

- Dobrze, spróbujmy. - Wyszła na korytarz.

Usłyszeli czyjeś zbliżające się kroki. Nie było wyjścia, Edmond rzucił się w stronę Brianny, wciągnął ją z powrotem do pokoju. Zatrzaskał drzwi i przekreślił klucz w zamku.

- Straciłaś rozum? Będiesz skompromitowana. - Był wściekły.

- Jeśli nie przekonam Stefana, żeby mi pomógł, i tak będę skompromitowana - oznajmiła z pobladłą twarzą.

- Do diabła, o czym ty mówisz?!

- Po pierwsze, żądam, abys mi powiedział, dlaczego udajesz księcia Huntleya.

- Brianno, nie nadużywaj mojej cierpliwości. Po co ci Stefan?

- A jeśli nie powiem, to co? Uderzysz mnie?

Edmond potrafił wydobywać informacje, na których mu zależało, czy to od bandyty, skorumpowanego policjanta, czy pięknej żony ambasadora obcego kraju. Jeśli jedna metoda okazywała się nieskuteczna, odpowiednio zmieniał taktykę. Przestał ścisnąć ramię Brianny, przesunął dłoń po jej ramieniu w górę, w stronę miejsca, gdzie w zgięciu szyi bije puls. Jak jedwabście gładka była jej skóra! Uległ impulsowi, który owładnął nim już podczas pierwszego pocałunku. Nie zważając na nic, zaniósł ją do łóżka.

- Mam lepszy sposób zdobywania tego, na czym mi zależy.

- Edmondzie, co robisz?

- Kiedy tak wypiękniałaś, *ma souris*?

Brianna bezskutecznie próbowała uwolnić się spod jego potężnego ciała.

- Powiedz, po co tu przyszłaś - szepnął, muskając wargami zagłębienie za jej uchem.

- Edmondzie, przestań natychmiast - odpowiedziała szeptem, jednocześnie zaciskając palce na fałdach jego domina.

Z zamkniętymi oczyma wodził ustami po jej twarzy.

- Powiedz.

- Nie.

Przesunął dłonie wzdłuż jej tułowia od wąskiej talii do zachwycająco krągłych piersi.

- Nie przestanę, dopóki nie dowiem się prawdy, zapewniam cię.

- Przyszłam porozmawiać ze Stefanem. Pocałował ją w usta.

- Na temat?

- Stefan jest moim prawnym opiekunem. Chciałabym, żeby powołując się na swoje prawo, odebrał mnie z domu Thomasa Wade'a.

- Twojego ojczyrna?

Edmond nigdy nie miał okazji spotkać mężczyzny, którego poślubiła matka Brianny. Wiedział, że był on synem rzeźnika, nuworyszem, który dorobił się majątku w Indiach Zachodnich. Matka Brianny musiała znaleźć kogoś, kto spłaciłby jej długi karciane, i wyszłaby za mąż nawet za samego Belzebuba, gdyby zaproponował jej taką możliwość.

- Twojego ojczyrna? - powtórzył. - Dlaczego?

- Wolałabym porozmawiać o tym ze Stefanem.

- Nie pytałem cię, co byś wolała, *ma souris*.

- W piątek Thomas Wade wywiezie mnie do Norfolk.

Edmond był zde gustowany. Co za głupota! Czy jest na świecie kobieta, która kierowałaby się nie wyobraźnią, lecz rozsądkiem?

- Wolałaś ryzykować, że będziesz skompromitowana, niż opuścić londyńskie towarzystwo?

Uniosła rękę, żeby uderzyć go w plecy.

- Mam w nosie londyńskie towarzystwo, jesteś podły. Byłabym szczęśliwa, gdyby się okazało, że nie spędzę już ani jednej nocy w tym okropnym mieście.

- W takim razie dlaczego nie chcesz wyjechać do Norfolk?

- Proszę, puść mnie.

Edmond zrozumiał, że to nie jest zwykle damskie przekomarzanie się. Wstał i uwolnił Briannę.

Dreszcz wstrząsnął jej ciałem. Podniosła się z łóżka i uniosła powieki. Zobaczył jej wielkie, przestraszone oczy.

- Ojczym chce mnie wywieźć do domku myśliwskiego, żeby... żeby łatwiej mu było... mnie posiąść.

- Posiąść ciebie?

- Chce mnie zgwałcić... Jesteś zadowolony?

- Na Boga, Brianno! Skąd ten pomysł?

- Od trzech miesięcy pcha się do mojego łóżka.

Powiedziała to drewnianym głosem, ale Edmonda to nie zmyliło. Była na skraju wyczerpania nerwowego.

- Ostrzegłam go, że poskarżę się Stefanowi, jeśli mnie dotknie. Myślałam, że taka groźba wystarczy, ale dwa tygodnie temu poinformował mnie, że kupił domek myśliwski w Norfolk i zamierza tam mnie wywieźć. Oznajmił również, że wynajął dla mnie nową służącą, lojalną tylko wobec niego i ona dopilnuje, bym nie uciekła, bo będę stale zamknięta na klucz w swoim pokoju.

Edmond zerwał się z łóżka. Był wściekły na tego bydlaka, jej ojczyma.

- Dlaczego wcześniej nie skontaktowałaś się ze Stefanem?

Nie spuszczać zeń przerażonego wzroku, wstała z łóżka, osłaniając skrzyżowanymi ramionami obnażony dekolt.

- Napisałam do Stefana, jak tylko Thomas powiadomił mnie o planach wywiezienia z Londynu. Nabrałam nadziei, że przyjdzie mi z pomocą, gdy dowiedziałam się o przyjeździe Stefana do miasta.

Powiedziała to oskarżycielskim tonem. Najwyraźniej miała za złe Edmondowi, że nie mogła liczyć na pomoc Stefana.

- Oczywiście nie skontaktował się ze mną, więc wysłałam kilkanaście listów pod jego londyński adres. Bez odpowiedzi. Kazałam pójść tam swojej pokojówce z ostatnim listem, ale nie pozwolono jej nawet przekroczyć progu.

- Nie płacę Borysowi za hołdowanie londyńskiej etykietce - oznajmił oschle.

- Dlatego musiałam przyjść na ten odrażający bal. Przez ciebie nie spotkałam Stefana.

Edmond nie nawykł do tego, żeby ktoś go karmił. Nawet Aleksander Pawłowicz sobie na to nie pozwalał. Tymczasem Brianna robiła mu wymówki, jakby był niegrzecznym chłopcem. Dziwne, ale nie odczuwał gniewu, tylko fascynację. Brianna Quinn miała charakter, co nieczęsto zdarzało się wśród kobiet z dobrych domów. Nie brakowało jej odwagi, żeby podjąć kroki w celu zniweczenia planów ojczyma, włącznie z przybyciem na otoczoną złą sławą imprezę towarzyską.

- Skontaktuję się ze Stefanem i poinformuję go o twoich kłopotach - obiecał. Nie zamierzał jej mówić, że postanowił po swoim przemówić Thomasowi Wade'owi do rozumu. - Przez ten czas zatrzymasz się u przyjaciół. Chyba masz kogoś zaprzyjaźnionego w Londynie.

- Znam wiele osób w Londynie, ale nikt nie będzie mógł przeszkodzić ojczymowi w wywiezieniu mnie z miasta. Tylko Stefan...

- Tylko Stefan co? - przerwał jej. Zaczynał się niecierpliwić. Chciał wrócić do salonu i odnaleźć Howarda Summerville'a. Tajemnica Brianny wyjaśniła się. Zaspokoił ciekawość.

- Tylko Stefan może mnie ochronić.

- Jestem pewny, że tak. Jak tylko się dowie.

- Ale ja nie mogę czekać. Jesteś w Londynie i udajesz Stefana. Dlaczego nie miałabym wprowadzić się do waszego domu jeszcze dzisiaj?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Edmond patrzył na Briannę ze ściągniętą twarzą. Podziw dla jej odwagi zniknął, zastąpiła go wściekłość. Czy ona myśli, że on jest łatwowiernym, o gołęsim sercu Stefanem i pozwoli się wodzić za nos każdej kobiecie, która stanie na jego drodze? A może wierzy, że zachwyty, jaki okazał dla jej niezrównanie pięknego ciała, daje jej nad nim władzę?

- Chyba żartujesz! - powiedział podniesionym głosem.

Nie cofnęła się.

- Ani trochę. Cały Londyn wie, że księżę Huntley przybył do swojego londyńskiego domu. Dlaczego nie mógłby zaprosić podopiecznej?

- Nawet opiekun prawny, będąc kawalerem, nie może zamieszkać z podopieczną. Będziesz skompromitowana.

- Nie, jeśli zaangażujesz przyzwoitkę - zaproponowała.

Edmond się roześmiał.

- Mam więc zrezygnować z prywatności nie tylko dla bezczelnej podopiecznej, lecz również dla jakiegoś podstarzałego potwora? Postradałaś zmysły, jeśli choć przez chwilę myślałaś o tym serio.

- Wolisz, żeby ojczym wywiózł mnie i zgwałcił?

Dla Wade'a Edmond czuł jedynie wzdarcie.

Wkrótce i tak będzie on martwy. Teraz jednak bardziej niż Wade irytowała go stojąca przed nim młoda kobieta.

- Wkrótce wszystko się wyjaśni.

- Wybacz, ale nie w pełni ufam takim mglistym obietnicom - powiedziała z goryczą. - Chyba zapominasz, że mogę cię zmusić do przyjęcia mnie pod swój dach.

W Edmondzie odezwała się natura drapieżnika gotowego do ataku w chwili niebezpieczeństwa. Uchwycił Briannę za ramiona i przyciągnął do siebie na tyle blisko, że owionął go jej lawendowy zapach.

- Uważaj, nie ulegam szantażowi.

- Nie pozostawiasz mi wyboru - rzuciła przez zaciśnięte zęby. - Albo pozwolisz mi wprowadzić się do waszego domu, albo wrócę do salonu i ogłoszę wszem i wobec, że nie jesteś Stefanem,

- Postradałaś rozum? Straszysz mnie, *ma souris*?

- Nie mam wyjścia. Nie pozostanę ani jednej nocy dłużej pod dachem ojczyma.

Naparł na nią całym ciężarem ciała, aż musiała oprzeć się plecami o drzwi. To miało być ostrzeżenie.

- Myślisz, że jesteś bezpieczniejsza pod moim dachem? - zapytał niskim, gardłowym głosem. Brianna Quinn była upartą, samowolną dziewczyną, ale budziła w nim pożądanie. Nie zachowa niewinności, jeśli znajdzie się w jego domu. - Ja nie jestem dobrodusznym Stefanem. Nie ratuję panienek bez nagrody.

- Nie musisz przypominać, że zawsze byłeś draniem.

- No więc?

- Uzyskam dostęp do odziedziczonego majątku dopiero na wiosnę, ale mam trochę biżuterii...

- Nie potrzebuję ani twoich pieniędzy, ani biżuterii.

- To o jaką nagrodę ci chodzi? - W tym pytaniu ujawniła się cała jej naiwność.

Edmond ostentacyjnie wodził wzrokiem po jej twarzy, szyi, zatrzymał się na dekolcie.

- Nie masz nic do zaoferowania oprócz swoich wdzięków.

Chciała się oburzyć, ale nie zrobiła tego. Edmond odniósł wrażenie, że taka perspektywa nie byłaby jej całkiem niemiła.

- Jesteś nie lepszy niż Thomas - powiedziała drżącym głosem.

Edmond przyszedł na bal, żeby śledzić wroga brata, a nie uwodzić jego podopieczną. Jej problemami powinien zająć się Stefan. Niezależnie od

wszystkiego, zabije Thomasa Wade'a. To postanowione. Dzisiaj wieczorem musiał jednak się skupić na Howardzie Summerville'u.

- Sugeruję, żebyś pozostała z ojczymem, albo znajdź sobie inne lokum - oznajmił, odsuwając Briannę od drzwi, żeby wyjść.

- Przeklęty - syknęła.

- Żadna nowość, *ma souris*. Jestem przeklęty od dawna - rzucił, odwracając się, przez ramię.

Była trzecia na ranem, gdy Brianna z pokojówką wśliznęły się tylną bramą na dziedziniec rezydencji Huntleyów. Dom ojczyma znajdował się tylko kilka przecznic dalej, ale trudno było porównywać obie nieruchomości.

Cały teren należał niegdyś do Opactwa Westminsterskiego, lecz został skonfiskowany przez Henryka VIII. Potem znalazł się w rękach rodziny Curzonów, która nadała mu nazwę Mayfair, gdyż odbywał się tam doroczny wiejski targ. Huntley House został wzniesiony przez Jakuba Stuarta, który gustował w skromnym stylu i kazał zbudować dom z jasnego piaskowca otoczony żeliwnym ogrodzeniem. Wnętrze przedstawiało się jednak o wiele bogaciej.

Będąc dzieckiem, Brianna bywała w domu Huntleyów i pamiętała okazałe schody wiodące na portyk wsparty na marmurowych kolumnach i greckich statuach, stanowiący piękną oprawę dla księcia i księżnej witających nadchodzących gości. Najokazalszą salą domu był neoklasycywny salon, którego sięgające podłogi okna wychodziły na Hyde Park. Splendor tego salonu zawsze onieśmiał Briannę, która bała się uszkodzić jakieś bezcenne dzieło sztuki.

Teraz zamierzała wkraść się do tego domu niczym złodziejka.

Bardziej zdenerwowana, niż była gotowa przyznać, postawiła bagaż na progu i obserwowała pokojówkę, która w słabym świetle księżyca próbowała sforsować zamek u kuchennych drzwi wejściowych.

Znajdowały się w cieniu wnęki, w głębi której ukryte były drzwi. W stajniach i ogrodzie panowała cisza, jakby cała posiadłość była odizolowana od ruchliwego i hałaśliwego Londynu, ale Brianna nie miała złudzeń. Huntley House zatrudniał więcej niż tuzin służących i w każdej chwili ktoś mógł się pojawić.

- Poradzisz sobie, Janet? - zapytała szeptem.

- To całkiem prosty zamek.

- W takim razie na co czekasz?

- Jest panienka pewna, że to rozsądne? Słyszając, co mówiła panienka o tym panu, boję się, że wpadnie panienka z deszczu pod rynnę.

Briannę ogarnęła niepewność.

Kiedy Edmond zostawił ją w sypialni w czasie balu maskowego, stała sparaliżowana strachem, że nie pozostał jej nikt, do kogo mogłaby się zwrócić o pomoc. Wydawało się jej, że jest na straconej pozycji. W końcu zebrała się na odwagę i podjęła decyzję, która może się okazać najbardziej ryzykowną decyzją w jej życiu. Edmond nie chciał jej pomóc, ale udawał Stefana, musi więc wziąć na siebie jego powinności, w tym obowiązek chronienia jej przed Thomasem Wade'em.

Powziąwszy postanowienie, uspokoiła się, wróciła po cichu do domu, obudziła Janet śpiącą w fotelu przy jej pustym łóżku. Dziewczyna nie była zachwycona pomysłem Brianny i mruczając pod nosem, zaczęła jej pomagać w pakowaniu walizek. W niecałą godzinę były gotowe i przemykały ciemnymi ulicami, kryjąc się przed powracającymi do domu z nocnych uciech paniami i panami z londyńskiej socjety. Zatrzymały się na chwilę przy stajniach, żeby upewnić się, że Edmond nie wrócił jeszcze do domu, po czym wśliznęły się do ogrodu, przechodząc obok eleganckich rzeźb ogrodowych i fontanny.

Skoro Edmond nie chciał jej pomóc z własnej woli, będzie musiał to zrobić wbrew sobie, uznała Brianna.

- Edmond to nic dobrego, ale na pewno wolę go od Thomasa Wade'a - powiedziała.

- Jeśli obiecał skontaktować się z księciem, to może trzeba było poczekać...

- Nie mogę ryzykować. Gdyby Thomas zaczął podejrzewać, że zamierzam zbiec, zmusiłby mnie do wyjazdu do Norfolk, zanim zdążyłabym zorganizować pomoc.

- Niestety, to prawda - przyznała z westchnieniem Janet.

- Gotowa jestem zaprzedać duszę diabłu, żeby do tego nie dopuścić.

- Może to właśnie panience grozi - orzekła Janet, wyciągając z kieszeni kawałek drutu.

Pokojówka rzadko wspominała dzieciństwo, ale Brianna wiedziała, że Janet urodziła się w rodzinie, której członkowie trudnili się kradzieżą, i zanim opuściła swoje środowisko, poznała wiele tajemnic złodziejskiego procederu. Jej talenty nieraz się przydawały.

Dało się słyszeć ciche kliknięcie, po nim zgrzyt mechanizmu zamka i drzwi się otwały. Brianna odetchnęła z ulgą. Edmond mógł wrócić w każdej chwili, chciała rozgościć się w rezydencji Huntleyów przed jego powrotem. Podniosła ciężką walizę, wyminęła pokojówkę i pierwsza weszła do kuchni. Jeśli ktoś ze służby wystrzeli do intruza, byłoby sprawiedliwiej, gdyby kula ją dosięgła.

Na szczęście obeszło się bez strzelaniny. Wiązki ziół zwisały z belek pod sufitem, pomiędzy nimi lśniły miedziane rondle, a w potężnym, kamiennym kominie dopalały się poczerńiałe węgle. Zachęcając gestem Janet, Brianna bezszelestnie posuwała się po kamiennej posadzce w głąb domu. Nie spuszczała oczu z drzwi wiodących do pomieszczeń służby. Ominęła olbrzymi drewniany stół, na którym stygł świeżo upieczony chleb i owocowe ciasteczka. Ich przyjemny zapach drażnił nozdrza. Kusilo ją, żeby zjeść jedno ciasteczko, takie

były apetyczne. Opanowała pokusę i przez niskie drzwi skierowała się w stronę kuchennej klatki schodowej.

Jeśli rano nie zostanie wyrzucona na ulicę, będzie mogła delektować się tymi ciasteczkami. Teraz potrzebowała sporo szczęścia, żeby znaleźć drogę do pokoi gościnnych, zanim zostanie przyłapana. Na schodach było ciemno jak w grobowcu. Brianna przeklinała pod nosem, że muszą iść bardzo wolno, ale nie mogły ryzykować potknięcia się i upadku na nierównych, wąskich stopniach.

Dla lepszej orientacji wodziła dłonią po kamiennej ścianie i mozolnie, stopień po stopniu wspiwała się w górę. Zanim znalazły się na trzecim piętrze, zadyszała się i rozboleł ją grzbiet od dźwigania ciężkiej walizy. Zatrzymała się przed drzwiami zamykającymi dostęp do korytarza. Serce podeszło jej z przerażenia do gardła, gdy zaskrzypiały zawiasy owych drzwi. Ten hałas był chyba słyszalny w całym Londynie. Czy zaalarmował służbę? Obie z Janet nasłuchiwały nerwowo. Brianna policzyła do dziesięciu. W domu nikt się nie poruszył, nie było żadnego wołania na alarm. Odetchnęła z ulgą.

Szeroki korytarz oświetlały świece umieszczone w kandelabrze, dzięki czemu widoczne były łuki sklepienia i pomalowane na kolor kości słoniowej gipsowe sztukaterie. Czerwony, niebieski i złoty wzór perskiego dywanu odbijał się w rzędzie luster na ścianach.

Brianna usiłowała przypomnieć sobie usytuowanie pokoi gościnnych, gdy nagle od jednej ze ścian oderwał się wielki cień, który, jak się wkrótce okazało, był potężnym mężczyzną o surowej twarzy i przenikliwych niebieskich oczach. Brianna zamarła ze strachu. Choć mężczyzna był ubrany w liberię Huntleyów, ani przez chwilę nie przypuszczała, że to ktoś ze służby. Wyglądał raczej na żołnierza.

- Co tu się dzieje? - warknął. Miał silny rosyjski akcent. - Co tu robicie?

Musiał to być ów odźwierny, którego spotkała Janet, i sądząc po akcencie, jeden z ludzi Edmonda. Trzeba coś wymyślić.

- Proszę pozwolić, że się przedstawię. - Brianna postawiła walizę i wykonała eleganckie dygnięcie. - Jestem panna Quinn, podopieczna księcia Huntleya. Zatrzymam się tu na kilka dni. A to moja pokojówka. Ona też zostanie.

Sądząc po zdziwionej minie, mężczyzna nie dał jej wiary.

- Nic mi nie wspomniano o podopiecznej. Musicie opuścić dom.

Brianna dumnie uniosła brodę. Może i nie miała w żyłach królewskiej krwi, ale jej ojciec był spokrewniony z hrabią i potrafiła zachować się z godnością, jeśli zachodziła potrzeba. Niekiedy również i wtedy, kiedy nie było takiej potrzeby.

- Z całą pewnością nie wyjdę. To jest teraz mój dom.

- Wyjdzie pani albo panią wyrzucę.

- Śmiałyś dotknąć podopiecznej księcia? - zapytała lodowatym tonem.

- Powiedziano mi, żeby nikogo nie wpuszczać, i postąpię zgodnie z rozkazem.

Zbliżył się. Brianna była przekonana, że zrobi, jak obiecał, nawet gdyby stawiała opór i krzyczała pod niebiosa. Czas najwyższy użyć jedynej broni, w jaką się zaopatrzyła.

- Zanim wykonasz kolejny krok, muszę cię ostrzec, że zostawiłam u przyjaciół list z poleceniem wysłania go do redakcji „London Times”, jeśli z samego rana nie odwołam polecenia. - Starła się, żeby jej głos brzmiał stanowczo.

Podziałało. Służący się zatrzymał. Najwyraźniej uznał, że to nie blef.

- A co mnie obchodzi jakiś list? - zapytał.

- Zawiera informację, że to nie książę Stefan zatrzymał się w londyńskiej rezydencji Huntleyów, lecz jego brat bliźniak, lord Edmond - odparła, uśmiechając się niewinnie. - Nie wątpię, że twój pan będzie zachwycony, gdy rozejdzie się to lotem błyskawicy po całym mieście.

Był zaskoczony.

Korzystając z chwilowej przewagi, Brianna pochwyciła walizkę i skierowała kroki ku najbliższej sypialni.

- Trzeba poczekać do rana, żeby porozmawiać z Edmondem - powiedziała.

Zatrzasnęła drzwi przed nosem rosyjskiemu słudze.

- On gotów udusić panienkę we śnie - biadoliła Janet.

- Bzdury. Edmond jest może zimnym draniem, ale Stefan nigdy by mu nie darował pozbawienia nas życia.

Edmond zajrzał do pokoju i w milczeniu przyglądał się kobiecej sylwetce skulonej na środku wielkiego łóża z baldachimem.

Gdy nad ranem wrócił do domu po kilkugodzinnych bezproduktywnych próbach zlokalizowania Howarda Summerville'a, wprost nie mógł uwierzyć Borysowi, który powiedział mu, że dwie kobiety dostały się do domu i groziły ujawnieniem w „London Times”, iż Edmond udaje Stefana, gdyby Borys je wyrzucił.

Tym razem Brianna Quinn przechytryła go, ale to nie znaczy, że miała wszystkie atuty w ręku. Był zdecydowany udowodnić jej, że drogo zapłaci za to, że stanęła mu na drodze.

Godzinę później wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i przekręcił w zamku zapasowy klucz, który dała mu gospodyni. Zbliżył się bezszelestnie do łóżka. Był boso, w szlafroku narzuconym na nagie ciało.

Zatrzymał się. Napawał się delikatną urodą Brianny. Wysokie czoło, jakby złożone do pocałunku wargi, gęste rzęsy rzucające cień na jasną skórę koloru kości słoniowej. Śpiąca Afrodyta.

Wyciągnął dłoń, żeby dotknąć rozgrzanego snem policzka, ale cofnął ją jak oparzony. Przyszedł tu, żeby się pozbyć nieznośnej dziewczyny, a nie po to, żeby się głębiej zaplątać w jej zdradziecką sieć. Zerwał z niej kołdrę, odsłaniając smukłe ciało, osłonięte jedynie cienką koszulą.

Brianna uniosła powieki, przestraszona widokiem pochylonego nad nią Edmonda.

- Edmond!

- Co widzę! Borys się nie mylił. W nocy w moim domu załęgła się mysz. Próbowала podciągnąć kołdrę pod brodę, ale jej na to nie pozwolił.

- Na Boga! Chcesz, żebym umarła na serce?

- Atak serca to twoje najmniejsze zmartwienie, zapewniam -
zaakcentował wyraźnie słowa. Położył się na łóżku i przyciągnął Briannę do siebie. - Ostrzegałem cię, co się stanie, jeśli znajdziesz się pod moim dachem.

Zesztywniała ze zgrozy, gdy z wprawą doświadczonego uwodziciela zaczął przesuwając dłoń po jej ciele.

- Co robisz?

Zniżył twarz i musnął wargami nagą skórę ramienia Brianny, odsuwając na bok ramiączko koszuli.

- Zgłaszam się po nagrodę. - Wodził ustami po jej szyi.

- Przestań!

Edmond zamknął dłonie na jej piersiach, pocierając kciukami brodawki.

- Podoba ci się, *ma souris*?

- Nie powinieneś tak mnie dotykać - zaprotestowała Brianna, kładąc dłonie na rękach Edmonda, jednak nie podjęła wysiłku, żeby je usunąć.

- A może wolisz to...

Ścisnął palcami brodawki, a ona jęknęła.

- Dobrze, dobrze, śpiewaj mi tę słodką pioszeczkę.

Rozpoczął tę grę, żeby wykurzyć Briannę z domu. Pragnął jej udowodnić, że nie skłoni go do spełnienia jej życzenia ani prośbą, ani groźbą. Taki był jego cel, ale szybko o nim zapomniał, gdy ogarnęło go pożądanie. Oszaleje, jeśli jej nie posiadzie. Wcisnął dłoń między jej uda i aż krzyknął z zachwyty. Chciała go. Jej ciało nie mogło kłamać.

Nagle zaczęła się bronić.

- Niech cię diabli, Edmondzie! Proszę cię tylko o opiekę do czasu, aż będzie mógł się zająć mną Stefan. Czy to za wielki ciężar dla ciebie?

- Nie masz pojęcia, co się tu dzieje.

- Obiecuję nie być ci ciężarem. Nie będziesz nawet czuł, że tu jestem.

- *Mon Dieu*, czyżbyś była aż tak niewinna?

- O co ci chodzi?

- O to.

Edmond chwycił jej dłoń i wsunął sobie pod szlafrok. Krzyknęła z przestachu, ale nie cofnęła dłoni.

- Widzisz, co ze mną robisz, jak jesteś tak blisko - powiedział urywanym głosem. - Jeśli zostaniesz, będziesz moja.

- Przecież mnie nie lubisz.

- Jesteś godna pożądania, a ja potrafię docenić twoją urodę.

- Edmondzie, nie myślę...

- Właśnie.

- Co?

- Nie myśl.

Zawładnął jej ustami. Z zamkniętymi oczami poddawał się stanowi błogości, w jaki wprawiał go dotyk jej dłoni. Wiedział, że to nastąpi od chwili, gdy zajrzał w te niesamowite zielone oczy. Niosła go fala pożądania i zmywała z jego męskiej natury cieniutką warstewkę cywilizacji. Wsunął język w jej gorące usta, dłońmi pieścił nabrzmiałe piersi. Nagle jego ciało przeszył gwałtowny spazm rozkoszy.

- Brianna!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Brianna była niewinną dziewczyną z dobrego domu, której wpojono, że tego rodzaju intymność jest możliwa tylko między mężem a żoną. Wiedziała, że powinna być zgorszona tym, co się zdarzyło. Fascynował ją jednak widok urodziwej twarzy Edmonda, wykrzywionej grymasem w chwili doznania intensywnej przyjemności, której namiastkę odczuwała i ona, gdy jego wargi i dłonie odkrywały jej ciało.

Był moment, w którym pragnęła pozwolić mu na więcej, bo była ciekawa, dokąd to ją zaprowadzi, ale strach i upór, żeby nie ustępować tak łatwo temu pewnemu sobie mężczyźnie, przywiodły ją na powrót do zdrowego rozsądku. Nie mogła zaprzeczyć, że tym samym przeżyła rozczarowanie. Boże drogi, co się ze mną dzieje, pomyślała.

Zniechęcała Thomasa i innych starających się o jej względy, którym marzyło się coś więcej niż niewinny pocałunek. Na samą myśl o dotyku obcych rąk robiło się jej niedobrze. Natomiast w przypadku Edmonda nie czuła obrzydzenia. Wręcz odwrotnie.

Śmiejąc się, zwrócił w jej stronę okoloną rozwichrzonymi włosami twarz.

- To na dobry początek, *ma souris*. Następnym razem poszukam przyjemności głęboko w tobie. - Mówiąc to, bawił się pasmem włosów przyklejonych do jej policzka.

- Następnego razu nie będzie - oświadczyła Brianna.

- Zamierzasz się wyprowadzić?

Była pewna, że doświadczył rozkoszy obcowania z setkami kobiet o wiele pełniej niż z nią. Dlaczego już nie chce się jej pozbyć?

- Zasłużyłam więc na parę dni pod twoim dachem? - zapytała ironicznie.

Bez ostrzeżenia przewrócił ją na plecy i przygwoździł do materaca swoim ciężkim ciałem. Zdusiła okrzyk przestraszenia. Przytrzymując jej ramiona nad głową, powiódł ustami wzdłuż szyi w stronę dekoltu.

- Dopóki tu jesteś, zawsze będę cię pragnął. Jeśli nie uciekniesz, zostanę twoim kochankiem. *Mon Dieu*, może już nawet za późno na ucieczkę.

- Och!

Słowa uwięzły jej w krtani. Edmond odnalazł ustami koniuszek jej piersi. Briannę zdumiała reakcja własnego ciała. Była w niebie? Nie podejrzewała, że takie niezwykle doznanie jest możliwe. Mogło otumanić najinteligentniejszą kobietę. Nie potrafiła powstrzymać jęków wydobywających się z głębi gardła. Tymczasem on naciskał nogą jej uda i udało mu się rozsunąć je na tyle, że wsunął się między nie. Zanim się zorientowała, uniósł jej koszulę i nic już nie tamowało mu do niej dostępu.

To było nikczemne i... cudowne. I tak podniecająco niebezpieczne.

Edmond wstrzymał oddech.

- Niech cię diabli - wyszeptał.

Brianna nie wiedziała, dlaczego jest taki zły. Już miała otworzyć usta, żeby go zapytać, gdy rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi.

- Proszę pana - usłyszeli stłumiony głos.

- Odejdź, Borys - odezwał się Edmond, nie spuszczać wzroku z twarzy Brianny.

- Mamy nieproszonego gościa.

- Wyrzuć go. - Ton głosu Edmonda zapowiadał surowe następstwa dla sługi.

- To ojczym panny Quinn. Grozi, że wezwie policję, jeśli nie zobaczy córki.

- O Boże! - wykrzyknęła Brianna. - Tak szybko mnie znalazł? Jak w ogóle mnie znalazł?

Mrucząc pod nosem słowa będące, jak podejrzewała, rosyjskimi przekleństwami, Edmond podniósł się z łóżka i owinał szczelnie szlafrokiem.

- Ubieraj się.

- Nie wrócę do niego. Zabiję się, wyskoczę przez okno, przysięgam.

- Za wczesna pora na takie przedstawienie, *ma souris* - wycedził. - Ubierz się i zejdź na dół.

- Zamierzasz mnie oddać?

- Oddam cię albo wyrzucę przez okno. Stanowisz dla mnie niechcianą i niepotrzebną komplikację. - Obrzucił gniewnym spojrzeniem smukłe ciało Brianny, ledwo osłonięte cienką koszulą.

- Jeśli to zrobisz, cały Londyn dowie się, że nie jesteś Stefanem. Zapominasz, że mam gotowe ogłoszenie, które tylko czeka na wysłanie do gazet.

- Twoja pokojówka jest zamknięta i nie zdoła uciec. Potrwa to tak długo, jak zechcę. Wątpię, byś po wyjściu z balu, a przed włamaniem do mojego domu, zdążyła komukolwiek oddać ten tekst. Mam prawie pewność, że mój sekret jest bezpieczny.

- Jesteś draniem bez serca. Przechodzi wszelką imaginację, jak możesz być spokrewniony ze Stefanem.

- Ubieraj się i schodź na dół. Borys zaczeka na ciebie. Jeśli spróbujesz uciec, zwiąże cię, zaknebluje i sprowadzi do holu.

Nie czekając na odpowiedź Brianny, Edmond ruszył do drzwi. Po ich otwarciu wymienił kilka słów z tkwiącym na korytarzu służącym. Zanim zatrzasnął drzwi za sobą, posłał jej ostatnie, ostrzegawcze spojrzenie.

Był siny z wściekłości, gdy w swojej sypialni przygotowywał się na przyjęcie nieproszonego gościa. Pokojowiec golił go w milczeniu, po czym ułożył mu włosy na modłę Stefana. Edmond ubrał się tak, jak na taką okazję odziałby się Stefan: w dopasowany surdut w kolorze granatowym i niebiesko-srebrną kamizelkę. Wokół szyi związał w wyszukany węzeł fular.

Myślał cały czas o Briannie Quinn. Ta dziewczyna wszystko zepsuje. Po pierwsze, grożąc, że go zdemaskuje, po drugie, ściągając mu do domu własne

kłopoty. W nastroju, który źle wróżył Thomasowi Wade'owi, Edmond skierował kroki do holu, gdzie Borys zostawił intruza, żeby nabrał pokory.

Zatrzymał się na moment, chcąc przyjrzeć się wielkiemu, czerwonemu na twarzy mężczyźnie o grubych rysach. Mimo eleganckiego ubioru Wade ciągle bardziej przypominał rzeźnika niż dżentelmena. Nie czuł się też specjalnie komfortowo w delikatnym fotelu w stylu Ludwika XIV.

Na myśl o tym, że ten bydlak mógłby położyć swoje obrzydliwe, tłuste łapy na delikatnym ciele Brianny, Edmonda ogarnęła furia. Prędzej znajdzie się on na dnie Tamizy!

Wade spostrzegł, że nie jest sam, zerwał się na nogi i zaatakował:

- Wreszcie się pokazałeś, Huntley. To szczęście, że jestem cierpliwy, inaczej miałbyś już policję na karku.

Edmond zmierzył go nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Takiś głupi, że wierzysz w to, co mówisz?

Myślisz, że jakiś policjant zechciałby zakłócać spokój księcia Huntleya? Wade zacisnął pięści.

- Uważasz, że jesteś ponad prawem?

- Prawdę powiedziawszy, tak.

Edmond swobodnym krokiem podszedł do Wade'a. Szybko oszacował szanse w starciu z olbrzymem. Za młodu Thomas Wade mógłby stanąć przeciwko Edmondowi, ale lata nadużywania przyjemności życia zrobiły swoje. Dzisiaj mógł liczyć tylko na to, że przeciwnik przestraszy się jego masy.

- Muszę jednak dodać, że jeśli ktoś tu łamie prawo, to ty, Wade. Jak śmiałeś wdrzeć się do mojego domu?

- Prawem ojca, który przyszedł po swoją córkę.

- Skąd masz pewność, że ona tu jest?

- Mam swoje sposoby.

Błyskawicznie, zanim Wade mógł zareagować, Edmond popchnął go do ściany, ramieniem naciskając jego grubą szyję.

- Zadałem ci pytanie - powiedział. Wade zbladł.
- Co ty sobie wyobrażasz, Huntley? Edmond mocniej nacisnął ramieniem.
- Zadałem ci pytanie. Wade zaczął się dusić.
- Któryś z moich służących widział, jak wymykała się wczoraj z domu, i

ją śledził.

- Kazałeś ją śledzić?

W małych oczkach pojawił się namysł, jak gdyby Wade kalkulował, co też może wiedzieć książę Huntley o jego zamysłach wobec Brianny.

- Czy ojciec nie ma prawa strzec córki? Londyn to niebezpieczne miejsce dla niewinnej panny.

- Ale ona nie jest twoją córką, tylko pasierbicą.

- Jest pod moją opieką.

- I moją. O ile sobie przypominam, ojciec Brianny uczynił mnie jej opiekunem.

Wade zamilkł zaskoczony. Edmond był świadomy, że Stefan nie dopełnił obowiązków z tego tytułu; nie zatroszczył się o to, żeby Brianna była bezpieczna i szczęśliwa we własnym domu. Gdyby nie zaniedbanie ze strony jego starszego brata, nie wprowadzałyby obecnie chaosu w starannie przygotowane plany Edmonda.

- Do tej pory nie interesowałeś się dziewczyną - wysapał Wade.

- Godne ubolewania niedopatrzenie, które zamierzam natychmiast naprawić - wycedził Edmond. - Było naiwnością z mojej strony myśleć, że komuś takiemu jak ty można powierzyć los młodej panienki.

- Kwestionujesz mój honor?

- Honor? O czym ty mówisz, żaloszny głupcze? Oddam przysługę ludzkości, zabijając cię.

- Oszalałeś, Huntley! Co ta dziewczucha ci naopowiadała? - Wade zaczął się bać. - Ona kłamie.

- Nie zamierzasz jej wywieźć za dwa dni do Norfolk?

- Myślę... że powinna na krótko opuścić miasto. Nie doszła jeszcze do siebie po śmierci matki, świeże powietrze dobrze jej zrobi. - Zarechotał oblesnie. - Oczywiście, jak każda młoda dziewczyna, nie chce się rozstawać z przyjaciółkami i sympatiami. To naturalne, że wolałaby pozostać w mieście.

- To wycieczka wyłącznie dla jej dobra?

- Oczywiście.

- Ty bydlaku! - Edmond złapał Wade'a za klapy surduta i potrząsnął nim z całej siły. - Wywozisz ją z Londynu, żeby się jej narzucać ze swoimi sprośnymi zalotami.

- Nie.

- Nie próbuj kłamać. Znam prawdę i wkrótce pozna ją cały Londyn, jeśli natychmiast nie wyjdiesz z mojego domu i nie zapomnisz na zawsze, że kiedykolwiek słyszałeś o pannie Briannie Quinn.

- To moja córka - zaproponował. - Nie możesz jej tak po prostu mi zabrać.

- Już to zrobiłem.

- Podam cię do sądu - zagroził Wade. - Matka zostawiła ją pod moją pieczęcią.

Edmond zmarszczył brwi, widząc, jak tamten się gorączkuje, jak ślinią mu się wargi. Thomas Wade był bliski utraty zdrowego rozsądku. Przynajmniej na punkcie pasierbicy.

- Jej matka była osobą słabego charakteru, której nie interesowało nic oprócz stolika karcianego. Za parę funtów oddałaby Briannę samemu Belzebubowi.

Edmond musiał upewnić się, że Wade zrozumiał, jaką cenę zapłaci za wywołanie skandalu, i będzie trzymał język za zębami, dopóki on po cichu nie uwolni świata od tej obrzydliwej kreatury.

- Ostrzegam cię - ciągnął - żebyś nie rozpowiadał, iż Brianna zmieniła miejsce pobytu. Chyba że życzysz sobie, by wszyscy dowiedzieli się o twoich zamiarach względem pasierbicy.

- To tylko jej słowo przeciwko mojemu. Edmond zaśmiał się z arogancją właściwą arystokracji.

- Nie, to będzie słowo księcia Huntleya przeciwko słowu syna rzeźnika. Komu uwierzą, jak myślisz?

Nalana twarz oblała się szkarłatem.

- Ja też mam wpływy, pieniądz robi swoje.

- To pozwól, że podniosę stawkę. - Edmond uśmiechnął się szyderczo. - Jeśli spróbujesz usunąć Briannę spod mojej pieczy, wykastruję cię.

Wade aż krzyknął ze zdziwienia. Edmond nie potrzebował się odwracać, by się przekonać, że do pokoju weszła Brianna. Nagle pożałował, że nalegał na jej zejście na dół.

- Brianno... - Wade spróbował zrobić krok w jej stronę, ale Edmond przygwozdził go do ściany. - Kochanie, powiedz temu wariatowi, żeby mnie wypuścił.

Dało się wyczuć lekkie wahanie, zanim Brianna stanęła obok Edmonda. Wyglądała bardzo ponętnie w sukience z indyjskiego muślinu koloru czerwonych maków. Takiego samego koloru wstążki były wplecione w jej jasne włosy upięte w wysoki węzeł na czubku głowy. Wyglądała świeżo niczym wiosenne niebo.

- Ten wariat, jak mówisz, to mój opiekun i księżę Huntley - odrzekła z kamienną twarzą.

Wade bezskutecznie próbował uwolnić się od Edmonda.

- Proszę, wysłuchaj mnie, kochanie. To jakieś straszliwe nieporozumienie - tłumaczył się. - Wróc do domu, załatwimy to między sobą.

Edmond wyczuł, że Brianna wzdrygnęła się ze zgrozy.

- Tu jest teraz mój dom - oświadczyła dobitnie.

- Brianno, nie bądź głupia. - Wade rzucił Edmondowi nienawistne spojrzenie. - To jest obcy człowiek, który aż do dzisiaj w ogóle nie interesował

się twoim losem. Wyda cię za mąż za pierwszego lepszego łotra, którego skłoni do oświadczenia się o twoją rękę, żeby się ciebie jak najszybciej pozbyć.

- Wolę to, niż zostać z tobą.

- Jak możesz tak mówić po tym wszystkim, co zrobiłem dla ciebie i dla twojej matki?

Brianna stanęła jeszcze bliżej Edmonda, jakby szukała w nim wsparcia.

- Zniszczyłeś wszystkie moje uczucia do ciebie, kiedy próbowałeś mnie zgwałcić.

- Myślę, że to stosowny moment, żeby zakończyć to nieprzyjemne spotkanie. - Edmond prowadził Wade'a do wyjścia, trzymając go za kłapy surduta. - Czas najwyższy, żebyś wrócił do rynsztoka, który cię wypluł.

Wade wrywał się, cały czas nie spuszczać wzroku z Brianny.

- Należysz do mnie, nie pozwolę nikomu stanąć między nami.

Gwałtownym pchnięciem Edmond wyrzucił Wade'a za drzwi, usłudźnie przytrzymane przez lokaja.

- Borys, miej oko na tego szczura - rozkazał.

Wade, potykając się, schodził ze schodów do czekającego na niego powozu.

Edmond poprawił przed lustrem fular i wygładził surduta. Pozbył się jednego gryzonia, czas zadecydować, co zrobić z pewną małą myszką.

Stojąc przy oknie, Brianna z niemą satysfakcją patrzyła, jak Thomas gramoli się do powozu i odjeżdża sprzed domu. Poczuli ulgę, że znikło zagrożenie ze strony ojczyma, który został tak brutalnie potraktowany przez Edmonda. Po takim poniżeniu chyba nie odważy się powrócić. Wiedziała jednak, że postępowanie Edmonda nie miało nic wspólnego z chęcią wybawienia jej z opresji. Miał własne plany pobytu w Londynie i gdyby jej osoba stanęła na przeszkodzie ich realizacji, doznałaby równie brutalnego potraktowania.

Jeśli nie gorszego.

Brianna nie potrzebowała się odwracać, by się upewnić, że Edmond wszedł do pokoju. Dziwne.

Będąc dzieckiem, czuła się niepewnie w jego obecności, wręcz bała się badawczego spojrzenia jego niebieskich oczu, które zdawały się wszystko widzieć. Zupełnie nie przypominał łagodnego, dobrodusznego Stefana, który potrafił odczytać jej nastroje i sprawiał, że czuła się w Meadowland jak w domu.

- Dlaczego nie wydałeś mnie w jego ręce?

Stał tuż za jej plecami. Dreszcz podniecenia przeszedł wzdłuż jej kręgosłupa. Odwróciła się i znaleźli się twarzą w twarz. To tylko pogorszyło sytuację. Zaparło jej dech w piersiach. Był taki pociągający. Regularne męskie rysy, oczy błękitne jak bezchmurne niebo, ciemne włosy... Edmond przyglądał się jej z namysłem.

- Jeszcze się z tobą nie rozliczyłem, *ma souris*. Brianna nie miała pewności, co znaczą te słowa.

Nie chciała jednak zaprzętać sobie tym głowy. Gnębiło ją co innego.

- Myślisz, że zniknął na dobre?

- Nie sędzę, żeby śmiał tu powrócić, ale byłbym mocno zdziwiony, gdyby spróbował zwalczyć obsesję na twoim punkcie. Sam fakt, że jesteś niedostępna, tylko utwierdzi go w tym szaleństwie.

- Muszę wyjechać z Londynu.

- Dokąd?

- Mógłbyś odesłać mnie do Meadowland. - W nagłym przypływie nadziei, nie zastanawiając się, co robi, złapała Edmonda za ramię. - Twoi służący zapewnią mi bezpieczeństwo w drodze.

- Dlaczego wcześniej nie uciekłaś do Stefana?

- Bo musiałabym skorzystać z dyliżansu pocztowego. Thomas dogoniłby go bez trudu i zawrócił mnie do Londynu. Zresztą Stefan nie odpisywał na moje listy. Równie dobrze mogłoby go nie być w majątku. Co bym wtedy zrobiła?

Przyglądał się jej natarczywie.

- Wymyśliłabyś coś, nie wątpię. Jesteś... - zawiesił głos, a wzrok utkwił demonstracyjnie w skromnie wyciętym dekolcie jej sukni - ...kobietą niepozabawioną atutów.

Rumieniec wypłynął na policzki Brianny. Działała w stanie wyższej konieczności, nie czuła z tego powodu wstydu.

- Teraz mam pewność, że Stefan jest w swojej posiadłości, więc gdybyś użył mi powozu...

- Mowy nie ma.

- Dlaczego? Przecież zawadzam ci tutaj. Co do mnie, wolę być ze Stefanem. To najlepsze wyjście.

- Niekoniecznie. Wszyscy są przeświadczeni, że to Stefan jest w Londynie, a w Meadowland pozostał Edmond. Nie przyszło ci do głowy, że byłoby podejrzane, gdybym odesłał podopieczną z Londynu prosto w ręce mojego brata mającego reputację uwodziciela?

Nie wiedziała, co powiedzieć. Dlaczego robił trudności? Przecież wcześniej mówił wprost, że chce się jej pozbyć. Powinien być zadowolony z możliwości wysłania jej do Meadowland.

- Mógłbyś stwierdzić, że zachorowałam i potrzebuję wiejskiego powietrza.

- Zaraz rozeszłyby się pogłoski, że zaszłaś w ciążę z mojej przyczyny i posłałem cię na wieś do czasu urodzenia dziecka.

- Bzdura.

- Plotki nie muszą mieć podstaw.

To prawda. Brianna wiedziała doskonale, że plotkowanie było ulubionym sposobem spędzania czasu w wyższych sferach. Im bardziej nieprawdopodobne domysły i pomówienia, tym milej widziane. Mimo wszystko nie przypuszczała, by ktoś mógł uwierzyć, że Stefan byłby zdolny do uwiedzenia, a następnie porzucenia podopiecznej.

- Nawet gdybym znalazła się na językach, byłoby to bez znaczenia.

- Niestety, nie. - Edmond stanął przy niej tak blisko, że przez cienki materiał sukni czuła ciepło jego ciała. - Staram się nie nadawać niepotrzebnego rozgłosu swojemu pobytowi w Londynie. Utrudniłaś mi to znacznie swoją ingerencją.

Brianna nie okazała, jak wielkie wrażenie robi na niej zapach jego ciała zmieszany z aromatem drewna sandałowego.

- Nadal nie wiem, dlaczego udajesz Stefana.

- Nie ujawniam swoich tajemnic szantażystkom.

- Ale byłbyś gotów uczynić z jednej z nich swoją kochankę?

Bez ostrzeżenia złapał ją za ramiona i przyciągnął do piersi.

- Potrzebujesz potwierdzenia, *ma souris*? Mam cię pościć tutaj i teraz?

Niepewna, czy zdoła mu się oprzeć, Brianna potrząsnęła głową.

- Proszę, Edmondzie.

- Prosisz, o co?

- Proszę, odeślij mnie do Stefana. Odsunął się od niej.

- Nigdy.

- Ale dlaczego...

- Dostyc.

Zanim opuścił pokój, rzucił w jej kierunku:

- Byłaś tak nierozsądna, że wdarłaś się do mojego domu. Teraz poniesiesz wszelkie konsekwencje.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Edmond bardzo lubił przesiadywać w bibliotece w Huntley House.

Jedną ścianę zajmowały weneckie okna wychodzące na opadający tarasami ogród. Po przeciwnej stronie mieściły się szafy wypełnione książkami. Niewątpliwą ozdobą pokoju były rzeźbione, pozłacane drzwi, podarunek od króla, i fresk na suficie, przedstawiający jednego z przodków Huntleyów, powożącego rydwanem zdążającym do świątyni Zeusa. Po obu stronach kominka wyłożonego czarnym żyłkowanym złotymi smugami marmurem stały złożone fotele, a bliżej okna ciężkie orzechowe biurko, w posiadaniu rodziny Huntleyów od dwustu lat.

Na wyobraźnię Edmonda działały nie tyle obrazy Gainsborough, kolekcjonowane przez długie lata przez ojca, ile zapach oprawnych w skórę woluminów i woskowanego drewna, kojarzący mu się z wieczorami spędzonymi w tym pokoju z ojcem, czytającym synom o dalekich podróżach i wtajemniczającym ich w tajniki gry w szachy. W czasach, gdy życie było wolne od trosk, wypełnione szczęściem i obietnicami na przyszłość.

Czasach dawno minionych.

Po rozmowie z Brianną Edmond udał się do biblioteki, jak gdyby tylko tu jego wzburzony umysł mógł znaleźć ukojenie. A może chodziło raczej o butelkę dobrej whisky, która czekała na niego w dolnej szufladzie masywnego biurka?

Opadł ciężko na skórzany fotel, otworzył szufladę, wyjął butelkę i pociągnął z niej spory łyk złotego likworu.

Przeklęta dziewczyna.

Dopiero co wyrwał ją z rąk tej bestii, którą nazywała swoim ojczymem, ale czy rzuciła mu się do stóp z wdzięczności? Czy w ogóle zadała sobie trud, żeby mu podziękować? Nie. Myślała tylko o swoim drogim Stefanie i o tym, jak znaleźć się w jego krzepiącej obecności.

Musiałby chyba upaść na głowę, żeby oddać do jej dyspozycji paru służących i powóz, który zawiózłby ją do Meadowland. W każdym razie nie teraz, gdy zaczynał zdawać sobie sprawę z tego, że jej irytująca obecność pod jego dachem mogłaby być darem niebios. Pociągając co i rusz z butelki, Edmond rozmyślał nad szansą obrócenia na swoją korzyść dotychczasowych niepowodzeń w realizowanych planach. Rozmyślenia przerwał mu Borys.

Rosjanin był żołnierzem z krwi i kości, a jego dziedzictwo było wyryte na twarzy. Blond włosy i masywną postać odziedziczył po ojcu, ale orzechowe oczy wzięł po swojej angielskiej matce. Był inteligentny i zwrócił na siebie uwagę Edmonda już w czasie pierwszego spotkania przed sześciu laty. Edmond musiał porządnie się wysilić, by przekonać cara Aleksandra, żeby oddał mu jednego ze swoich najlepszych żołnierzy do pomocy, ale w końcu się udało.

Po wejściu do biblioteki Borys zamknął drzwi na klucz. Zrzucił maskę niezdarnego cudzoziemskiego sługi i wcielił się w swoją prawdziwą postać: bezwzględnego, znakomicie wyszkolonego żołnierza.

- Co tam? - zapytał Edmond, odstawiając na biurko butelkę whisky.

- Tchórz wrócił do siebie na Curzon Street.

W głosie Borysa nie było ani śladu obcego akcentu. Od angielskiej matki nauczył się płynnie mówić po angielsku.

- Co cię tak bawi?

- Tłusty głupiec dwa razy upadł na twarz, zanim dobiegł do swoich drzwi.

Myślałby kto, że gonił go sam diabeł.

- Może i głupiec, ale niebezpieczny.

Edmond podniósł się z fotela i niby przypadkiem wyjrzał za okno. Od razu zauważył chuderlawego człowieka, który nonszalancko przechadzał się tam i z powrotem po ulicy.

- Zostawił kogoś na przeszpiegi.

- Doskonale. - Borys zbliżył się do Edmonda i dodał niedbale. - Zabiję go.

- Nie. - Edmond potrząsnął głową. - Jeszcze nie teraz. Najpierw muszę odkryć, kto usiłuje wyrzucić krzywdę Stefanowi. Potem rozprawię się z Thomasem Wade'em i jego nieudolnym służącym. Do tego czasu nie mogę niepotrzebnie zwracać na siebie uwagi.

- Dlaczego nie oddał mu pan dziewczyny? Przestałby się nami interesować i moglibyśmy się zająć ważniejszymi sprawami.

Edmond starał się nadać twarzy obojętny wyraz.

- Dlatego, że postanowiłem wykorzystać jej obecność.

Borys się skrzywił.

- A kiedy jest z kobiety jakiś pożytek?

- Znadto byłeś zajęty wojaczką, Borys. Zapomniałeś, że kobieta przydaje się czasami, przynajmniej do jednego.

- Może pan to dostać w najbliższym zaułku. Nie trzeba ściągać sobie kłopotu do domu.

- Tym razem jednak będę potrzebował jej obecności, choćby była nawet uciążliwa.

- Nie rozumiem.

Edmond nie chciał się tłumaczyć. Być może sam nie był jeszcze dostatecznie przekonany o celowości zatrzymania Brianny przy sobie. Musiał jednak coś Borysowi powiedzieć. W końcu wierny towarzysz ryzykował dla niego własne życie.

- Przyszło mi na myśl, że Howard może teraz nie zechcieć uderzyć. W końcu, o wiele łatwiej zaplanować wypadek na opustoszałej wiejskiej drodze niż w sercu Londynu.

- Sądziłem, że przyjechał pan do miasta, żeby go sprowokować.

- Wymyśliłem doskonały sposób.

- Ta kobieta?

- Tak.

- Dlaczego miałby zaatakować, jeśli panna Quinn z panem zamieszka?

- Nie zaatakuj dopóty, dopóki nie rozejdzie się plotka, że wkrótce zostanie moją żoną.

- Żoną... - Borys był zdumiony. Jego pan nie krył, że w ogóle nie zamierza się żenić. Nawet carowi Aleksandrowi nie udało się skusić Edmonda do ugruntowania swojej pozycji na dworze korzystnym ożenkiem.

- Żoną? - powtórzył.

- Właśnie.

- Czy ta panna rzuciła na pana urok?

- Prędzej piekło zamarznie, niż jakaś kobieta zaciągnie mnie do ołtarza, stary przyjacielu! - wybuchnął Edmond, nie wiedząc czemu poirytowany.

- A zatem pan oszalał.

Edmond westchnął ciężko, w ciągu ostatnich godzin jego gwałtowna natura była wystawiana na cięższe próby, niż był skłonny się przyznać.

- Pomyśl, Borysie - odezwał się beznamiętnym tonem. - Do tej pory na drodze Howarda do fortuny i tytułu książęcego staliśmy tylko my ze Stefanem. Pozbycie się nas nie jest całkiem niemożliwe, wymaga tylko cierpliwości i zaczekania na stosowną okazję. Jeżeli jednak książę Huntley ogłosi, że się żeni, trzeba będzie usunąć go, zanim sprowadzi na świat zgraję potencjalnych spadkobierców.

Po zastanowieniu Borys pokiwał głową.

- Widzisz? To diabelnie dobrze pomyślane.

- I pozwala trzymać pannę Quinn na podorędziu.

Edmond uśmiechnął się półgębkiem. Starał się kontrolować swoje reakcje.

- Rozumiesz, o co chodzi?

- Rozumiem. To nie w pana stylu dać się sprowadzić na manowce, gdy podjął pan decyzję, jak postępować. Zwłaszcza przez zwykłą kobietę.

- Brianna nie jest zwykłą kobietą. To narzędzie oddziaływania natury. Mimo to nie dam się odciągnąć od swojego celu. Będąc dobrym taktykiem,

skorygowałem plany po to, by wyciągnąć korzyści z niespodziewanej szansy, jaka przede mną się otworzyła.

- Więc ona jest tylko niespodziewaną szansą?

- Dosyć tego - uciał Edmond.

Nie chciał dyskutować o swoim zainteresowaniu Brianną, i to z nikim.

Borys zrezygnował z dalszej indagacji.

- W porządku. Czego pan sobie życzy?

- Miej oko na pannę Quinn.

- Obawia się pan, że spełni groźbę i ujawni prawdę o panu?

- Nie, ale sądzę, że wciąż jest zagrożona. Thomas Wade nie zrezygnuje tak łatwo.

- Do jasnej cholery, nie jestem niańką. Zajmę się pańskim kuzynem. Jeśli chwyci przynętę, będzie zmuszony do szybkiego działania, a wtedy pan znajdzie się w poważnym niebezpieczeństwie.

Edmond zachował powagę, ale chciało mu się śmiać z urażonego tonu Borysa.

- Tak, i właśnie dlatego żaden z nas nie jest w stanie upilnować Howarda.

- Nie dość, że zostałem zdegradowany do roli niańki, to jeszcze kwestionuje pan moje umiejętności.

Edmond walczył z rozbawieniem. Nikt inny nie nadawał się mniej do roli niańki niż Borys. Z drugiej strony, nikt inny nie zadbałby lepiej o bezpieczeństwo Brianny.

- Ani mi to w głowie - zapewnił Borysa. - Rozumiesz chyba jednak, że ja nie mogę być jego cieniem, bo za dobrze mnie zna, a ty za bardzo rzucasz się w oczy w Londynie. Nie chciałbym spłoszyć tego łajdaka, zanim spróbuje mnie zabić. Zapewniam cię, że nie ma to nic wspólnego z panną Brianną Quinn. Postanowiłem wynająć zawodowego detektywa jeszcze przed wyjazdem z Meadowland. Prawdę mówiąc, mam spotkanie z nim dzisiaj po południu.

Borys chętnie by się sprzeciwił, ale wyraz twarzy Edmonda powstrzymał go przed wypowiedzeniem słów, które cisnęły mu się na usta.

- Czy moja rola ogranicza się do pilnowania przez najbliższe tygodnie tej pannicy?

Edmond zachichotał. Wziął butelkę whisky i rzucił ją w stronę Borysa.

- Mam dla ciebie niebezpieczniejsze zadanie na dzisiejsze przedpołudnie.

Borys długo służył u Edmonda, więc zanim zapytał, o co chodzi, pociągnął łyk wzmacniającego napoju.

- Co to ma być?

- Chciałbym, żebyś uwolnił skrzeczącą pokojówkę Brianny z pokoju, w którym ją zamknąłem dzisiaj rano.

Mimo wyrzutów sumienia, że nie okazała należytej wdzięczności za uwolnienie ze szponów Thomasa Wade'a, Brianna była wczesnym popołudniem raczej w dobrym humorze. Do diabła z Edmondem! Jak śmiał zniknąć na wiele godzin?! Powinno mu przyjść do głowy, że ona będzie umierać z niepokoju o swoją przyszłość. Wyrzucenie Thomasa z domu i groźenie mu kastracją nie rozwiązywało problemu. Co teraz? Nie zgodził się wysłać jej do Meadowland, jednocześnie twierdził, że jest niemile widziana w jego domu. Co on zamierza?

Co gorsza, nie mogła znaleźć Janet. Była jej bardzo oddana, niemożliwe, żeby ją opuściła, chyba że została do tego zmuszona. Czy ktoś wie, co się dzieje z tą biedną dziewczyną?

Nie będzie beczynnie czekać, aż Edmond łaskawie zjawi się przed nią i oznajmi, co się stało z Janet. Zbyt wiele lat pozostawała na łasce innych. Obiecała sobie, że jeśli kiedyś ucieknie od Thomasa, nie zawaha się zejść na samo dno piekła, byleby tylko odzyskać kontrolę nad własnym życiem. Jeśli konfrontacja z Edmondem jest równoznaczna z zejściem do piekieł, to niech tak będzie.

Zdecydowanym krokiem Brianna przemierzała recepcyjne pokoje Huntley House wypełnione obitymi jedwabnym adamaszkiem meblami, portretami rodzinnymi i zdobiącymi ściany zwierciadłami w złożonych ramach. Dom był przeraźliwie pusty. Nie pierwszy raz zastanawiała się, dlaczego Edmond zwolnił całą liczną służbę Stefana. Jedynym wytłumaczeniem było to, że widocznie planuje coś niegodziwego, i boi się, żeby służący tego nie odkryli.

Jeśli to prawda, to również Stefan musi być w to zamieszany. W końcu bez jego zgody Edmond nie przejąłby kontroli nad Huntley House i całym personelem. Brianna z łatwością mogła sobie wyobrazić, że Edmonda stać na najgorsze, ale przecież Stefan nigdy nie patronowałby czemuś zdrożnemu. Nie pozwoliłoby mu na to poczucie honoru.

Przeszukała liczne salony, ale nigdzie nie mogła znaleźć Edmonda. Domyśliła się, że musi ukrywać się w bibliotece. Bez wahania otworzyła drzwi i weszła do środka. Nie była zdziwiona, widząc Edmonda za biurkiem.

Serce przyspieszyło rytm, gdy uniósł w jej stronę ciemną głowę. Miał wprost idealne rysy. To niesprawiedliwe, że fortuna obdarzyła go tak szczerze: był nie tylko bogaty i wpływowy, ale także bardzo przystojny.

Życie jednak rzadko bywa sprawiedliwe.

Brianna wytrzymała spojrzenie przenikliwych błękitnych oczu. Czaiło się w nich jakieś niebezpieczeństwo, znikło jednak tak szybko, że uznała, iż jedynie to sobie wyobraziła.

- Brianno, czego chcesz? - zapytał, wyraźnie poirytowany.
- Czekałam na ciebie przy lunchu, ale się nie pojawiłeś.
- Nie pojawiłem, bo jestem zajęty. Gdybyś mogła zamknąć drzwi za sobą...
- Nie dam tak łatwo się odprawić. Chcę wiedzieć, co zrobiłeś z Janet.
- Janet?
- Nie udawaj, że nie rozumiesz, Edmondzie. Wiesz dobrze, że Janet jest moją pokojówką i że zniknęła. Gdzie ona jest?

- Boisz się, że ją zamordowałem, a zwłoki wrzuciłem do Tamizy?

- To byłoby do ciebie podobne.

- Masz bujną wyobraźnię, *ma souris*.

Jakże chętnie dałaby mu w twarz, żeby zmazać z niej ten prowokacyjny uśmieszek. Po śmierci matki jej życie nie było pasmem szczęścia i jedynie towarzystwo Janet czyniło je w miarę znośnym. Nie pozwolił temu człowiekowi kpić z jej zmartwienia.

- Nie odpowiedziałeś na pytanie.

Edmond przybrał łagodniejszy ton.

- Zapewniam cię, że nic złego jej nie spotkało. Miałem dla niej parę zleceń do wykonania. Czy to wszystko?

Briannie ulżyło, ale nie była w pełni zadowolona. Nie ruszyła się z miejsca.

- Nie, nie wszystko. Chcę wiedzieć, co zamierzasz zrobić ze mną.

- Nie przywykłem do tego, żeby ktoś ignorował moje polecenia. Wrócimy do tego później.

- Pomówimy o tym teraz. Nie możesz się spodziewać, że będę grzecznie czekała w swoim pokoju, aż poinformujesz mnie, czy zostanę wyrzucona na ulicę, czy wydana ojczymowi.

Edmond wstał i wolnym krokiem obszedł biurko. Brianna machinalnie cofała się przed nim, aż poczuła za plecami półkę z książkami.

Zatrzymał się w odległości zaledwie kilku cali od jej zeszywniałego z przestachu ciała i patrzył na nią spod na wpół opuszczonych powiek.

- Ależ mogę oczekiwać wszystkiego, co mi się spodoba, i nic na to nie poradzisz.

Odetchnęła ciężko. Jego zapach działał na jej zmysły.

- Domyślam się, że chcesz mnie w ten sposób ukarać. Zamierzasz trzymać mnie w niepewności, że mogę być w każdej chwili wyrzucona lub oddana Thomasowi. Dlaczego nie ma tu Stefana! On nie byłby taki okrutny.

Nie wiedzieć czemu te słowa rozdrażniły Edmonda. Odstąpił od Brianny, klnąc pod nosem.

- Dobrze, skoro nalegasz, powiem ci. Mam pewien plan dotyczący twojej przyszłości.

- A mianowicie?

- Sama przeczytaj - odparł, wskazując biurko.

Brianna ominęła go, zbliżyła się do biurka i wzięła do ręki leżącą na jego lśniącej powierzchni kartkę pergaminowego papieru. Przebiegła wzrokiem treść zapisaną wytwornym charakterem pisma.

Nie wierzyła oczom. Przeczytała raz jeszcze:

Stefan Edward Summerville, szósty książę Huntley, ma zaszczyt ogłosić zaręczyny z panną Brianną Quinn, córką nieżyjącego pana Fredricka Quinna.

Opadła na skórzany fotel, kręcąc głową z niedowierzaniem.

- To chyba żart?

Edmond stał z niewzruszoną miną.

- Czy wyglądam na skłonnego do żartów?

- Nie, ale próbowałam być uprzejma.

- Uprzejma?

Brianna machnęła kartką papieru, którą trzymała w ręku.

- Są tylko dwie możliwości wytłumaczenia tego, co napisałeś o moich rzekomych zaręczynach ze Stefanem. Albo to jakiś okrutny żart, albo dowód, że kompletnie postradałeś zmysły.

- Nie ze Stefanem, lecz z księciem Huntleyem, czyli obecnie ze mną.

- Zatem oszalałeś.

Na ustach Edmonda pojawił się ironiczny uśmiech.

- Nie jestem pewien, czy mam ochotę się z tobą sprzeczać.

- To niedorzeczność. - Brianna rzuciła kartkę na biurko. Jak zahipnotyzowana patrzyła na człowieka, który nagle stał się zmorą jej życia. Thomas Wade był przynajmniej przewidywalny, choć tak bardzo jej niemiły. Przy Edmondzie czuła się jak na karuzeli. - Dlaczego chcesz ogłosić zaręczyny?

- Mam w tym swój cel.

- Takie jest twoje wytłumaczenie? Że masz w tym cel?

- Tak.

- Ale mnie to nie odpowiada.

- Powinno.

- Niby dlaczego? Bo uważasz, że każda kobieta powinna chcieć zostać twoją żoną?

- Większość, tak.

Edmond oparł się o półkę z książkami. Poprzez cienką lnianą koszulę rysowały się pięknie rzeźbione mięśnie klatki piersiowej. Czarne obcisłe spodnie uwydatniały muskulaturę nóg. Przypominał zręcznego drapieżnika przyuczajonego do skoku na ofiarę. Na myśl o tym Briannie przeszedł po plecach dreszcz.

- Co za pyszałek! - wymamrotała. Nie chciała, żeby zobaczył, jak nieswojo się poczuła. - Nie zgodzę się za ciebie wyjść, nawet gdyby...

- Dobrze się składa - przerwał jej lodowatym tonem - bo prędzej piekło zamarznie, zanim ożenię się z jakąkolwiek kobietą. To tylko tymczasowa niedogodność, z którą zamierzam się uporać tak szybko, jak to tylko możliwe.

Zamarła. Teraz wie, gdzie jest jej miejsce. Chce wykorzystać ją do własnych niejasnych machinacji. Dziwne, ale ta konstatacja zmartwiła Briannę.

- Dlaczego więc twierdzisz, że zaręczyny leżą w moim interesie? - zapytała urażonym tonem.

- To jedyny sposób, żeby uratować twoją reputację, kiedy w końcu opuścisz ten dom.

To wszystko dla jej dobra? Nieprawdopodobne!

- Nie ma potrzeby martwić się na zapas. Możesz odesłać mnie do Meadowland...

- Nie.

- To załatw mi przyzwoitkę.

- Na czas twojego pobytu zaproszę swoją ciotkę. Nawet jako moja narzeczona nie możesz tu pozostawać bez damskiego towarzystwa.

- Swoją ciotkę? - Brianna była zdziwiona. Wszyscy wiedzieli, że Edmond miał w pogardzie całą rodzinę z wyjątkiem Stefana. - Nie mogę uwierzyć, że tak się poświęcasz dla dobra mojej reputacji.

- Robię to dla Stefana. Nie byłby zachwycony, gdyby mówiono, że jest zdolny do uwiedzenia swojej podopiecznej, i to pod własnym dachem.

- Jest prawdziwym dżentelmenem. Ty nawet nie znasz takiego pojęcia.

- Uważaj, *ma souris*. Jak mnie rozniewasz, będziesz siedziała zamknięta na klucz w swoim pokoju do czasu, aż doprowadzę do końca swoje sprawy w Londynie.

Rozsądnie przemilczała tę groźbę. Gdyby postanowił ją uwięzić, nie mogłaby go powstrzymać.

- Wzięłaś pod uwagę fakt, że po zakończeniu całej tej sprawy i tak będę skompromitowana? Jestem gotowa na wiele, żeby się uwolnić od Thomasa Wade'a, ale mężczyźnie nie szkodzi zerwanie zaręczyn, podczas gdy kobieta nie jest w takim szczęśliwym położeniu. Powstaną niekończące się plotki i spekulacje na temat tego, dlaczego Stefan się wycofał.

- Może, ale tylko wtedy, gdybyś dała się zbałamucić innym dżentelmenom. Kobieta, która zwróciła na siebie uwagę niedostępnego księcia Huntleya, nawet na krótko, będzie rozchwytywana. Nie wątpię, że gdy ta historia dobiegnie końca, złapiesz jakiegoś nudnego, pozbawionego kręgosłupa dżentelmena, który od czasu do czasu przypomni sobie, żeby się wczołgać do twojego łóżka, by cię obdarzyć bandą krzykliwych bachorów.

Nie mogła znieść tego pogardliwego tonu. Uniosła wysoko brodę. Co za bałwan! Jaki wybór miały kobiety poza małżeństwem i dziećmi? Na szczęście ją ominie taki okropny los.

- Żaden mężczyzna nie będzie czołgał się do mojego łóżka w żadnym celu
- odparowała.

- Jeden już to zrobił. Zapomniałaś o naszej porannej schadzce?

Błękitne oczy Edmonda pociemniały.

Brianna natychmiast skierowała się w stronę drzwi. Dowiedziała się, że Janet nie stała się krzywdą i że Edmond, przynajmniej na razie, nie wyrzuci jej na ulicę. Dobrze i to.

Stojąc na progu, zwróciła się do Edmonda z prośbą.

- Jeżeli naprawdę zależy ci na moim szczęściu, wyślij mnie do Stefana.

Wykonał nagły ruch, jakby rzeczywiście został ugodzony, ale zanim zdążył odpowiedzieć, Brianna zatrzasnęła za sobą drzwi i biegiem ruszyła w górę schodów. Będzie miała o czym rozmyślać w swoim pokoju, a przede wszystkim o tym, że wkrótce ludzie zaczną ją uważać za narzeczoną księcia Huntleya.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Po wyjściu Brianny z biblioteki wzburzony Edmond krążył tam i z powrotem po marmurowej posadzce. Dlaczego pozwolił, żeby Brianna wyprowadziła go z równowagi? Była przecież zdana na jego łaskę, nie miała wyboru. Mimo protestów musiała go słuchać albo zrezygnować ze schronienia w jego domu. Niepotrzebnie dał się sprowokować. Miał wielką ochotę pobiec za nią. Pragnął poskromić tę diabolicę, chciał, żeby uznała go za swojego pana. Najlepszym sposobem byłoby rozłożenie jej na obie łopatki w łóżku...

Mon Dieu.

Rozmarzył się. Wyobraźnia podsuwała mu obraz panny Quinn w roli oddanej mu, posłusznej niewolnicy. Z tych rozmyślań wyrwał go lokaj, wprowadzając do pokoju niepozornego dżentelmena o prostych, siwych włosach i dobrotliwej, niczym niewyróżniającej się twarzy.

W skromnym, ciemnym ubraniu, nieco za dużym, mężczyzna wyglądał na bankiera, prawnika lub jednego z niezliczonych kupców, którzy kręcą się po Londynie w poszukiwaniu zarobku. Nikt by się nie domyślił, że to jeden z najlepszych detektywów z Bow Street.

- Witam, Chesterfield - odezwał się przywrócony do rzeczywistości Edmond.

- Witam, Wasza Wysokość. To zaszczyt dla mnie. - Gość skłonił się zadziwiająco zgrabnie.

Edmond pomyślał, że w lepiej skrojonym ubraniu i modnym uczesaniu człowiek ten nie raziłby na ulicach Mayfair. Nawet jego głos brzmiał kulturalnie, chociaż gdyby zechciał, prawdopodobnie potrafiłby również mówić jak pierwszy lepszy włóczęga. Najlepszą kwalifikacją dla detektywa była niewątpliwie umiejętność poruszania się zarówno wśród najwyższych, jak i najniższych warstw społeczeństwa bez zwracania na siebie uwagi.

- Proszę usiąść. - Edmond odczekał, aż gość zajmie miejsce w złożonym weneckim fotelu, po czym sam usiadł za biurkiem. - Brandy? A może whisky?

- Nie, dziękuję. Nie piję mocnych alkoholi.

- Abstynent?

- Po prostu ktoś, kto woli zachować świeży umysł i nie rozgadywać się, a to trudne, gdy żołądek wypełnia diabelski trunek.

- Widzę, że jest pan człowiekiem, jakiego potrzebuję.

- Czy mógłbym się dowiedzieć, skąd pan zna moje nazwisko?

- Przed przyjazdem do Londynu napisałem do lorda Liverpoola z prośbą o pomoc w znalezieniu odpowiedniego fachowca. Zapewnił mnie, że nie tylko należy pan do najlepszych detektywów, jacy pracują na Bow Street, ale także potrafi pan trzymać język za zębami.

- Bardzo miło ze strony jego lordowskiej mości. - Chesterfieldowi wyraźnie pochlebiła ta opinia.

Edmond się roześmiał.

- Liverpool rzadko bywa miły, ale jest niezwykle przenikliwy i zna się na ludziach. Dlatego zaprosiłem pana do siebie.

Gość pozwolił sobie wreszcie zainteresować się powodem zaproszenia.

- Jak mogę się panu przydać?

- Przede wszystkim pragnę podkreślić nadzwyczaj delikatny charakter pańskiej misji. Nikt nie powinien się zorientować, że to ja pana wynająłem.

Chesterfield nie ugiął się pod surowym spojrzeniem Edmonda. Nie próbował nawet, jak uczyniłoby to wielu, zapewniać o swojej dyskrecji. Kiwnął tylko głową ze zrozumieniem.

- Mogę panu obiecać, że dołożę starań, by nikomu nawet nie przyszło do głowy, że kiedykolwiek nasze drogi się skrzyżowały.

- Może się okazać konieczne wynajęcie przez pana dodatkowych ludzi. Nie życzę sobie, żeby zamieszane w to było moje nazwisko.

Chesterfield znowu kiwnął głową.

- Współpracuję z ludźmi, których znam od lat. Nie będą nawet próbowali dociekać, kto mnie zaangażował.

- To dobrze.

Edmond nie miał wątpliwości, że Chesterfield jest dokładnie takim człowiekiem, jakiego potrzebuje. Wyjął z szuflady biurka miniaturę przedstawiającą Howarda Summerville'a. Ten bufon podarował ją Stefanowi w ubiegłym roku w prezencie na Boże Narodzenie. Edmond przesunął miniaturę w stronę detektywa.

- Proszę dobrze się przyjrzeć temu dżentelmenowi.

Chesterfield przez krótką chwilę wpatrywał się w obrazek.

- To pan Summerville.

- Zna go pan? - Edmond nie próbował maskować zaskoczenia.

- Z widzenia. Moim zwyczajem jest nie tracić z pola obserwacji dżentelmenów, którzy miewają kłopoty z wierzycielami. Nigdy nie wiadomo, kiedy jakiś kupiec wynajmie mnie, abym śledził jego klienta.

- Dlaczego jakiś kupiec miałby kazać śledzić klienta?

- Aby upewnić się, że ten nie ucieknie z kraju, nie spłaciwszy długów.

Chesterfield skrzywił lekko usta, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie dziwi go zdumienie Edmonda na myśl, że mógłby być śledzony na polecenie swojego krawca.

- Życzy pan sobie, bym miał na oku pana Summerville'a?

- I to bardzo blisko, Chesterfield. Ten człowiek nie może kichnąć, żeby pan się o tym nie dowiedział. Chcę wiedzieć, gdzie chodzi, kogo spotyka i, jeśli to możliwe, komu jest winien pieniądze. Chciałbym też, żeby jego dom został przeszukany, a jeśli zostanie znalezione coś, co ma związek z księciem Huntleyem lub Meadowland, żeby zostało to dostarczone bezpośrednio do mnie.

Chesterfield zastanawiał się chwilę, najwidoczniej nie spodziewał się takich szczegółowych żądań.

- Zaangażuję ludzi...

Edmond wyjął z biurka skórzaną sakiewkę.

- Niech pan wynajmie tyłu, ilu trzeba. Ważne tylko, żeby Summerville nie zorientował się, że jest obserwowany.

Detektyw wprawnym ruchem zgarnął sakiewkę i schował ją za pazuchą.

- Ma pan moje słowo. Nie będzie niczego podejrzewał. Będę panu zostawiał meldunki u właściciela pubu na Drake's Nest w pobliżu doków portowych. Zna pan to miejsce?

- Nie, ale nie wątpię, że mój służący, Borys, je znajdzie. Ma on przedziwną zdolność poznawania podejrzanych okolic.

- Proszę mu powiedzieć, żeby przedstawiał się jako Teddy Pinkston. Wszystkie zgromadzone informacje będę zostawiał na to nazwisko.

- A gdyby zaszła potrzeba skontaktowania się z panem osobiście?

- Proszę dostarczyć czerwoną różę śpiewaczce znanej jako La Russa w King's Theatre. Ona zaaranżuje spotkanie.

Edmond uniósł brwi ze zdziwienia na wzmiankę o utalentowanej artystce operowej, która podbiła londyńską publiczność. Nawet nie próbował sobie wyobrazić, co mogło ją łączyć z detektywem.

- Widzę, że tego rodzaju praca to dla pana nie pierwszozna - rzekł pełen podziwu dla organizacji Chesterfielda.

- Milordzie, swoje sekrety wezmę do grobu - powiedział detektyw, uśmiechając się lekko.

Zbliżała się pora kolacji, gdy w drzwiach pokoju Brianny stanęła Janet.

- Nareszcie!

Brianna wstała z wyściełanego siedzenia pod oknem. Na widok pokojówki uzmysłowiła sobie, jak samotnie czuła się w tym opustoszałym, wielkim domu.

- Zaczynałam się martwić, że zostałam uprowadzona.

- To niedalekie od prawdy.

- Wszystko w porządku? Nie jesteś ranna... - Urwała. Zauważyła, że za plecami Janet na korytarzu piętrzą się stosy pudełek. - A to co takiego?

Z tajemniczym uśmiechem pokojówka schyliła się po kilka ładnie zapakowanych paczuszek.

- Wszystko, co najniezbędniejsze w ciągu najbliższych tygodni - poinformowała zdezorientowaną Briannę. Położyła pakieciki na łóżku. - Na jutro ma panienka umówioną krawcową, żeby przymierzyć nową garderobę.

Brianna rozwiązała srebrne wstążki, którymi były obwiązane pakunki, i jej oczom ukazała się zadziwiająca zawartość. Koszule z cienkiego jedwabiu, obszyte brukselskimi koronkami, gorsety na fiszbinach i haftowane w delikatne kwiaty pończochy, tuzin kapelusików wykończonych satynowymi wstążkami i kiściami winorośli z pelerynkami do kompletu we wszystkich odcieniach i z różnych materiałów. Z pozostałych pudełek Janet wyciągnęła buciki z cielecej skórki i kilka par pantofelków tak pięknych, że aż korciło, by je przymierzyć.

- Mam umówioną krawcową? - zapytała niepewnie Brianna, odrywając się od fatalaszków, które zaścielały całą powierzchnię łóżka. - O czym ty mówisz?

- Wiem, że to może brzmieć dziwnie. Omal nie umarłam na atak serca, gdy ten wielki jak byk drab wyciągnął mnie z pokoju i kazał kupować wszystko, czego tylko mogłaby panienka potrzebować.

Brianna usiłowała uporządkować chaotyczne wyjaśnienia służącej.

- Jaki wielki jak byk drab?

- Borys. Ten, który zaskoczył nas wczoraj wieczorem i omal nie wyrzucił z domu.

- Borys zawiózł cię na zakupy?

- Właśnie o tym mówię.

- A ja nie mogę w to uwierzyć.

- To był dopiero widok! Kiedy się zorientowałam, że nie wyciągnął mnie z pokoju, by mi poderznąć gardło albo sprzedać mnie handlarzom niewolników,

myślałam, że nie wytrzymam ze śmiechu, widząc tego draba maszerującego z marsem na twarzy po Bond Street.

Brianna uśmiechnęła się, ale była zbyt zdenerwowana, aby docenić dowcip pokojówki.

- Musiał dostać polecenie od Edmonda. Tylko dlaczego ten diabeł tak dba o moją garderobę?

To oczywiste, domyśliła się natychmiast, chodzi przecież o prezencję jego przyszłej narzeczonej. Co oznaczałoby, że wysłał pokojówkę na zakupy na długo przed tym, zanim Brianna pod przymusem zgodziła się na dziwaczny pomysł z udawaniem narzeczonej. Okręciła się na pięcie i podeszła do wykuszowego okna, z którego rozciągał się wspaniały widok na pobliski park.

- To najbardziej arogancki, despotyczny i nieznośny osobnik, jakiego nosi ziemia!

- Święta prawda, że Bóg nie obdarzył arystokratów mądrością, jaką dał pchle, ale wygląda mi na to, że ten człowiek traktuje panienkę dość dobrze. Powiedziałabym, że nawet lepiej, niż się na to zносиło wczoraj wieczorem.

Brianna wzruszyła lekko ramionami. Nie ulegało wątpliwości, że udawanie przyszłej księżnej Huntley było mniej przykre od oganiania się przed zalotami obmierzłego ojczyrna. Nie mówiąc o ucieczce na kontynent, bez celu i pomysłu, skąd wziąć środki na utrzymanie. Nie oznaczało to jednak, że nie była na Edmonda wściekła za to, że postanowił wykorzystać ją w sobie tylko wiadomych celach. Zwłaszcza że oddanie jej pod opiekę Stefana rozwiązałoby cały problem.

Janet zbliżyła się do swojej pani i przyjrzała się jej uważnie.

- Czy on panienkę zniewolił...

- Nie, skądże. Myślę, że jest wielkim łajdakiem, ale nie zgwałciłby kobiety. - Zaśmiała się gorzko. - Nie musiałby.

- Co prawda, to prawda. Mało jest kobiet, które nie wpuściłyby go do łóżka. Oczywiście jest za gładki, jak na mój gust - zreflektowała się Janet. - Wolę bardziej kanciastych mężczyzn.

Brianna dopiero po chwili zorientowała się, że pokojówka miała na myśli Borysa, należącego zdecydowanie do mężczyzn kanciastych.

- Janet! Co ty pleciesz!

- A co? - Służąca podparła się pod boki. - Ten smok nie jest taki zły i jak nie zionie ogniem, to całkiem przyjemny z niego towarzysz. Skoro mamy tu tkwić przez kilka następnych tygodni, nie ma powodu, żeby się trochę nie zabawić.

Brianna powstrzymała się od wyrażenia opinii na temat Borysa.

- Masz rację - powiedziała. - Utknęliśmy tu. Przynajmniej na jakiś czas.

- Czy coś się stało, jak mnie nie było?

- Jeszcze nic, ale wkrótce się stanie.

- Co takiego?

- Edmond zamierza rozesłać zawiadomienie o moich zaręczynach z księciem Huntleyem.

Janet zaniemówiła. Zanim była zdolna zażądać wyjaśnień, usłyszały zbliżające się kroki i jakiś odgłos, który mógł być stukaniem laski o podłogę.

- Nie, nie - odezwał się stanowczy damski głos w ciszy korytarza. - Wolę ten pokój.

- Pan kazał... - rozległ się głos Borysa.

- Ten, powiedziałam. Lawendowy kolor działa uspokajająco.

Brianna ze zdumieniem odkryła, że rozpoznaje ów głos. Ze wszystkich ciotek Edmonda najbardziej lubiła lady Aberlane. Starsza pani odznaczała się miłym usposobieniem i udawała niezbyt bystrą, ale przenikliwym umysłem potrafiła przejrzeć na wylot każdą sytuację. Decyzja o sprowadzeniu lady Aberlane wydawała się niepojęta. Przecież Edmond musi wiedzieć, że ciotka nie da się nabrać na maskaradę, którą zaplanował.

Brianna otworzyła drzwi. Borys wciągał właśnie wielki kufer do sypialni po drugiej stronie korytarza. Lady Aberlane była drobną siwowłosą staruszką o twarzy w kształcie serca. Nie zmieniała się i wciąż tak samo ubierała się w prostą, choć elegancką szarą suknię, a na szyi nosiła nieodmiennie złoty medalion z miniaturą ukochanego zmarłego męża. W rękę trzymała nieodłączną hebanową laseczkę. Wcale nie służyła do pomocy w chodzeniu, lecz raczej do karcenia tych nieszczęśników, którzy wyprowadzili starszą panią z równowagi. Nigdy nie była piękną, lecz jasnooliwkowa twarz miała dobrotliwy wyraz, który kompensował braki urody.

Wyczuwając obecność Brianny, odwróciła się i uśmiechnęła.

- Witam, moja droga. Zakłóciłam ci spokój?

- Skądże. - Brianna dygnęła głęboko. - Lady Aberlane, cieszę się, że znowu panią widzę.

- Dobrze, dobrze. Miło, że pamiętasz starą kobietę.

- Pewnie, że pamiętam. Zawsze przynosiła mi pani marcepanki.

- Słodki poczęstunek dla słodkiej dziewczynki. A teraz dorosła panna zaręczona z moim ukochanym Stefanem.

- No właśnie. Ładna niespodzianka, prawda?

Zapadło milczenie, jak gdyby lady Aberlane zastanawiała się nad tym dwuznacznym stwierdzeniem. Briannie było trudno kłamać, patrząc prosto w oczy.

- Prawdę powiedziawszy, żadna - odezwała się wreszcie lady Aberlane. - Przecież Stefan zawsze cię lubił. Wciąż... - Potrząsnęła głową. - Nieważne. - Poglaskała Briannę po rękę. - Wyobrażam sobie, jaki szczęśliwy byłby twój ojciec. Matka też, naturalnie.

Rzeczywiście marzeniem rodziców Brianny było, żeby wyszła za mąż za jednego z braci Summerville'ów. Ojca, ponieważ szczerze wierzył, że da to Briannie szczęście, a matki... no cóż, motywy Sylvii Quinn nie były bezinteresowne.

- Zapewne matka byłaby zadowolona - powiedziała z goryczą Brianna i pomyślała, że przeputanie fortuny Summerville'ów zajęłoby rodzicielce ładnych parę lat.

- Biedna Sylvia. Taka piękna i krucha istota. Wiedziała, że nie powinna wychodzić za twojego ojca.

- Ale on ją bardzo kochał.

- O tak, bardzo. Sylvia też kochała Fredricka. Są jednak takie niespokojne dusze, które nie powinny wiązać się z innymi. Nawet jeśli zdecydują się osiąść w miejscu i poświęcić rodzinie, będą zawsze czuły się w pewnym sensie uwięzione. Nic dziwnego, że zaczynają szukać podniety w niefortunnych zachowaniach.

Brianna zacisnęła wargi. Może lady Aberlane miała rację? Może jej matka należała do ludzi, którzy nie potrafią znaleźć szczęścia w zamkniętym świecie małżeństwa i rodziny? Nie usprawiedliwia to faktu, że przegrała w karty nie tylko własny majątek, lecz także część posagu Brianny, po czym poślubiła odrażającą kreaturę, która stała się zagrożeniem dla córki.

Tego nie dało się usprawiedliwić.

- Więcej niż niefortunnych - podsumowała oschle.

Lady Aberlane jeszcze raz pogłaskała Briannę po rękę. Była skonsternowana.

- Głupio z mojej strony, że poruszyłam ten bolesny temat - odezwała się. - Zwłaszcza że wszystko to należy do przeszłości.

- Tak, to przeszłość - przyznała z westchnieniem Brianna. Rozmyślanie o tym jest bezsensowne, jeszcze bardziej bezsensowne jest roztrząsanie tego w obecności dobrodusznej lady Aberlane. - Dziękuję, że pani przyjechała, aby dotrzymać mi towarzystwa.

- Nie ma za co, moja droga. Żyłam zbyt spokojnie. To dla mnie miła odmiana - znowu zacznę bywać. Będziemy się dobrze bawiły.

Brianna uśmiechnęła się z przymusem, przekonana, że przebiegła stara dama zorientowała się, iż coś jest nie w porządku. Brianna założyłaby się o ostatniego pensa, że lady Aberlane już nabrała podejrzeń.

- Będzie to co najmniej interesujące - mruknęła.

Starsza pani uśmiechnęła się i zrobiła do Brianny oko.

- Zapewne, moja kochana, zapewne.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Edmond postanowił zjeść kolację i się uraczyć się butelką dobrego burgunda w klubie brata, usytuowanym przy St. James's Street. Uważał, że powinien przestrzegać zwyczajów Stefana, nie mówiąc już o tym, że głupotą byłoby tkwienie samotnie w domu wtedy, gdy należało zbierać informacje o knującym zbrodnicze plany kuzynie.

Najważniejszym powodem była jednak konieczność uwolnienia się spod wpływu rozpraszającej umysł bliskości Brianny Quinn. Jak skupić się na ważnych sprawach, gdy myśli wciąż krążą wokół podniecająco jedwabistej, pachnącej lawendą skóry dziewczyny?

Niestety, odległość nie wpływała na poprawienie jasności myślenia. Stwierdziwszy, że atmosfera szacownego klubu dla dżentelmenów nie działa na niego zadowalająco, Edmond powrócił do domu i czyhających tam na niego pokus.

Wszyscy domownicy byli już w łóżkach, gdy bezszelestnie wśliznął się do środka i schodami skradał się na górę do sypialni. Czekał tam na niego rosyjski pokojowiec, który pomógł mu uwolnić się od ciasno dopasowanego surduta. Największą zaletą sługi była niechęć do niepotrzebnej rozmowy. Jeśli nie miał do przekazania ważnej informacji, nie otwierał ust.

W krótkim czasie Edmond pozbył się eleganckiego ubioru i włożył brokatowy szlafrok. Upewniwszy się, że pan nie potrzebuje jego pomocy,

pokojowiec opuścił sypialnię, pozostawiając Edmonda sam na sam ze szklaneczką brandy.

Przez chwilę Edmond rozważał rozsądny pomysł udania się na spoczynek. Było późno i Brianna na pewno już spała. Nie byłaby mu wdzięczna za obudzenie o tej porze. Jednak po wysączeniu ostatniej kropli trunku Edmond podszedł do jednej ze ścian pokoju, zdjął wiszący na niej obraz Reynoldsa, odsłaniając ukrytą dźwignię. Pociągnął ją i ściana się rozsunęła, odsłaniając ciemny korytarzyk.

Edmond wziął palącą się świeczkę z półki nad kominkiem i zapuścił się w głąb korytarzyka, który wiódł do pokoju Brianny. Jeszcze tylko chwila zmagania się z od lat nieużywanym, pokrytym grubą warstwą kurzu mechanizmem i tajemne wejście stało otworem.

Bezszelestnie wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Brianna, jakby wyczuwając przez sen jego obecność, obróciła się w łóżku i otworzyła oczy.

- Edmond? - Usiadła, przyciskając przykrycie do piersi.

Wyglądała zachwycająco. Włosy, choć ciasno splecione, w świetle świeczki lśniły. Twarz o regularnych rysach wyglądała raczej na dzieło utalentowanego artysty niż natury. I te niemal przejrzyste zielone oczy... Nerwowo zwilżyła językiem usta.

- Jak tu wszedłeś?

- Cii...

Zbliżył się, usiadł na skraju łóżka i odstawił lichterz na nocny stolik, a Brianna przywarła do poduszki, jeszcze ściślej okrywając się kołdrą.

- Jak wszedłeś do mojego pokoju? - zapytała ponownie, tym razem dobitnym szeptem.

- Mój dziadek kazał wykonać w domu sekretne przejścia podczas rządów terroru w czasie rewolucji francuskiej. Obawiał się chyba, że podobne zamieszki mogą ogarnąć Anglię. Na wszelki wypadek szykował drogę ucieczki. Nie

zamierzał dać sobie obciąć głowy. Rozsądna decyzja, choć nieświadcząca o odwadze.

- Sekretne przejścia? Użyteczna rzecz.

Zanim zdążyła się uchylić, przybliżył się do jej pełnych ust, których wspomnienie prześladowało go przez cały dzień.

- Nie miałem pojęcia, jak użyteczna, aż do dzisiaj.

- Czego chcesz?

Złożył szybki pocałunek na wargach Brianny, po czym odsunął się, żeby patrzeć, jak jej jasne policzki pokrywają się rumieńcem.

- Głupie pytanie, *ma souris*. Dobrze wiesz, czego chcę.

- Postradałeś rozum? Twoja ciotka śpi po drugiej stronie korytarza. Jeśli domyśli się, że jesteś tutaj, będę zgubiona.

- Dlatego właśnie wszedłem sekretnymi drzwiami. Nikt się nie dowie, że tu jestem, chyba że okażesz się tak głupia, iż sama postawisz na nogi cały dom.

Brianna prychnęła lekceważąco na tę logikę.

- Możesz korzystać z różnych tajemnych przejść, ale nic nie ujdziesz uwagi ciotki Letty. Chyba wiesz, że to najinteligentniejsza ze wszystkich twoich krewnych. Nigdy nie uwierzy w tę farsę. Nie uwierzy również w to, że jesteś Stefanem.

- Wiem, potrafi być bardzo wścibska.

- To dlaczego wybrałeś ją na moją przyzwoitkę?

- Bo wiedziałem, że ją lubisz.

- Aha.

Edmond przysunął się tak blisko, że czuł oddech Brianny na policzku.

- Zdziwiło cię to?

- Dlaczego miałyby nie dziwić? Nie wysilasz się za nadto, żeby sprawić mi przyjemność.

Lawendowy zapach jej ciała działał niezwykle podniecająco na Edmonda.

- Przeciwnie. Zrobiłem wiele, żeby ci sprawić przyjemność. To ty mnie powstrzymywałaś.

Wyczuł, że zadrżała.

- Myślisz tylko o sobie.

- Jeśli w to wierzysz, to pozwól mi udowodnić, że jest inaczej - odparł, całując ją namiętnie w usta.

Poddała się na moment, po czym odepchnęła się dłońmi od jego piersi.

- Nie, Edmondzie. Nie rób tego.

- Muszę.

Odwróciła głowę, zaczął więc całować jej szyję, wodząc ustami aż do delikatnego miejsca za uchem.

- Marzyłem o tej chwili od czasu, gdy przerwał nam tak grubiańsko twój ojczym.

- Myślę, że dość już tego.

- Przeciwnie, do tego daleko. Wkrótce zgodzisz się ze mną.

- Taki jesteś pewny swoich umiejętności? Próbowała go zlekceważyć. To go tylko rozśmieszyło.

- Jestem pewny, że połączy nas namiętność. To nie kwestia umiejętności, lecz słodkiego oczekiwania - koniuszkiem języka przesuwając wzdłuż ramiączka podtrzymującego jej koszulę - a może potrzeby.

Usiłował odsunąć dzielącą ich kołdrę. Nie pozwoliła. Niezrażony, zaczął okrywać lekkimi jak muśnięcie motyla pocałunkami jej twarz i spróbował jeszcze raz. Udało się. Napawał się widokiem kształtnego ciała, którego zarysu nie były w stanie ukryć przed jego pożądlivym spojrzeniem przezroczyście koronki koszuli nocnej.

- *Mon Dieu!* - szepnął z podziwem. - Twoja służąca chyba nie wiedziała, co robi. Ten widok działa ożywczo na wyobraźnię każdego mężczyzny.

Odsunął na bok złotą jedwabną wstążkę, która utrzymywała koronki na miejscu. Prosta czynność, którą wykonywał wiele razy, tak wiele, że nie

potrafiłby przypomnieć sobie ile, wywołała niespotykane dotychczas wibracje. Jakby razem grali jakąś cudowną symfonię. Wzruszającą, szeroką frazę wznoszącą się potężnym crescendo.

Zamknął oczy i wziął w posiadanie usta Brianny. Nie czas na rozpraszające uwagę fantazje. Nic tym razem nie odwiedzie go od osiągnięcia pełni rozkoszy. Edmond ściągnął w dół koronkowy staniczek i zamknął dłonie na łagodnych wzgórkach piersi Brianny. Czuł, jak pod palcami brodawki zmieniają się w twarde gruzełki.

Bezradnie przesuwała rękami po jego klatce piersiowej, rozdarta między chęcią poznania jego ciała a nieśmiałością dziewicy. Zrzucił szlafrok i pomrukami aprobaty skłaniał do większej odwagi, w miarę jak jej dłonie zniżały się w stronę brzucha.

Odkrycia, których dokonała, tak ją zaabsorbowały, że nie protestowała, gdy do reszty usunął jej koszulę, rzucając ją na podłogę. Wyciągnął się wzdłuż Brianny, oczarowany jedwabistością i lawendowym aromatem jej skóry.

Była taka krucha, taka delikatna, ale promieniało z niej ciepło, pod wpływem którego krew pulsowała mu w żyłach w niemal zawrotnym tempie.

- Jesteś... doskonała.

Uchwycił wargami brodawkę piersi.

- O Boże! - wykrzyknęła i zacisnęła palce na jego ramionach tak silnie, że miał wrażenie, że spod jej paznokci popłynie krew.

- Cii... *ma souris*, musisz być bardzo, bardzo cicho - skarcił ją, ale poczuł przypływ satysfakcji.

Cokolwiek czuła do niego ta kobieta, nie potrafiła ukryć, jaką rozkosz sprawiła jej pieszczota. Nie potrzebował dalszej zachęty. Wsunął dłoń między jej uda. Jej okrzyk mógłby obudzić umarłego, gdyby zawczasu nie stłumił go, zakrywając ustami jej wargi. Pieścił ją wolno, wytrwale. Bardzo by chciał zagłębić się w niej już w tej chwili, ale przed przyjściem do sypialni złożył sobie obietnicę: nigdy nie usłyszy jej skargi, że myśli tylko o własnej satysfakcji. Po

tej nocy Brianna zrozumie, iż rozkosz, jakiej będzie zaznawała przy nim, jest obustronna.

Była coraz bliżej spełnienia. Szeptala niezrozumiałe słowa tuż przy jego wargach. *Mon Dieu*, kto by powiedział, że okaże się to tak stymulujące? Nie potrafił już dłużej panować nad swoim podnieceniem i pozwolił, aby jego wybuch wstrząsnął nim do głębi duszy. Pieścił ją nadal, aż poczuł, że jej ciało niemal roztapia się w satysfakcji.

- To był...

- Dopiero początek - powiedział z figlarnym uśmiechem.

Mimo niepowodzenia doznanego ostatniej nocy Edmond zszedł rano na śniadanie w zadziwiająco dobrym humorze.

W jadalni oprócz stojących nieruchomo jak dwie wieże lokajów nie było nikogo. Edmond pozbył się większości służących Stefana. Ci, którzy pozostali, byli mu wierni bez granic, dyskretni i zdolni sprostać każdej niebezpiecznej sytuacji, jaka mogła mu zagrozić.

Nałożył sobie na talerz solidną porcję szynki, jajek, tostów z marmoladą i usiadł na końcu długiego stołu. Lokaj pospieszył z napełnieniem filiżanki kawą i położył obok nakrycia poranną gazetę.

Edmond rzucił okiem na kolumny towarzyskie. Wynajął Chesterfielda, aby miał oko na Howarda Summerville'a, nie zamierzał jednak sam trwać w beczynności. Komunikat o jego zaręczynach powinien znaleźć się w dzisiejszym wydaniu dziennika, ale czy kuzyn go przeczyta? Obowiązkiem Edmonda jest zadbanie o to, żeby do świadomości Howarda doszło, że ślub księcia Huntleya jest bliski. To oczywiście sprowokuje jego szybką reakcję.

Przeglądając gazetę, omal nie przeoczył lakonicznej wzmianki o tym, że niejaki Wiktor Kozakow przybył do Londynu i wynajął apartament w hotelu Pultneya na Piccadilly.

Wizyty bogatych rosyjskich arystokratów w Londynie nie należały do rzadkości. Nie dziwił również fakt, że ten arystokrata wolał apartament hotelowy od gościnności królewskiej. Edmond dobrze jednak wiedział, że Aleksander Pawłowicz zesłał Wiktora na Syberię, kiedy dowiedział się, że przyłapano go na spełnianiu toastu za bliską śmierć cara.

W śledztwie Kozakow twierdził, że był pijany i tylko żartował, ale Aleksander nie znał się na takich żartach; wiedział, że na dworze kielkuje niezadowolenie z jego rządów. Kozakowa miała na Syberii pilnować osobista gwardia carska. Jakim cudem udało mu się zbiec z Syberii? I co robił w Londynie?

Zdając sobie sprawę z tego, że to dodatkowa i niepotrzebna komplikacja, Edmond mimo wszystko nie zaniedbał obowiązku poinformowania ambasadora Rosji o przybyciu niespodziewanego gościa. Poprosił lokaja o niezwłoczne podanie mu pióra i papieru. Zaledwie się z tym uporał, gdy do jadalni wkroczyła lady Aberlane.

Wstał, uśmiechając się z przymusem. Starsza pani tylko od czasu do czasu przypominała sobie o użyciu hebanowej laseczki. Rozpromieniła się na widok Edmonda.

- Dzień dobry, mój kochany. - Zatrzymała się, czekając, żeby się schylił, gdyż chciała go pocałować w policzek. Dopiero wtedy usiadła na krześle, które jej podsunął.

- Dzień dobry, ciociu Letty. - Edmund odczekał, aż lokaj poda jej talerz ze śniadaniem, i wrócił na swoje miejsce. - Mam nadzieję, że rozgościłaś się wygodnie w swoim pokoju.

- Jak zwykle. Zawsze dobrze się czuję w Huntley House. - Odprawiła obsługującego ją lokaja. - Dziękuję, to wszystko, możecie wyjść.

Służący poczekał na niechętnie potwierdzenie ze strony pana, skłonił się i opuścił pokój. Sam na sam z ciotką nie zachwycało Edmonda.

Brianna miała rację. Lady Aberlane była nie tylko niepokojąco inteligentna, lecz także spostrzegawcza. Obawiał się, że aby uśmierzyć jej podejrzenia, będzie musiał ujawnić jej przynajmniej część prawdy.

- Mój drogi, może mi powiesz, dlaczego udajesz Stefana i igrasz reputacją Brianny, ogłaszając te niepoważne zaręczyny? - Ciotka nie spuszczała z Edmonda przenikliwego spojrzenia.

Roześmiał się. Jaka czujna! I gotowa mówić to, co myśli.

- Zaręczyny ogłosiłem, właśnie mając na uwadze reputację Brianny. Przecież inaczej nie mogłaby pozostać pod moim, to znaczy Stefana, dachem.

Lady Aberlane uniosła wzrok ku sztukateriom na suficie.

- A właściwie dlaczego w ogóle znalazła się pod twoim dachem? Czy nie powinna mieszkać z ojczymem?

Edmond opowiedział o niecznych planach Thomasa Wade'a wywiezienia Brianny do Norfolku. Ciotka słuchała w milczeniu. Zaciśnęła usta, słysząc o przebiegu wizyty ojczyma Brianny w Huntley House, najwidoczniej dzielając przekonanie

Edmonda, że Thomas zagraża Briannie, gdyż jest owładnięty obsesją na jej tle.

- Biedne dziecko. Podejrzewałam, że nie należało ufać temu niegodziwcowi i powierzać mu opieki nad tak piękną młodą damą. Nie rozumiem jej ojca. Przecież musiał wiedzieć, że Sylvia nie nadawała się do roli matki. Chyba nie planujesz jakiegoś głupstwa, prawda, Edmondzie?

- Rzadko popełniam błędy, ciociu.

- To prawda. No cóż, muszę stwierdzić, że cieszy mnie, iż zabrałeś Briannę spod władzy tej nędznej kreatury, jej ojczyma, ale nie rozumiem, dlaczego trzymasz ją tutaj. Przecież mógłbyś ją odesłać do mnie albo, jeszcze lepiej, do Meadowland.

Sam się zdziwił, że najniewinniejsza wzmianka o usunięciu Brianny spod jego opieki budzi w nim gniew.

- Wyznam tylko tyle, że jej obecność jest niespodziewanym zrządzeniem losu, które zamierzam wykorzystać w swoim celu.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała zdumiona lady Aberlane.

- Nie mogę ci wyjaśnić. Również tego, dlaczego udaję Stefana. Przyjmij do wiadomości tylko tyle, że Stefan znalazł się w niebezpieczeństwie, a ja będę go chronił. Bez względu na to, co będę musiał uczynić i kogo wykorzystać.

- Stefan w niebezpieczeństwie?

- Obawiam się, że tak.

- W takim razie musisz zrobić to, co do ciebie należy. Wiesz, że możesz liczyć na moją pomoc. Wystarczy poprosić.

To nie była pusta obietnica. Ciotka cieszyła się szacunkiem w towarzystwie, a jej nieżyjący mąż był liczącym się politykiem i pozostawił wielu wpływowych przyjaciół, gotowych pomóc wdowie.

- Dziękuję, ciociu. Będę pamiętał o twojej propozycji.

Lady Letty nie była jednak w pełni usatysfakcjonowana.

- Mam nadzieję, najdroższy Edmondzie, że zdajesz sobie sprawę z tego, że Brianna nie należy do kobiet, z którymi miałeś do tej pory do czynienia. Możesz ją łatwo skrzywdzić.

Zerwał się z miejsca. Potrzebował obecności lady Aberlane, ale nie mógł pozwolić, żeby udzielała mu nauk.

- Nie zamierzam jej krzywdzić - powiedział ostrym tonem.

- Może nie, ale...

- Nie mam czasu, ciociu. Zaplanowałem kilka spotkań na dziś rano.

Byłbym wdzięczny, gdybyś pojechała z Brianną do krawcowej. Jestem pewien, że wiesz, które z nich cieszą się wzięciem u młodych pań z towarzystwa.

- Planujesz z nią bywać?

- Nie uważasz, że wyglądałoby to dziwnie, gdybyśmy nie wzięli udziału chociaż w kilku spotkaniach? Na szczęście niechęć Stefana do tego rodzaju

rozrywek jest powszechnie znana, nie będziemy więc musieli bywać zbyt często.

- A co chcesz uczynić z Brianną, gdy zagrożenie dla Stefana minie?

Wyślesz ją do Meadowland, gdzie jest jej miejsce?

- Dlaczego tak uważasz? - wyrwało mu się.

- To Stefan jest jej opiekunem prawnym.

- Szkoda, że nie dopełnił obowiązków i nie wyrwał jej ze szponów Thomasa Wade'a.

- A ty to zrobiłeś?

- A ja to zrobiłem. - Edmond się uklonił. - Do widzenia, cioteczko.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przez trzy dni Brianna przymierzyła nieprawdopodobną liczbę sukien, zdaniem lady Aberlane niezbędnych przyszłej księżnej Huntley. Muślinowe i jedwabne przedpołudniowe, wyjściowe ze spencerkami i podbitymi gronostajami pelerynkami, strój podróżny z czerwonego aksamitu z ciepłąką mufką, wreszcie brązową wieczorową kreację ze złotymi klamerkami, pokrytą pasiastym różowym jedwabiem, wykończonym bordiurą z tiulu. Garderoba byłaby oczywiście niekompletna bez wytwornych toalet balowych, których cena przyprawiała Briannę o zawrót głowy.

Nigdy od przedwczesnej śmierci ojca Brianna nie miała takich strojów. Nie, żeby matka chciała ją trzymać w łańcuchach. Sylvii po prostu nie przychodziło do głowy, że córka może potrzebować od czasu do czasu nowych strojów, a jeśli już, to kazała dla niej przerabiać swoje stare suknie. Pieniądze, jakie otrzymywała od Thomasa, szły głównie na pokrycie jej długów karcianych.

Briannę ogarniało poczucie winy, że tak lekkomyślnie trwoni fortunę Edmonda. Co prawda, sam zmusił ją do udawania narzeczonej księcia, ale to

ona przecież narzuciła mu swoją obecność. Ostatecznie uspokajała sumienie, gdyż po raz pierwszy od ponad roku była... niemal szczęśliwa.

Jednak to nie eleganckie suknie i kapelusze z piórami sprawiły, że uśmiechała się szeroko, gdy poddawała się zabiegom fryzjerskim. Była wolna od strachu, znalazła się bowiem poza zasięgiem Thomasa Wade'a. W londyńskiej rezydencji Huntleyów czuła się bezpiecznie.

Ten dom to prawdziwa forteca, choć jego personel był stosunkowo nieliczny. A ponieważ nie wolno jej było wychodzić bez Borysa, nie musiała się bać również podczas wypraw na zakupy. Ojczym był może głupcem, ale nie stradał rozumu do tego stopnia, żeby ośmielić się uprowadzić ją spod czujnego oka groźnego strażnika.

I ta przemiła lady Aberlane. Brianna długo była skazana wyłącznie na towarzystwo pokojówki, więc teraz przy filiżance herbaty z prawdziwą przyjemnością słuchała najnowszych plotek z wielkiego świata opowiadanych z humorem przez starszą panią.

W głębi duszy musiała jednak przyznać sama przed sobą, że prawdziwą przyczyną dobrego nastroju jest Edmond Summerville. Nie widziała go od kilku dni, a ciągle rozpamiętuje sceny z jego udziałem: jak wyrzuca Thomasa, jak zakazuje jej wychodzenia z domu bez opieki Borysa, jak tuli ją do piersi, a ona drży w pierwszym porywie rozkoszy...

Już trzy noce upłynęły od tamtej pamiętnej, kiedy doświadczyła uwodzicielskiej mocy Edmonda. Dotykał najintymniejszych miejsc jej ciała, obudził w niej namiętność, której eksplozja wstrząsnęła nią do tego stopnia, że długo jeszcze po jego wyjściu z pokoju nie potrafiła wrócić do rzeczywistości, tylko trwała w oszołomieniu i niewierze, że takie doznania są możliwe.

Dzisiaj wieczorem ma się po raz pierwszy objawić londyńskiemu towarzystwu. Musi się dobrze trzymać, jeśli nie chce, żeby jej debiut zakończył się katastrofą.

- Niech panienka spojrzy. - Janet usunęła się na bok, aby Brianna mogła w pełni docenić jej dzieło: misternie związany na czubku głowy węzeł, z którego opadały mocno skrecone, drobne loczki. - Czy panienka nie wygląda doskonale?

- Do doskonałości daleko, ale suknia jest bez zarzutu. Lady Aberlane ma wytworny gust.

Brianna wstała. Wygładziła białą koronkę pokrywającą ciemnoniebieski taftowy spód. Staniczek był wycięty głęboko, o wiele głębiej niż we wszystkich dotychczasowych toaletach Brianny, bufiaste rękawki sterczały zalotnie, maleńkie jedwabne różyczki u dołu korespondowały z różyczkami wpiętymi we fryzurę.

- Ale to nie suknia, choćby nie wiem jak piękna, będzie budziła zainteresowanie.

- To prawda, Janet. Każdy będzie chciał zobaczyć narzeczoną księcia Huntleya. Będę się czuła jak zwierzę z królewskiej menażerii. Mam nadzieję, że nie przyniosę wstydu biednemu Stefanowi.

- Panienka jeszcze nigdy nie wyglądała tak pięknie. Po prostu zjawiskowo.

- Tak, zjawiskowo.

Do sypialni bezceremonialnie wszedł Edmond.

Brianna chciała wierzyć, że to rzeczywiście tylko zdziwienie było przyczyną gwałtownego uderzenia serca i nagłego ożywienia na jego widok. Ale w ten sposób nie dało się wytłumaczyć, dlaczego jak zahipnotyzowana wpatrywała się w jego wysoką postać, tak pięknie prezentującą się w białych spodniach do kolan, czarnym fraku i srebrnej kamizelce. Dlaczego zapragnęła wsunąć palce w jego jedwabiste, czarne włosy, dlaczego pożałowała, że zjawił się w jej sypialni, bo razem wybierali się na imprezę towarzyską, a nie z innego powodu?

- Edmondzie, nie możesz tak po prostu wchodzić do mojego pokoju - powiedziała szorstko, żeby ukryć emocje.

- Wyjdź - rozkazał pokojówce, nie spuszczać wzroku z Brianny.

Jak należało się spodziewać, dziewczyna nie ruszyła się dopóty, dopóki Brianna nie dała jej znaku, że może to zrobić.

- Wszystko w porządku, Janet.

- Dobrze. Niech się zachowuje, bo inaczej będzie miał ze mną do czynienia. - Obrzuciła Edmonda bazylijskim wzrokiem i skierowała się ku drzwiom.

- Czy twoja służąca mi grozi? - Był zdumiony.

- Chyba tak.

- A cóż taka prosta dziewczyna mogłaby mi zrobić?

- Nie doceniasz jej, Edmondzie. Janet jest nie tylko bardzo przebiegła, ale tak się składa, że pochodzi z najniebezpieczniejszego środowiska przestępczego w mieście. Może mieć na skinienie niejednego londyńskiego opryszka.

Nie wyglądał na przestraszonego, raczej na zaciekawionego.

- Dlaczego nie wezwała ich na pomoc, żeby rozprawili się z twoim ojczymem?

Brianna zadrżała. Ile to razy kusilo ją, żeby ustąpić Janet i kazać zgładzić Thomasa Wade'a we śnie.

- Bo jej zabroniłam - wyznała.

- Dlaczego?

- Dlaczego ktoś inny miałby ryzykować głowę dla mnie?

- Taka jesteś samodzielna, *ma souris*? Ubódł ją ten żartobliwy ton.

- Odkryłam, że zależność jest bardzo niebezpieczna. Na szczęście wkrótce będę mogła domagać się należnego mi spadku i nigdy nie będę zależna od kogokolwiek. Nie mogę się tego doczekać.

- Masz spadek?

- Tak. Ojciec ulokował część posagu w papierach wartościowych, których nie mogła spieniężyć moja matka. Uzyskam dostęp do tych funduszy, gdy skończę dwadzieścia trzy lata. Nie jest to wielka suma jak dla księcia Huntleya,

ale wystarczająca, żeby wynająć skromny dom i trzymać służbę. W końcu będziemy bezpieczne razem z Janet.

- To absurd. Nie wszyscy chcą cię skrzywdzić.

- Skrzywdzić może nie, ale każdy chciałby wykorzystać mnie do swoich celów. Ty także.

- Właśnie. Do moich niecznych celów. Siadaj. - Wskazał krzesło przed toaletką.

- Po co?

- Skoro tu jesteś, masz mnie słuchać. Siadaj - powtórzył.

- Już dobrze. - Zajęła miejsce z wyraźną niechęcią, ale nie zamierzała wdawać się w walkę, którą musiała przegrać. - Kiedyś spotkasz kogoś, kogo nie będziesz mógł poniżyć i... - Nie dokończyła. Zerknęła w lustro. - Boże! -

Uniosła wzrok ku odbiciu Edmonda. - To przecież szmaragdy Huntleyów.

Stał z nieprzeniknioną miną, gładząc jej wydekoltowane ramiona.

Dotknęła naszyjnika. Zrobiło się jej smutno.

Wiedziała, co oznaczają te kamienie i dla kogo są przeznaczone. Dla kobiety godnej pozycji księżnej Huntley. Kobiety, którą ona nigdy nie będzie.

- Nie mogę tego włożyć - szepnęła niemal przez łzy.

Jej odmowa zirytowała Edmonda.

- Naszyjnik jest może trochę staromodny, zgadzam się, ale to i tak najpiękniejsza kolekcja szmaragdów w całej Anglii - powiedział lodowatym tonem. - Niewiele kobiet odmówiłoby włożenia czegoś takiego na szyję. Wręcz przeciwnie, znalazłoby się sporo chętnych.

Jego niezadowolenie nie zrobiło wrażenia na Briannie. Edmond od wczesnej młodości lubił naginać ludzi do swojej woli. Należało mocno okopać się na pozycjach, żeby mu się oprzeć.

- Te kamienie są wręcz doskonałe, o czym dobrze wiesz, ale należą się przyszłej księżnej Huntley, a nie uzurpatorce. Pokazać się w nich może tylko żona Stefana. - Wstała i odwróciła się w jego stronę.

- To tylko kamienie, *ma souris*, im wszystko jedno, czy zostaniesz księżną Huntley, czy nie.

- Nie, bo wszyscy je na mnie zobaczą. To je zdeprecjonuje.

- Co ty opowiadasz!

- Tak.

- Jak uważasz. - Ukłonił się z przesadną grzecznością i ruszył ku wyjściu.

- Nie mogę się zdecydować, czy cię udusić, czy rzucić na łóżko, zostawiam cię więc, żebyś dokończyła toaletę. Zaczekam w holu, aż będziesz gotowa.

Z ukrycia na półpiętrze Janet obserwowała, jak Edmond delikatnie otula kaszmirowym szalem ramiona jej pani. Pochylał ku niej głowę, jakby chciał chłonąć zapach jej ciała. Zauważyła, że od pierwszej chwili, gdy znalazły się w domu Huntleyów, Brianna wpadła w oko lordowi Edmondowi. Było oczywiste, że chciał ją zdobyć. Sądząc po zachowaniu Brianny, mógł osiągnąć cel. Najbardziej niepokoiło Janet to, że Edmond zachowywał się tak, jakby uważał jej panią za własność. To było o wiele groźniejsze niż chęć uwiedzenia. Janet zastanawiała się, czy Brianna nie wpadła z deszczu pod rynnę.

- Szpiegujesz mojego pana? - usłyszała dudniący głos tuż koło ucha. Para silnych rąk chwyciła ją w talii i odciągnęła od balustrady.

- Przestań! - syknęła, uderzając Borysa w tors. Nie spodziewał się takiej reakcji. Puścił ją.

- Co mam przestać?

- Udawać, że nie mówisz dobrze po angielsku. Może jestem głupia, ale nie do tego stopnia. Znam się na ludziach.

- Czyżby?

- Tak.

Ojciec wpajał jej od kołyski, żeby nie dawała się zwodzić ładnym twarzom i niewinnym oczom koloru pogodnego nieba.

- Czasami niebezpiecznie jest za dużo wiedzieć. - Pochylił się nad nią, a jego oddech muskał jej twarz.

- Czy to groźba? - Ta bliskość była nawet przyjemna.
- Boisz się? - zapytał. Cudzoziemski akcent był ledwie słyszalny.
- Kogoś takiego jak ty? Znałam rzezimieszków, na widok których zapłakałbyś ze strachu. Mój ojciec jest jednym z nich.

Rozbawiła go.

- Nie odpowiedziałś na pytanie. Dlaczego szpiegujesz mojego pana?

Nie widziała powodu, żeby kłamać.

- Tak się składa, że nie ufam lordowi Edmondowi.

- Kwestionujesz jego honor?

- Kwestionuję sposób, w jaki patrzy na pannę Quinn.

- Sposób, w jaki na nią patrzy?

- Jakby zamierzał coś złego.

- Jest piękną kobietą. Jasne, że zamierza coś złego.

- Jeśli to ma być zabawne, to się mylisz.

Twarz Borysa złagodniała, przesunął dłońmi wzdłuż jej ramion.

- Czy mężczyzna wystawiony na takie pokusy może się oprzeć chęci zrobienia czegoś złego?

- Uważaj, łapy przy sobie...

Nie zaczekał, aż Janet skończy mówić, tylko zgniół jej wargi pocałunkiem, który przyprawił ją o dreszcz podniecenia.

Edmond nie spuszczał oka z Brianny stojącej na drugim końcu zatłoczonego salonu. Nawet na tle uznanych londyńskich piękności jej uroda mogła olśnić i doprowadzić do szaleństwa każdego mężczyznę. Walczyły w nim sprzeczne uczucia. Był zły, że sprzeciwiła się jego woli, a zarazem sfrustrowany, bo pożądał jej i chciałby ją porwać w ramiona, nie bacząc na to, co powie świat. Przez ostatnie trzy dni unikał jak mógł towarzystwa Brianny, ale nie łagodziło to jego cierpień. Zachodził w głowę, dlaczego ucieszył się, że bez wahania odrzuciła pokusę pokazania się światu w klejnotach stanowiących atrybut księżnej Huntley.

- Tu pan jest, Wasza Wysokość.

Ku niemu zbliżała się przystojna brunetka w zielonej sukni, wprost obwieszona brylantami. Lady Montgomery, gospodyni najsłynniejszego salonu politycznego w Londynie. Nikt nie wątpił, że lord Montgomery jej zawdzięczał stanowisko w rządzie.

- Witam, lady Montgomery. - Edmond skłonił głowę.

- Nie wiem, jak mam panu dziękować - powiedziała z uśmiechem.

- Dziękować?... Mnie?

- Pańska obecność na dzisiejszym przyjęciu sprawia, że moja pozycja towarzyska wyraźnie zyskuje. Wszystkie londyńskie panie będą mi zazdrościły, że pod moim dachem postanowił pan zaprezentować narzeczoną.

- Wdzięczność należy się mojej ciotce. - Edmond skierował spojrzenie na elegancką starszą panią, która na krok nie odstępowała Brianny. - To ona doradziła mi przyjęcie pani zaproszenia.

- Przyjmujemy pannę Quinn z otwartymi ramionami. Miła osoba. I jakie wytworne maniery. Nie dziwię się, że skradła pańskie serce, Wasza Wysokość.

Edmond się uśmiechnął. Doznawał fizycznej przyjemności, patrząc na narzeczoną.

- Jest zachwycająca.

- Cóż to za niefortunny związek, małżeństwo jej matki... z tym okropnym kupcem. Obawiam się, że złośliwe języki nie omieszkają o tym przypomnieć.

- Niech te złośliwe języki zajmą się innymi tematami niż panna Quinn. Moja rodzina byłaby bardzo niezadowolona, gdyby w jednym zdaniu łączono nazwisko Thomasa Wade'a i mojej narzeczonej. Dla mnie Thomas Wade nie istnieje.

- Ależ tak, naturalnie. - Lady Montgomery była zaskoczona gwałtownością zazwyczaj opanowanego księcia Huntleya. Uśmiechnęła się melancholijnie. - Jak na dżentelmena, który rzadko bywa w towarzystwie, Wasza Wysokość objawia nadzwyczajny talent do naginania nas do swojej woli.

- Pragnę jedynie, żeby panna Quinn była oceniana według swoich zalet, a nie na podstawie niefortunnego wyboru jej matki. Dość się nacierpiała z powodu jej słabości.

Lady Montgomery nie okazała zdziwienia, uśmiechała się uprzejmie.

- To zrozumiałe. Wybór lady Aberlane w charakterze osoby wprowadzającej pańską narzeczoną w świat był bardzo trafny.

- Ciotka nie wybaczyłaby mi, gdybym poprosił kogoś innego.

- To oczywiste, ale dlaczego - przechyliła głowę w stronę Edmonda - nalegał pan na zaproszenie również pańskiego kuzyna?

Edmond z roztargnieniem bawił się złotym sygnetem brata, który włożył na palec specjalnie na tę okazję. Wiedział, że jego prośba zdziwi lady Montgomery. Nie mógł sobie jednak darować okazji zobaczenia reakcji kuzyna na wiadomość o swoich zaręczynach.

- To mimo wszystko członek rodziny - powiedział wymijająco.

Lady Montgomery nie była zadowolona.

- Tak, ale od lat wszyscy wiedzieli o waszych nie najlepszych stosunkach. Jego nieobecność nikogo by nie zaskoczyła.

- Moja narzeczona ma łagodniejsze serce niż my z bratem. Nie lubi sporów w rodzinie.

- Ach tak.

Edmond miał już dość tego mało subtelnego sondowania. Wskazał głową na wychudłego dżentelmena, który w odległym kącie popijał drogiego szampana, jakby to był tani dzin.

- Mając to na względzie, zamierzam wyciągnąć rękę do zgody z kuzynem. Pozwoli pani?

- Naturalnie. - Lady Montgomery nie wyglądała na przekonaną.

Przeciskając się przez tłum zgromadzony w salonie, Edmond pozdrawiał skinieniem głowy niektórych dżentelmenów, ignorując zachęcające spojrzenia

ich małżonek. Edmond mógłby się zainteresować znudzonymi żonami, Stefan nigdy nie zbliżyłby się do zameężnej kobiety.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Oparty o boazerię Howard Summerville mętnym wzrokiem wodził za mijającymi go gośćmi. Widząc jego zmierzwione włosy i przekrzywiony fular, Edmond uznał, że kuzyn nie wygląda niebezpiecznie, lecz żałośnie.

Oczywiście wygląd bywa mylący. Zdarzyło mu się spotkać kobiety o twarzach aniołów, które były gotowe wbić mu nóż w plecy.

- Dobry wieczór, Howardzie - zagadnął. Summerville z wyraźnym wysiłkiem skoncentrował wzrok na stojącym przed nim Edmondzie.

- A, to ty, Huntley - wybełkotał.

- Tak, to ja.

- Masz tupet. Z chęcią dałbym ci w mordę. Edmond uśmiechnął się krzywo.

- Może bym się przestraszył, gdybyś nie był taki zalany. Ledwo trzymasz się na nogach.

- Jeśli jestem zalany, to przez ciebie.

- Nie sądziłem, że mam takie możliwości. Nie przyszłoby mi do głowy, że mogę doprowadzić człowieka do desperacji.

- Wiesz dobrze, dlaczego jestem na ciebie wściekły.

- Porozmawiajmy gdzieś, gdzie nie dostarczymy pożywki plotkarzom. -

Edmond złapał kuzyna za łokieć, by pokierować nim w stronę drzwi prowadzących na taras.

- Chodźmy do biblioteki...

- Wolę na taras.

- Do diabła, Huntley, przecież jest zimno.

- Może otrzeźwiejesz. Ale co to za różnica...

- Co mówisz?

- Nic ważnego. Chodź.

Na tarasie wychodzącym na niewielki ogród otoczyła ich mgła.

- Jasny gwint. Angielska pogoda.

Edmond pomyślał, że nawet w porównaniu z ostrym rosyjskim klimatem ta oblepiająca wilgoć jest bardzo nieprzyjemna. Gwarantowała jednak, że pozostaną sami. Zapalił cygaro i nie spuszczał oka ze zdenerwowanego kuzyna.

- Może teraz byłbyś uprzejmy wyjaśnić mi, dlaczego jesteś na mnie wściekły?

- Wiesz doskonale.

- Przypuszczam, że ma to coś wspólnego z moimi zaręczynami.

- Oczywiście.

- Musiałeś wiedzieć, że to kiedyś nastąpi.

W końcu najważniejszym obowiązkiem księcia jest sprowadzenie na świat dziedzica.

- Mówiąc szczerze, miałem nadzieję, że należysz do tych, którzy nie lubią kobiet. Dość długo zwlekałeś z zaludnieniem świata małymi Huntleyami.

Edmond zawrzał na tę zniewagę wobec brata. Najchętniej zrzuciłby kuzyna za balustradę, byłby z nim spokoj. Niestety, musi przedtem upewnić się, czy Howard Summerville jest odpowiedzialny za zamachy na życie Stefana.

- Myślałeś, że moja awersja do kobiet przybliży cię do tytułu księcia?

- Chyba jesteś stuknięty. Co z tego, że ty nigdy nie będziesz miał potomków, skoro ten twój okropny brat na pewno wyprodukuje ich całą gromadę. Nikt nie powie, że Edmond stroni od kobiet.

Czyżby Howard był tak przebiegły? Wiedział, że jest podejrzany o tajemnicze zamachy na Stefana? - zastanawiał się Edmund. Wysoce nieprawdopodobne, ale jak inaczej wytłumaczyć jego zachowanie?

- To dlaczego jesteś na mnie wściekły o zaręczyny?

- Bo zrobiłeś ze mnie durnia.

- O co ci chodzi?

- Mogłeś napomknąć o swoich planach.

- Nie byłem pewien swoich zamiarów względem panny Quinn.

- I dlatego przez ciebie straciłem niezłą fortunę.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Chodzi o zakład u White'a. Stawka była pięćdziesiąt do jednego, że przyjechałeś do Londynu po narzeczoną. Gdybyś mi powiedział, to bym się obłowił. A tak straciłem dwadzieścia funtów.

- I dlatego jesteś zły?

Howard miał trudności z utrzymaniem się w pionie, nie przestawał też wygładzać pomiętych klap fraka.

- A poza tym brak ci manier. Chcesz czy nie, ale jestem twoim kuzynem. Nie powinienem być ostatnim, który dowiaduje się o zaręczynach.

Dla Brianny było to miłe zaskoczenie. Wprawdzie goście lady Montgomery byli mocno zainteresowani kobietą, która usidliła nieuchwytnego księcia Huntleya, dobre maniere nie pozwoliły im jednak narzucać się z zawieraniem zbyt bliskiej znajomości.

Gospodyni usadowiła Briannę i lady Aberlane w centralnej części salonu na wyściełanej brokatem kanapie i dopuszczała do nich nie więcej niż dwie-trzy osoby jednocześnie, innych ciekawskich kierując ku zastawionym przekąskami bufetom.

Dzięki temu Brianna ani razu nie zapomniła przygotowanych wcześniej odpowiedzi na choćby najbardziej impertynenckie pytania. Miała też dość czasu, aby zerkać na przystojną męską postać, tak swobodnie poruszającą się wśród tłumu wypełniającego salon. Próby odwrócenia uwagi od Edmonda nie pomagały. Przy nim wszyscy bledli, a on błyszczał z niezwykłą siłą i domagał się nieustającej uwagi. Nieznośny typ.

Oczywiście zauważyła, że w pewnej chwili podszedł do wychudłego, ciemnowłosego dżentelmena w rogu pokoju. Znała tego podpitego mężczyznę.

- Czy to Howard Summerville? - Pochylając się do ucha lady Aberlane, zakryła twarz wachlarzem.

- Wydaje mi się, że tak. Zastanawiające, uznała Brianna.

Lady Aberlane powinna być równie zaskoczona jak ona. Było powszechnie wiadomo, że książe Huntley nigdy nie bywał w domach, w których spodziewał się zastać kuzyna. Ciekawe, jak dalece lady Aberlane była wtajemniczona w nieczne plany Edmonda.

- Myślałam, że dzieli ich wielka awersja.

- Och, z pewnością nie aż tak wielka.

- Nie?

Lady Aberlane uśmiechnęła się z przymusem.

- Myślę, że jest ziarno prawdy w opinii, że Stefan i Edmond nie przepadają za kuzynem.

- To dlaczego teraz idą pod rękę jak najlepsi przyjaciele?

- Nie mam pojęcia.

Brianna zamknęła wachlarz i wstała.

- Dokąd to, moja panno?

- Duszno tu. Wyjdę na taras zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Jesteś pewna? Twój narzeczony może mieć ważną sprawę do omówienia z kuzynem.

- Co to za sprawa?

- Taka, że może nie życzyć sobie, aby mu przeszkadzano.

Właśnie dlatego Brianna zamierzała mu przeszkodzić. Może nie tyle przeszkodzić, co podsłuchać, o co chodzi. Jak tylko pozna sekrety Edmonda, skończy z tymi niedorzecznymi zaręczynami i schroni się w Meadowland.

- To nie powinien się tym zajmować na przyjęciu - zauważyła i ruszyła prosto do drzwi na taras.

Edmond wyrzucił niedopalone cygaro. Oparty o kamienną balustradę, wpatrywał się w ciemny ogród.

Mon Dieu. Howard Summerville jest albo najprzebieglejszym złoczyńcą, na jakiego kiedykolwiek zdarzyło mu się polować, albo rzeczywiście bełkotliwym ciamajdą, na jakiego wygląda. Edmond nie potrafił postawić właściwej diagnozy i to doprowadzało go do szału.

Strawił lata na demaskowaniu spiskowców, zdrajców i konspiratorów. Udaremnił wiele zamachów na Aleksandra Pawłowicza dlatego, że nie lekceważył najbliższych ostrzeżeń i potrafił wyczuć kłamstwo. A teraz, gdy chodzi o życie brata, instynkt go zawodzi.

Drzwi na taras się otworzyły. Znajomy zapach lawendy wypełnił nocne powietrze.

- Diabli nadali, Brianna! A ty tu po co?

Uśmiechnęła się, udając, że nic sobie nie robi z takiego powitania.

- Brakowało mi świeżego powietrza. Przeszkadzam?

- Prawdę mówiąc, tak. Przyznaj się, taki jest twój cel.

- Daj spokój, Stefan, nie żartuj sobie ze mnie.

Uszczypnęła Edmonda w ramię, ale tak, żeby Howard nie widział. W odpowiedzi natarł na nią ciałem. Usunęła się i dygnęła w stronę ogłupiałego Howarda.

- Witam pana, panie Summerville - powiedziała, podając mu dłoń.

Howard był pijaczną, ale doceniał oszałamiającą urodę Brianny. Zgiął się wpół i ucałował wyciągniętą dłoń. Nie był świadomy nienawistnych uczuć, jakie wzbudza w Edmondzie widok obcego mężczyzny dotykającego Brianny.

- Witam. Któż mógł się spodziewać, że wyrosnie pani na taką piękną kobietę?

- Ja - warknął Edmond i objął Briannę ramieniem.

Howard postanowił wykorzystać obecność Brianny. Miał nadzieję, że z nią pójdzie mu łatwiej niż ze Stefanem lub Edmondem.

- Teraz, kiedy wchodzi pani do rodziny, musimy zawrzeć bliższą znajomość. Moja żona byłaby szczęśliwa...

Słowom Howarda towarzyszył stłumiony odgłos strzału, dobiegający od strony ogrodu. Edmond wydał okrzyk zaskoczenia i rzucił się ku balustradzie. Nie wiedział, co robić. Mgła spowijała ogród. Poszukiwanie strzelającego odbywałoby się po omacku. Nie była to sprzyjająca okoliczność. Mimo wszystko zamierzał podjąć próbę.

- Brianno, do środka, i nie ruszaj się, dopóki nie wrócę - polecił.

Nie odpowiedziała. Chciał ją zgromić za brak posłuszeństwa. Nie miał chwili do stracenia. Zmartwiał. Z czoła Brianny ściekała po policzku krew.

Poczuł się jak wtedy, przed dziesięciu laty, kiedy w bezsilnym gniewie słuchał wiadomości o śmierci rodziców. Utonęli, płynąc jachtem z Surrey do Londynu. Nie mógł nic zrobić poza oplakiwaniem straty.

Tym razem poruszy niebo i piekło. Nie dopuści do kolejnej tragedii. Z chrapliwym okrzykiem porwał Briannę w ramiona w chwili, gdy zemdląca.

Rozpętało się pandemonium. Taras zapełnił się ludźmi, którzy odkryli, że ktoś strzelał do damy będącej gościem lady Montgomery. Howard, zacinając się, chaotycznie relacjonował przebieg wydarzeń, gospodyni wydawała gorączkowe rozkazy służbie, żeby zabrała się do gruntownego przeszukiwania domu i ogrodu.

Edmond z nieprzytomną Brianną w ramionach torował sobie wśród tłoczących się gości przejście do powozu, krzykiem odpędzając każdego, kto stanął mu na drodze. Rozum podpowiadał, że może byłoby rozsądniej zanieść ją do sypialni lady Montgomery i jak najszybciej sprowadzić doktora, ale Edmond odrzucił tę myśl. Chciał mieć Briannę pod dachem domu Stefana. Tylko tam mógłby otoczyć ją swoją służbą, której w pełni ufał. Był przekonany, że tylko tak zapewni jej bezpieczeństwo.

Doktor włożył płaszcz, siwą głowę przykrył bobrowym kapeluszem. Edmonda drażniła jego pewność siebie i fakt, że zbagatelizował ranę Brianny,

ale ciotka Letty zapewniała go, że ten konował jest najlepszym lekarzem w Londynie.

- Jest pan pewien, że panna Quinn wyzdrowieje?

- Wasza Wysokość, kula tylko drasnęła skroń. Krwawienie ustało, za kilka dni rana się zablizni.

- To dlaczego wciąż jest nieprzytomna?

- Uderzenie kuli może powalić dorosłego mężczyznę, a co dopiero kobietę. To musiało być jak kopnięcie w głowę kopytem muła.

Edmond zmełł w ustach przekleństwo. Wciąż miał w pamięci przerażone oczy Brianny. Chryste, gdyby poruszyła głowę, ta kula trafiłaby... Wolał nawet o tym nie myśleć.

- A co z infekcją? - zapytał wychodzącego już doktora.

- Mało prawdopodobna. Wrócę rano i sprawdzę, czy wszystko w porządku.

- Dał jej pan coś przeciwko bólowi?

- Zostawiłem pokojówce buteleczkę laudanum, ale należy je stosować tylko w razie absolutnej konieczności.

- Przyjdzie pan, jeśli okaże się to niezbędne?

- Ależ, Wasza Wysokość, oczywiście. Zajrzę do panny Quinn, gdy będzie pan sobie tego życzył.

Edmond odprawił medyka kiwnięciem głowy. Nie potrzebował żadnych zapewnień z jego strony. W razie konieczności Borys sprowadzi go pod groźbą użycia broni, jeśli nie da się inaczej.

W miarę zbliżania się do sypialni Brianny tracił pewność siebie. Obawa o jej życie nie opuści go dopóty, dopóki Brianna nie wstanie z łóżka. Wiedział, że w obecnej chwili nie ma czego szukać w jej pokoju. Lady Aberlane i Janet rozerwałyby go na strzępy, gdyby odważył się zakłócać jej spokój.

Zawrócił do biblioteki. Pokój rozświetlały dopalające się w kominku polana. Edmond nalał sobie solidną porcję brandy. Alkohol wypalał gorący

szlak wzdłuż przełyku, rozpraszał lodowate uczucie strachu, które go dopadło w momencie, gdy zorientował się, że Brianna została postrzelona.

Nalał drugą porcję. Wszedł Borys. Pochylił się, żeby włożyć kolejne polano do wygasającego ognia, zdjął ciężki płaszcz i oparł się o komin.

Edmond wysłał go do domu lady Montgomery w nadziei, prawdopodobnie płonnej, że dowie się czegoś o zamachowcy. Może widział go ktoś ze służby, może był nieostrożny i zostawił jakiś ślad, który pomoże go zidentyfikować. Edmond podał Borysowi na wpół napełnioną szklaneczkę. Usiadł na brzegu biurka.

- No i co?

- Nic. W ogrodzie było za ciemno. Wróć z samego rana.

- Rozmawiałaś ze służbą?

- Z tymi, którzy chcieli rozmawiać z obcym. Edmond się skrzywił. To było do przewidzenia.

Angielskie poczucie wyższości wobec cudzoziemców.

- Domyślałam się, że nikt niczego nie zauważył.

- Większość zgromadziła się w kuchni, chociaż byli też tacy, którzy wymknęli się do stajni, by tam poszukać trochę prywatności. - Borys zamilkł na moment, żeby wywołać większy efekt. - Jedna pokojówka twierdzi, że tuż przed tym, zanim rozległ się wystrzał, słyszała, że ktoś wybiegł ze stajen do ogrodu.

- Ze stajen? To ten ktoś, kto strzelał, nie zaczął się w ogrodzie?

- Nie, jeśli słyszała zamachowca.

- Czy ze stajen można dostrzec osobę stojącą na tarasie?

- Tak. Gdybym ja obserwował kogoś, kto przebywa w domu, wybrałbym na punkt obserwacyjny właśnie stajnie.

- A więc dla zamachowcy była to szczególnie sprzyjająca okoliczność, że byłem na tyle lekkomyślny, że wyszedłem na taras. Sam wystawiłem się na strzał.

- To nie na prośbę kuzyna wyszliście na taras?

- Nie. Prawdę mówiąc, narzekał na panujący na dworze chłód i chciał iść do biblioteki.

Nie chodziło o to, że ktoś był na tyle bezczelny, że strzelał do niego w sercu Londynu. Ani o to, że kula nie trafiła do celu, tylko zraniła Brianę. Dziwił pozorny bezsens tego incydentu. Trudno sobie wyobrazić, że plan polegał na tym, iż ktoś zaczajony w domu wypełnionym gośćmi i służbą będzie czekał na okazję, aż księżę Huntley sam wystawi się na strzał.

- Jeśli Howard Summerville najął kogoś, żeby do pana strzelał, to nie miało się to wydarzyć na tarasie - zauważył Borys.

- Musiałby też mieć duże zaufanie do strzeleckich umiejętności zamachowcy - dodał Edmond.

- Naturalnie obecność kuzyna w pana pobliżu stanowiłaby niepodważalne alibi.

- Howarda nie stać na zaplanowanie czegoś tak niebezpiecznego. Przez jakiś czas słychać było tylko trzaskanie płonących w kominku polan.

- Jest pan pewien, że to pan miał być ofiarą? - zagadnął Borys.

- A kto chciałby marnować kulę na Howarda Summerville'a?

- Trafiona została panna Quinn.

- Borys, co ty mówisz! Trudno mi znieść myśl, że została ranna zamiast mnie, a co dopiero rozważać ewentualność, że ktoś umyślnie do niej strzelał, by ją zabić.

- Jednak to możliwe.

- Nie. Jediną osobą, która mogłaby chcieć skrzywdzić Brianę, jest Thomas Wade, ale pragnie zaciągnąć ją do łóżka, a nie do grobu. Nigdy nie próbowałby jej zabić.

- Może i nie. - Borys wciąż był sceptyczny. - Kto dziedziczy posag w razie jej śmierci?

- Dostyc tego.

- Zgadzam się, to mocno nieprawdopodobne, żeby kula była przeznaczona dla kogoś innego poza księciem Huntleyem, ale ktoś mądry uczył mnie kiedyś, by rozważać wszystkie ewentualności, a nie upierać się przy raz wyciągniętych konkluzjach.

To były słowa Edmonda. Powtarzał je swoim podwładnym. Łatwo dać się zaślepić pozornym oczywistościom albo jeszcze gorzej: pozwolić emocjom zapanować nad logiką.

- Mądry to był człowiek, zaiste - przyznał z uśmiechem, uznając swoją porażkę. Borys miał rację. Wciąż było zbyt wiele znaków zapytania, aby dojść do konkluzji. - Jutro postaraj się zdobyć możliwie jak najwięcej informacji o stanie majątkowym panny Quinn i dowiedz się, kto mógłby skorzystać na jej śmierci.

- Co pan zamierza?

- Jeśli Chesterfield kazał śledzić Howarda Summerville'a, za co mu płacę, to może czegoś się dowiemy.

- Pójdę do pubu i sprawdzę, czy Chesterfield nie zostawił dla nas wiadomości.

- Rano bądź pod ręką. Kazałem pilnować otoczenia domu, ale wolałbym, żebyś był w pobliżu na wypadek, gdyby zamachowiec postanowił dokończyć, co zaczął.

- Chyba nikt nie odważyłby się wśliznąć do domu.

- Dopóki Brianna jest pod moim dachem, dopóty nie zamierzam zaniedbywać żadnych środków ostrożności.

Edmond nie zwracał uwagi na domyślne spojrzenie Borysa. Zbierał się do wyjścia z biblioteki. Dał kobietom dużo czasu na zajęcie się Brianną. Przez resztę nocy będzie pod jego opieką.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Na wpół drzemiąc, Brianna słyszała sprzeczkę. Próbowwała zorientować się, gdzie jest, i przypomnieć sobie, co się stało. Gościła u lady Montgomery. Wyszła za Edmondem na taras. Co było potem? Pamiętała tylko, że ją niósł w ramionach, że kołysał powóz. Teraz znajdowała się chyba we własnym łóżku w Huntley House.

- Wyjdź, Janet.

- Nie, nie pozwolę panu zakłócać jej spokoju.

- Nie mam takiego zamiaru. I nie chcę się z tobą sprzeczać. Usuń się albo ja cię usunę.

- Nie boję się Waszej Wysokości. To pana wina, że moja pani jest ranna. Powinien pan przynajmniej pozwolić jej dojść do zdrowia.

- Ostrzegam cię, Janet, wchodzisz na niebezpieczną ścieżkę.

- Moim obowiązkiem jest chronić panienkę. Szczególnie że ona sama nie może o siebie zadbać.

Brianna z trudem uniosła powieki, żeby zobaczyć reakcję Edmonda. Chyba nie tak często przeciwstawiała mu się zwykła służąca.

- Co ty sobie myślisz? Że niby co ja zamierzam?

- Mężczyźni tylko jednego szukają w sypialniach kobiet.

- Nie jestem Thomasem Wade'em. Nie narzucam się kobietom. Zwłaszcza jeśli są nieprzytomne.

- Może nie, ale...

W drzwiach stanął Borys.

- Pan pozwoli. - Uniósł Janet i przerzucił sobie przez ramię.

- Ty diable! - Janet waliła pięściami w plecy Borysa. - Każę cię wytrzebić, rozplatać ci gardło, a ciało wrzucić do kotła.

- Dzięki, Borys. - Edmond zamknął drzwi, po czym wyciągnął się na łóżku obok Brianny i czule objął ramieniem.

- Edmond?
- Ciiiicho... leż spokojnie, *ma souris*. - Ustami muskał jej skroń.
- Co Borys zrobi z Janet?
- Powinniśmy raczej martwić się o Borysa. Skąd wytrzasnęłaś tę Gorgonę*?

* Gorgony - w mitologii greckiej trzy kobiety z węzami na głowie. Wzrok Gorgony zamieniał w kamień ludzi, którzy na nią spojrzeli. Głowa Gorgony stała się symbolem okropności, grozy (przyp. tłum.).

Wiedziała, że powinna uwolnić się z uścisku. Nawet przez grube koce czuła, jak obezwładniające ciepło ciała Edmonda przenika jej przemarzłe członki. Była jednak zbyt zmęczona, by przeciwstawiać się temu, co nieuniknione. Energia, którą w nim wyczuwała, brała górę nad przedziwnym uczuciem zawieszenia w próżni, które jej doskwierało.

- Dzisiejszej nocy ja zadbam o twoje bezpieczeństwo.
- Podejrzewam, że równie dobrze można by sobie wyobrazić lisa postawionego na straży kurnika.
- Nie mam nic przeciwko porównaniu do lisa, ale nie pozwolę, żeby czyniono ze mnie potwora. Nie zniewalam rannych kobiet.

Brianna uniosła dłoń, dotknęła skroni. Była opatrzona plastrem.

- Co się stało?
- Nie pamiętasz? Potrząsnęła głową, zaboląło.
- Pamiętam tylko, że wyszłam na taras.
- Strzelano do ciebie, Brianno.
- Strzelano? To rana od kuli? - Dotykała wciąż opatrunku.
- Tak.
- Po co ktoś by do mnie strzelał?
- Ten ktoś wie.

- Ty.

- Ja?

Uniosła się ostrożnie na poduszkach.

- Ty coś wiesz.

- Nie czas na takie rozmowy.

- Do licha, powiedz mi.

- Podejrzewam, że to wypadek.

- Myślisz, że jestem głupia i uwierzę, iż ktoś przez przypadek strzelał w stronę tarasu domu lady Montgomery?

- Ani przez chwilę nie myślałem, że to wypadek.

Uderzył ją poważny ton Edmonda. Twierdził, że to był wypadek, ale nie wierzył w przypadkowość zdarzenia...

- Uważasz, że to nie ja miałam zostać trafiona. Myślisz, że kula była przeznaczona dla ciebie.

- To jedna z możliwości.

- Ale dlaczego? Dlaczego ktoś by do ciebie strzelał?

- Ty z całą pewnością nie powinnaś być zaskoczona, że ktoś mógłby życzyć mi śmierci.

To prawda. Jest bezwzględny i arogancki i kolekcjonował wrogów z taką samą łatwością jak inni ludzie tabakierki. Nie mówiąc już o tym, że miał opinię cynicznego uwodziciela, który doprowadził do zguby niejedną kobietę.

Uderzenie w głowę nie pozbawiło Brianny umiejętności logicznego myślenia.

- Przecież w Londynie nikt nie wie, że ty to nie ty. Wszyscy biorą cię za księcia Huntleya. Zatem ten zamach ma związek z udawaniem Stefana, zgadłam?

- Już późno, Brianno. Musisz odpocząć.

- Nie. - Próbowała usiąść, ale jej nie pozwolił. - Chyba należy mi się prawda?

- Należy ci się?

- Przecież to do mnie strzelano.

- Rzeczywiście.

- Proszę. - Musnęła dłonią jego policzek. - Dlaczego udajesz księcia Huntleya? Jaki sekret skrywasz?

Pod wpływem dotknięcia oczu Edmonda pociemniały. Odsunął się.

- Podejrzewam, że ktoś próbuje zabić mojego brata.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewała.

- To niemożliwe.

Delikatnie dotknął ustami opatrunku na jej głowie.

- Twoja rana jest dowodem.

- Ale przecież Stefan... Chyba się mylisz... Stefan, dobry z natury, jest powszechnie lubiany.

- To bez znaczenia. Pochodzi z potężnego rodu i odziedziczył wrogów.

- Zgoda, ale to wciąż wydaje się...

- Jakie?

- Mało prawdopodobnie. - Nie miała pewności, czy to odpowiednie słowo. Nie była naiwna, wiedziała, że jest zło na świecie. Thomas Wade ją tego nauczył. Trudno było jednak pogodzić się z faktem, że na Stefana czyha morderca. - Podejrzewasz kogoś?

- Myślałem o Howardzie Summerville'u. Gdybyśmy ze Stefanem zniknęli ze świata, jemu dostałby się tytuł książęcy i majątek. Nigdy nie ukrywał, że desperacko potrzebuje pieniędzy.

- Aha, to dlatego zgodziłeś się, żeby dostał zaproszenie od lady Montgomery?

- Tak.

- Może to oczywisty wybór, ale musiałby być magikiem, aby dzisiejszego wieczoru pociągnąć za spust.

- Mógł kogoś nająć. Sam stał obok. Swoją drogą, to doskonale alibi.

- Myślisz, że...

- Na razie nic nie myślę. - Edmond bliżej przyciągnął Briannę. - Wiem jedno: jestem zmęczony i potrzebuję kilku godzin snu. Dokończymy rozmowę jutro albo dzisiaj, tylko później. - Poprawił się, spoglądając w okno, w którym zaczął się różowić świt.

Brianna czuła się bezpieczna i spokojna przy Edmondzie, ale w tym właśnie kryło się niebezpieczeństwo.

- Edmond.

- Uhm?

- Nie możesz zostać w moim łóżku.

- Spokojnie, *ma souris*. Nie boję się przy tobie o swoją cnotę.

- A co z moją cnotą?

- Jest także bezpieczna - zapewnił z uśmiechem, zaglądając jej w oczy. - Przynajmniej przez kilka następnych godzin.

Brianna się obudziła i poczuła, że Edmond wciąż ją obejmuje. Nie zdziwiła się. Nie wysiliła się za bardzo, żeby przepędzić go ze swojego łóżka, a potem bez protestów zasnęła u jego boku. Raczej deprymujące było odkrycie, że pozbył się resztek ubrania i teraz zaborczo przyciągał ją do nagiego ciała.

Przez chwilę upajała się uczuciem szczęścia z przebudzenia się w ramionach mężczyzny. Zaraz jednak zdała sobie sprawę z własnej głupoty. Domownicy musieli wiedzieć o tym, że Edmond pozostał w jej sypialni i spędził noc w jej łóżku. Co oni sobie pomyślą?

- Dzień dobry, *ma souris*. Dobrze spałaś?

Serce zabiło żywiej w piersi Brianny.

Wyspany, wyglądał młodziej... wrażliwiej. Może pod maską bezwzględności kryło się dobre serce...

- Nie najgorzej, zważywszy na to, że zajmowałeś prawie całą szerokość łóżka.

- Naprawdę? Łatwo było temu zaradzić.

- Tak, dość łatwo - odparła z ironią. Nieraz zdarzało mu się budzić rano obok tej czy innej kobiety. Brianna nie miała żadnego doświadczenia w tej dziedzinie. - Może byś teraz się usunął, żebym mogła wstać... - Krzyknęła przestraszona, bo nieoczekiwanie Edmond przekreślił się na plecy tak, że znalazła się na wierzchu.

- Teraz lepiej?

- Nie, w żadnym wypadku.

Edmond był świadom uczuć, jakich doświadczała Brianna.

Z rozmysłem przesunął dłońmi po jej ciele. Uśmiechnął się, widząc, jakie to robi na niej wrażenie.

- Jak twoja głowa? - Zaskoczył ją. Przemawiała przezeń prawdziwa troska. - Ciągle boli?

- W tej chwili najbardziej boli mnie fakt, że cały dom wie, iż jesteś tutaj. Musisz pozwolić mi wstać.

- Muszę? - Przesunął dłońmi w dół po jej plecach, zatrzymując je na biodrach Brianny. - Dlaczego?

- Bo to złe.

- Złe? Do diabła, to... doskonale - zaproponował zmysłowym głosem.

Brianna zamarła, czując, jak bardzo Edmond jej pragnie. Opanowała ją silna pokusa, żeby mu się oddać. Niech nauczy ją tej z niczym nieporównywalnej bliskości, jaka jest możliwa między kobietą a mężczyzną.

- Zgubisz mnie - szepnęła, by raczej przypomnieć sobie o niebezpieczeństwie, jakie jej groziło, gdyby dała się porwać namiętności, niż żeby powstrzymać go przed głaskaniem jej pośladków i ud.

Edmond odszukał ustami na jej szyi miejsce, gdzie bije puls, ucałował je i polizał.

- Czy to zapowiada zgubę?

Podciągnął w górę jej koszulę. Teraz dotykał nagiej skóry. Rozsunął jej uda. Nic nie broniło mu do niej dostępu.

- A to?

Czuła się jak w niebie. Serce waliło, oddychała krótkim, urywanym oddechem.

- Czego chcesz?

- Ciebie. Chcę ciebie.

Przekreślił się, a ona znalazła się pod nim. Cichy głos z głębi duszy nakazywał jej nie odpowiadać na pocałunki i pieszczoty. Chodziło nie tyle o utratę niewinności, choć to powinno być największym zmartwieniem, lecz o pewność, że Edmond Summerville zabierze jej coś więcej niż dziewictwo. Jednak głos ów utonął w powodzi doznań tak przyjemnych, że zamiast Edmonda odepchnąć, otoczyła ramionami jego kark i pod naciskiem jego warg rozchyliła usta.

Od dnia śmierci ojca nieustannie walczyła z losem. W tej chwili nie chciała sprzeciwiać się przeznaczeniu. Była gotowa opuścić ochronne bariery, które wokół siebie wzniosła, aby choć przez kilka godzin poczuć się wolną od trosk, młodą kobietą pożądaną przez wspaniałego mężczyznę.

Edmond przeczuwał jej kapitulację. Uniósł się, żeby lepiej widzieć Briannę.

- Nie jestem Stefanem, *ma souris*. Nie jestem szlachetny, przyzwoity, bezinteresowny.

Szarpnął stanik koszuli, odsłonił jej piersi, dotknął różowych koniuszków.

- Chcę ciebie i będę cię miał bez względu na konsekwencje.

Zanurzyła dłonie we włosach Edmonda i przyciągnęła go do siebie. Wynagrodził jej śmiałość gwałtownym pocałunkiem. Straciła poczucie rzeczywistości, nie czuła nic oprócz jego dłoni na swoich piersiach i jego ust rozdających pocałunki.

- Proszę...

- O co prosisz? Powiedz, o co prosisz - wyszeptał.

- Nie wiem... Nie jestem pewna... Ach! - wykrzyknęła, bo poczuła jego dłoń między swymi udami.

Uśmiechnął się czule, patrząc w jej rozszerzone źrenice.

- Zaraz się wspólnie przekonamy, *ma souris*, czy to sprawi ci przyjemność.

Odnalazł kobiece źródło rozkoszy i po chwili Brianna doznała niezwykłych, nieznanych jej emocji. Jednak potrzebowała... czegoś więcej. Wygięła się w oczekiwaniu.

Jakby odgadując jej stan, wśliznął się między jej uda. Zatopila zaniepokojony wzrok w jego błyszczących błękitnych tęczówkach.

- Obejmij mnie, Brianno, obejmij mocno. Nie zdążyła zareagować, a zagłębił się w niej.

Krzyknęła z bólu, wbiła paznokcie w jego ramiona, jej ciało buntowało się przeciwko inwazji. Nie ruszał się, szeptał jej do ucha jakieś niezrozumiałe rosyjskie słowa, czekał, aż ustąpi jej napięcie, po czym powoli wycofał się, by ją wypełnić ponownie.

- *Mon Dieu* - jęknął. Objął jej twarz obiema dłońmi, pochylił się do jej ust.

Dziwne to było uczucie. Ból i przyjemność zarazem. Obejmując go ramionami, przyjmowała go głębiej i głębiej. I wtedy nastąpiło coś, czego nigdy się nie spodziewała. Eksplozja, która uwolniła głośny okrzyk radości z jej ust.

Był to moment czystej ekstazy.

Zdumiona rozmiarem tego uczucia, drżąc na całym ciele, przywarła ściślej do Edmonda. Delektowała się jego gwałtownym, niemal chaotycznym naporem, jękiem, który wyrywał się z najgłębszych zakamarków jego duszy. Nie takiego zachowania należało się spodziewać po zimnym uwodzicielu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Późnym popołudniem przyszła wiadomość od La Russy, że oczekuje Edmonda w swoim domu w dogodnym dla niego czasie.

W normalnych okolicznościach Edmond byłby wściekły, że Chesterfield urządza takie szopki, zamiast przyjść do Huntley House i zdać relację ze swoich poczynań. Gdy zajmował miejsce w eleganckim powozie, który miał zawieźć jego i Borysa do domu śpiewaczki w nowo zabudowanej części miasta, nie rozmyślał jednak o Chesterfieldzie i jego powinnościach kupowanych przecież za sporą kwotę.

Ciągle nie mógł przestać wspominać chwil spędzonych z Brianną.

Mon Dieu, prawdę mówiąc, nie był w stanie myśleć o niczym innym. Fascynacja tą kobietą rosła w miarę przedłużania się wspólnego pobytu pod jednym dachem. Zorientował się poniewczasie, że Borys obserwuje go z niejaką pobłażliwością.

- Czy mógłbym wiedzieć, skąd u ciebie ten dwuznaczny uśmiezek? - spytał zaczepnie.

- Zastanawiałem się, czy złożyć panu gratulacje, czy wyraziy współczucia.

- A to z jakiego powodu?

- Panna Quinn jest, bez wątpienia, piękną kobietą.

- Bez wątpienia.

- Namiętą.

- Do czego zmierzasz?

- Do tego, że nie jest w pana typie.

- A jakie kobiety są w moim typie?

- Dobrze pan wie. Zawsze pan wolał wyrafinowane, można by rzec, mocno doświadczone panie, które dawno utraciły wiarę w romantyczną miłość. Kobiety znające się na pańskich zasadach uwodzenia. Nigdy pan nie mącił w

głowie egzaltowanej panience, która w swej niewinności gotowa jest wziąć kilka pocałunków za deklarację dozgonnej miłości.

- Brianna nie jest egzaltowaną panienką.

- Może już nie.

- Uważaj, Borys, nikomu nie wolno tak mówić o Briannie, nawet tobie.

- Ja mówię o panu. Niewinna czy nie, panna Quinn jest dobrze urodzoną młodą damą, która nie nauczyła się strzec swojego serca.

- Udzielasz mi nauk, jak mam się zabierać do uwodzenia pięknej, młodej kobiety?

- Uwiedzenie dziewczyny to jedno, a rozkochanie jej w sobie to drugie.

Nieoczekiwanie Edmondowi zrobiło się gorąco na myśl o Briannie Quinn wpatrzony w niego z bezgraniczną ufnością, otwierającej ramiona zapraszającym gestem, w ciełym zachwycie wsłuchanej w jego słowa przy jadalnianym stole. Taki obrazek budziłby w nim wyłącznie przestroch, nigdy przyjemność. Czy może być coś gorszego niż istota płci żeńskiej podążająca za tobą trop w trop, trzepocząca rzesami i nieustannie zabiegająca o twoją uwagę? Jednak gdyby tą istotą była Brianna, gra warta by była świeczki.

- A jeśli ona jest przekonana, że jest we mnie zakochana? Obecnie jesteśmy skazani na swoje towarzystwo. Lepiej, żeby była moją kochanką niż wrogiem.

- Chce pan złamać jej serce?

- Każda młoda kobieta musi przez to przejść, nie uważasz?

- Przecież pan nienawidzi kobiet, które próbują się pana czepiać.

- Tak sądzisz?

- Dobrze. - Borys był zde gustowany. - Jeśli chce pan igrać z ogniem, niech tak będzie. Nie moja sprawa.

- Coś mi się wydaje, że ty też zabawiasz się z ogniem, Borys. Mam uwierzyć, że wczoraj zaniósłeś tę młodą i niebrzydką pokojówkę do jej pokoju i poprzestałeś na jednym pocałunku?

- Janet nie jest niewinna.

- Nie, nawet myślę, że wręcz przeciwnie. To kobieta, która nie cofnie się przed niczym, aby zniszczyć mężczyznę, który zrobił jej coś złego. A jeśli nie ona, to jej rodzinka.

Borys zupełnie nie przejął się taką perspektywą. Tymczasem powóz zwolnił.

- Chyba dojechaliśmy - powiedział, wyglądając przez okno.

Edmond ze zdziwieniem przyglądał się domowi otoczonemu ogrodem, ozdobionym greckimi statuami i fontannami. Choć daleko mu było do imponującego Huntley House, była to ładna, neoklasyczna budowla, odsunięta od ulicy, z fasadą otoczoną marmurowymi kolumnami.

- Elegancka siedziba jak na śpiewaczkę operową - zauważył. - Borys, zostań w powozie i miej oko na wszystko. Chciałbym wiedzieć, czy ktoś mnie nie obserwuje.

- Zamierza pan wejść sam?

Edmond pogładził kieszenie, w których ukrył pistolet i dwa sztylety.

- Nigdy nie jestem sam, przyjacielu.

Dom La Russy okazał się równie elegancki w środku jak na zewnątrz.

Podążając za lokajem w liberii, Edmond zwrócił uwagę na greckie wazy stojące we wnękach i wiszące na ścianach obrazy mistrzów holenderskich. Nie znał się na sztuce tak jak jego ojciec, ale potrafił docenić wartość kolekcji.

Lokaj wprowadził go do podłużnego salonu, skąd roztaczał się zachwycający widok na skwer na środku placu, przy którym znajdował się dom. Salon wypełniały gustowne klasyczne meble i dzieła sztuki. Rozglądając się po kremowo-złotym pokoju, Edmond zauważył co najmniej jednego Rembrandta i dwa Rubensy na obitych adamaszkiem ścianach, a nad kominkiem z czarnego marmuru dzieło Van Dycka.

Uśmiechnął się. Nie tego się spodziewał. Zaskoczyła go też powierzchowność kobiety, która wstała, aby się z nim przywitać.

Wysoka, szczupła, typowa „angielska róża”. W pięknych blond włosach zaczynały się już pokazywać nitki siwizny, a niebieskie oczy otaczać kurze łapki, ale jej uroda, która od dwóch dekad podbijała publiczność, wciąż była zniewalająca.

Ucałował wyciągniętą ku sobie dłoń.

- Ach, urzekająca La Russa. Tak piękna jak głosi fama. - Z uznaniem odnotował jasną cyklamenową suknię, z odważnie wyciętym dekoltem odsłaniającym wzgórki piersi. Była bez biżuterii, ale czysta cera nie potrzebowała żadnej ozdoby. - Teraz rozumiem, dlaczego w moim klubie, zanim podadzą kolację, spełniają toast na pani cześć.

- Proszę zwracać się do mnie po imieniu: Elizabeth - odezwała się niskim głosem. - La Russa zostaje w teatrze.

- Zrozumiałe. - Edmond się wyprostował. Starannie maskował zniecierpliwienie, że nie dostrzega Chesterfielda. - Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną spotkać.

- Nonsens. Pańska obecność przynosi zaszczyt mojemu skromnemu domowi.

- Nie tak znowu skromnemu. - Spojrzał w stronę Van Dycka nad kominkiem. - Ma pani wyborny gust. Ta kolekcja jest warta krocie i w miarę upływu czasu jej wartość będzie rosła.

- Dama w mojej sytuacji powinna myśleć o przyszłości. - Jak gdyby zdając sobie sprawę z tego, że Edmond jest zbyt spostrzegawczy, żeby wziąć za dobrą monetę jej wystudiowane zachowanie, Elizabeth uśmiechnęła się szczerze i ruszyła w stronę drzwi. - Proszę tędy, Wasza Wysokość.

- Proszę wybaczyć, ale zachodzę w głowę, jak pani poznała Chesterfielda.

- Nie zawsze byłam La Russą. Gdy pierwszy raz pojawiłam się w Londynie, nazywałam się Lizzy Gilford i byłam biedną córką kowala z pustymi kieszeniami i głową nabitą mrzonkami o czekającym mnie wielkim sukcesie.

- Które się ziściły.

- Wielkość nie polega na śpiewaniu na scenie lub bywaniu w salonach. Również na kolekcjonowaniu tych wspaniałych dzieł sztuki, czego nauczyłam się od pana Chesterfielda. - Spojrzała przez ramię. - Wielkość polega też na wrażliwości na cierpienia innych.

- Rozumiem. - Edmond wiedział już, jakie rany skrywa ta kobieta. Może stare, ale niezagojone. - On panią ocalił.

- Tak.

Za drzwiami, które otworzyła Elizabeth, znajdował się wyłożony boazerią przedpokój, za nim kolejny pokój.

- Występowałam w Liverpoolu, gdy poznałam eleganckiego, dobrze ułożonego dżentelmena, który obiecał pomóc mi w karierze scenicznej. Dałam się nabrać. Zdeprawował mnie, a potem sprzedał do domu publicznego i śmiał się, gdy błagałam go o umożliwienie powrotu do ojca. Odpowiadał, że moje miejsce jest w rynsztoku.

Edmond się skrzywił. Znał takich dżentelmenów, którzy udawali bogaczy, żeby uwieść niewinne dziewczęta i sprzedać je do burdelu. Znał nawet takich, którzy nie zawahaliby się przehandlować własnej siostry.

- Mam nadzieję, że został odpowiednio ukarany?

La Russa odwróciła się, ujawniając zimny, bezwzględny wyraz twarzy, niepokazywany na scenie. Edmond nie miał wątpliwości, że zabiła sprawcę swojej niedoli. Odpowiedź na pytanie, kto pomógł jej ukryć zbrodnię, narzucała się sama.

- A Chesterfield? - zapytał.

Twarz Elizabeth złagodniała. Znów była kruchą piękną, słynną w całej Anglii.

- Pan Chesterfield żywi dogłębną niechęć do tych, którzy krzywdzą kobiety lub dzieci. Proszę tędy. - Wskazała drogę za kolejnymi drzwiami.

Edmond znalazł się w wąskim pokoju. Położył dłoń na kieszeni, w której ukrył pistolet, rozglądając się po tonącym w cieniu pomieszczeniu.

Nie miał powodu spodziewać się zasadzki, ale kiedy ostatnim razem nie zachował zwykłej ostrożności, Brianna została postrzelona.

Z cienia wynurzył się z uniesionymi w górę dłońmi Chesterfield. Chyba przeczuwał, że Edmond był gotów wystrzelić w razie najmniejszego zagrożenia.

- Wasza Wysokość. - Skłonił się na powitanie.

Edmond oparł się o kominek z sieneńskiego marmuru.

Pokój z jasnozielonymi ścianami i pokrytym sztukaterią sufitem był bardzo ładny, ale został wybrany na miejsce spotkania z powodu przeszklonych drzwi wiodących do ogrodu na tyłach domu i do stajni za ogrodem. Chesterfield mógł się tu zjawić i potem wyjść, a służba niczego by nie zauważyła.

- Zostawię was samych - odezwała się La Russa. - Na bocznym stoliku jest brandy i sherry, a na tacy ulubione ciasteczka pana Chesterfielda.

- Dziękuję, kochanie - powiedział Chesterfield. Jego niczym niewyróżniającą się twarz rozjaśnił czuły uśmiech.

- Piękna i intrygująca kobieta - skomentował Edmond po wyjściu śpiewaczki.

- To prawda.

Oto człowiek, który nie zawahałby się wstąpić do piekła, żeby uchronić tę kruchą istotę od nieszczęścia, uznał Edmond.

- I, jak się domyślam, wrażliwe serce pod maską światowej ogłady.

Chesterfield był przez chwilę zajęty nalewaniem brandy do szklaneczek. Jedną podał Edmondowi. Sącząc z drugiej, oparł się o kominek.

- Jest pan bardzo spostrzegawczy. Większość dżentelmenów dostrzega wyłącznie zewnętrzny urok kobiet, nie zwracając uwagi na to, co kryje się pod nim.

- Jestem już w takim wieku, że nie wystarczy mi tylko ładna twarzyczka.

- Tak. - Chesterfield posłał mu spojrzenie, pod którego wpływem dreszcz przeszedł Edmondowi wzdłuż kręgosłupa. - Domyślam się, że tylko zupełnie niezwykła kobieta może przykuć uwagę Waszej Wysokości.

Ten człowiek chyba potrafił czytać w myślach. Edmonda niepokoiła ta ingerencja Chesterfielda w jego najtajniejsze uczucia. Nigdy nikogo nie dopuszczał do takiej poufałości.

- Przypuszczam, że wie pan, po co zaaranżowałem to spotkanie? - zapytał.

Chesterfield wyczuł, że przekroczył granicę, kiwnął więc tylko rzeczowo głową.

- Chodzi o strzał oddany u lady Montgomery?

- Tak.

- Nieprzyjemna sprawa. Cieszę się, że pańska narzeczona wyzdrowiała.

Edmond nie starał się nawet zapytać, skąd detektyw o tym wie. Zbieranie informacji to przecież jego fach.

- Tylko wyjątkowe szczęście sprawiło, że nie została ciężko ranna albo zabita - powiedział, ledwo tamując wybuch wściekłości. Ktoś zapłaci za zranienie Brianny. - Nie mogę pozwolić, żeby to zdarzyło się po raz wtóry.

- Ja też nie.

- Czy ktoś śledzi mojego kuzyna?

- Dwie osoby. Niestety, żadnej z tych osób nie było w ogrodzie podczas zamachu.

Edmond uzmysłowił sobie, jak bardzo jest uzależniony od tego człowieka, jeśli chodzi o zdobywanie informacji, które pomogłyby mu dokonać postępu w rozwikłaniu zagadki, komu zależy na zgładzeniu jego brata.

- Jedna z tych osób zauważyła powóz, który odjeżdżał w pośpiechu sprzed domu lady Montgomery kilka minut po strzale. Dlatego zwlekałem z nawiązaniem kontaktu z panem. Liczyłem na to, że uda mi się dowiedzieć, do kogo należy powóz i kto mógł nim jechać.

- I udało się?

- Nie do tego stopnia, jakbym sobie życzył. - Chesterfield wyciągnął z kieszeni pomietą kartkę papieru.

- Co to takiego?

- Mój człowiek spróbował odtworzyć trasę powozu. To miejsce, gdzie widział go po raz ostatni.

- To chyba Piccadilly. Ten ktoś mógł jechać w dowolnym kierunku.

- Dlatego nie spieszyłem się ze spotkaniem. Mój człowiek ciągle rozgląda się za tym powozem. Jest pewny, że go rozpozna.

- Mało prawdopodobne.

- Może i nie. - Chesterfield ponownie napełnił swoją szklaneczkę. - Przepytalem sąsiadów lady Montgomery i ich służbę. Istnieje prawdopodobieństwo, że ktoś mógł coś zauważyć, ale nie zdaje sobie sprawy, że to ma znaczenie.

- Co pan myśli o strzale?

Chesterfield wypił całą zawartość szklaneczki i wpatrzył się w Edmonda.

- Zanim odpowiem, chciałbym się dowiedzieć, co wydarzyło się między panem a pańskim kuzynem bezpośrednio przed oddaniem strzału.

Edmond opisał Chesterfieldowi pokrótce przebieg wydarzeń. Detektyw słuchał w milczeniu, z coraz posępniejszą miną.

- A więc to był pański pomysł, nie kuzyna, żeby wyjść na taras?

- Tak.

- I ani pan, ani pański kuzyn nie zapraszaliście panny Quinn na taras?

- Nie, przecież powiedziałem wyraźnie.

- W takim razie to nie ona była celem zamachowcy.

- Jasne, że nie.

- Jest pan taki pewny.

- Bo ja...

Edmond urwał, uderzony pomysłem, który przyszedł mu nagle do głowy. Odrzucał myśl, że w zamach był zamieszany Thomas Wade. Ta bestia chciała zaciągnąć Briannę do łóżka. Nie brał pod uwagę możliwości, że źródłem zagrożenia dla Brianny mogło być ogłoszenie zaręczyn. Zakładał, że gdyby komuś zależało na zerwaniu zaręczyn, ofiarą ataku powinien być on. A przecież ktoś mógłby być na tyle zdesperowany, że mógłby chcieć zabić Briannę.

- Chryste Panie!

- No właśnie.

Edmond zaczął gorączkowo przemierzać niewielki pokój. Nie, to nie do pomyślenia.

- Nawet gdyby ona miała być celem, nikt nie mógł przewidzieć, że któreś z nas wyjdzie na taras.

- Zgoda, to bez sensu. - Chesterfield rozłożył bezradnie ręce.

- Myśli pan, że kryje się za tym Howard?

- Nie.

Chesterfield ponownie sięgnął do kieszeni. Tym razem wyjął notes. Kartkował go ze zmarszczonymi brwiami.

- Mam go pod stałą obserwacją, nie spotyka się z żadnymi podejrzanymi osobnikami, którzy mogliby planować zabójstwo jego krewnych.

- Może utrzymuje z nimi kontakty w jakiś inny sposób albo zdążył wydać im rozkazy, zanim pańscy ludzie zaczęli go śledzić.

- Niewykluczone. Wydaje mi się jednak, że Summerville nie spodziewa się w najbliższym czasie dojścia do majątku. A nawet odwrotnie...

Chesterfield znalazł odpowiednią stronę w notesie i wręczył go Edmondowi, który rzucił okiem na trudne do odcyfrowania zapiski.

- I co z tego?

- To nazwa statku, na którym pański kuzyn zarezerwował kabinę, i data odpłynięcia z Londynu.

- „Rosalind”. - Edmond wciąż nic nie rozumiał. - I dokąd ten statek płynie?

- Do Grecji. Wuj żony Howarda Summerville'a ma willę koło Aten i jest gotów udzielić im schronienia.

Czyżby oznaczało to, że kuzyn przygotował alternatywny plan na wypadek, gdyby nie udało mu się zbrodnią utorować sobie drogi do księżęcej fortuny? A może po prostu chciał uciec przed wierzycielami? - zastanawiał się Edmond. Ani o krok nie zbliżył się do rozwiązania zagadki, kto pociągnął za spust w ogrodzie lady Montgomery.

Brianna nie chciała słyszeć o tym, że nie wydobrzała jeszcze na tyle, by wyjść z domu. Włożyła zieloną suknię przybraną czarną gazą i w tym samym kolorze spencerek i zażądała, by zaprzęgano do powozu. Nie zważając na dąsy Janet i uwagi lady Aberlane, kazała się wieźć na Bond Street.

Musiała się wyrwać z domu. Miała dość siedzenia w swoim pokoju i rozpamiętywania, jak kochali się z Edmondem i jak jej było dobrze w jego ramionach. Żywiła nadzieję, że uda jej się o tym zapomnieć.

Odwiedziła wiele sklepów, przymierzyła niezliczoną liczbę kapeluszy, wymieniała uprzejmości ze znajomymi lady Aberlane, z którymi starsza pani zatrzymywała się na pogawędkę, ale nie uwolniła się od rozmyślania o Edmondzie Summerville'u. Może to nieuniknione, że obsesyjnie będzie krążyła myślami wokół kochanka. A może jest słabym stworzeniem, które nie tylko ofiarowało Edmondowi na złotej tacy swoją cnotę, ale również swój rozum?

Przecież zawsze sobie obiecywała, że to się nie zdarzy. Rozumiała, jak niebezpiecznie jest pozwolić się oczarować albo, co gorsza, ubezwłasnowolnić... I to blisko celu, o jakim marzyła od dziecka, o usamodzielnieniu się.

W drodze powrotnej do Huntley House wszystkie trzy milczały jak zakłète. Brianna rozpamiętywała wspólne chwile spędzone z Edmondem, a Janet i lady Aberlane wymieniały między sobą zatroskane spojrzenia. Wjechały

do Mayfair. Brianna niechętnie zerknęła przez okno powozu. Przed eleganckim domem stał znajomy czarny pojazd.

- Przecież to powóz Huntleyów - stwierdziła bardziej zdziwiona niż zaalarmowana. - Edmond zapowiedział, że popołudnie spędzi w klubie.

- To na pewno nie jest klub, tyle wiem - odezwała się Janet.

- Jak to?

Lady Aberlane zdecydowanym ruchem zaciągnęła firankę

- Wątpię, czy to istotnie był nasz powóz - powiedziała.

Brianna wyczuła, że jej towarzyszki zachowują się nienaturalnie.

- Kto mieszka w tym domu, Janet?

- Moja droga, daj spokój. To na pewno nie był żaden z powozów Huntleyów - przekonywała lady Aberlane.

Zapewnienia te tylko wzmogły podejrzenia Brianny. Najwyraźniej lady Aberlane zależało na tym, żeby ona czegoś nie odkryła.

- Janet? - Spojrzała badawczo na pokojówkę. Służąca zignorowała ostrzegawcze westchnienie lady Aberlane.

- To dom La Russy.

- Kto to jest La Russa? Coś słyszałam.

- Powinna panienka. To najślynniejsza kokota w Londynie.

- Janet, dosyć tego - ucięła lady Aberlane. - Powiedz, Brianno, czy włożysz dzisiaj wieczorem tę satynową, kremową toaletę? Bardzo ci do twarzy w takim kolorze.

Brianna nie słuchała.

- La Russa, ta śpiewaczka operowa. Mówiono, że odrzuciła protekcję księcia Claredona. Dlaczego on odwiedza w domu taką kobietę?

- Jeśli mnie pyta panienka o zdanie, to powiem, że jest tylko jeden powód odwiedzania tego rodzaju kobiety - orzekła Janet.

- Nikt cię nie pyta. Wszystko to jest bardzo niesmaczne - stwierdziła stanowczo lady Aberlane. - Nie powinnyśmy się w ogóle nad tym zastanawiać. Z tego wynikną tylko kłopoty.

Brianna siedziała nieruchomo ze splecionymi na kolanach dłońmi.

Jak pogodzić się z faktem, że Edmond prosto z jej objęć popędził do domu znanej kurtyzany? Właściwie nie chodziło jej o to, że spędził popołudnie z La Russą. Czy panowie z wyższych sfer nie uważają, że mają przyrodzone prawo do posiadania tylu kochanek, ile im się tylko zamarzy? Edmond nie ukrywał słabości do pięknych kobiet. Co ją zaniepokoiło, to ból, jaki odczuła.

Do diabła! Nie dba o to, co robi Edmond. Nie będzie drżała z zazdrości o piękną, doświadczoną kurtyzanę. Nigdy w nikim się nie zakocha. I przenigdy nie uzależni się od kogokolwiek. Nie zmieni faktu, że podarowała swoją niewinność Edmondowi. W gruncie rzeczy nie była pewna, czy zrobiłaby to, gdyby mogła nie zrobić. Ze wszystkimi swoimi męskimi wadami, a nie brakowało mu ich, był wspaniałym kochankiem. Czy inny mężczyzna doprowadziłby ją do takiej rozkoszy?

Zauważyła zmartwione miny swoich towarzyszek. Uniosła wysoko brodę i odczekała, aż twarz przyoblecze wyraz obojętności.

- Masz rację, Letty - odezwała się opanowanym głosem. - Cóż to mnie obchodzi, że Edmond postanowił poświęcić popołudnie starzejącej się ladacznicy?

- Ależ, Brianno...

- Myślę, że włożę tę kremową, jedwabną satynę - przerwała starszej pani.

- I chyba mój nowy koronkowy szal - dodała.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Lady Aberlane miała rację: w kremowej sukni Brianna wyglądała zjawiskowo. Suknia była efektowna, choć prosta, na bufiaste rękawki były naszyte maleńkie perełki, a spódnicę pokrywała jasna koronka. Wytworną toaletę dopełniały rękawiczki z koźlęcej skórki i jedwabne kremowe pantofelki. Brianna wyglądała tak, jak powinna prezentować się młoda panienka, przyszła księżna Huntley. Nic poza nienaturalną bledością twarzy i gorączkowo błyszczącymi oczami nie wskazywało na wewnętrzne rozdarcie.

Siedząc przed lustrem przy toalecie, zastanawiała się, czy nie użyć trochę różu na blade policzki. Ciche kliknięcie mechanizmu zamka wyrwało ją z zadumy. Nie potrzebowała się odwracać, żeby wiedzieć, że do pokoju wszedł Edmond. Zamarła w oczekiwaniu. Ciepły, sandałowy zapach jego mydła działał jej na zmysły, nie chciała jednak tego okazać.

Przynajmniej był na tyle przyzwoity, że wykapał się po opuszczeniu łóżka tej dziwki, pomyślała. Starła się nie zapominać, gdzie spędził ostatnie godziny. Zatrzymał się za jej plecami i położył dłonie na jej wydekoltowanych ramionach. Ich spojrzenia spotkały się w lustrze.

- Dobry wieczór, *ma souris*. Wyglądasz - obniżył wzrok ku głęboko wyciętemu dekolтови - zachwycająco.

Brianna zerwała się z taboretu i odwróciła, żeby spojrzeć mu prosto w oczy.

- Czy nie mógłbyś zdobyć się choćby na tyle przyzwoitości, żeby pukać, zanim wejdiesz do mojego pokoju? I ten zwyczaj korzystania z sekretnego przejścia...

Przyciągnął ją gwałtownie ku sobie.

- Co ja słyszę? Twój pokój? Tu nie ma nic twojego. Wszystko w tym domu, od strychu po piwnice, należy do rodziny Huntleyów.

- I ja też jestem własnością Huntleyów?

- Nie Huntleyów, moją. Należysz do mnie, *ma souris*. Duszą i ciałem.

- Nieprawdopodobne! - wykrzyknęła z oburzeniem. Niezachwiana pewnością, z jaką wypowiedział te słowa, była przerażająca.

- Zdajesz się zapominać, moja droga - teraz z niej wyraźnie kpił - że taka była cena pozostania pod tym dachem i wyrwania cię ze szponów Thomasa Wade'a.

Odpychała się od jego piersi, ale mocno przytrzymał ją za biodra. Był przekonany, że ona stanowi jego własność, co tylko utwierdzało ją w postanowieniu, że nie powinna mu ustąpić.

- Oczywiście. Moje dziewictwo było zapłatą za ocalenie przed zgwałceniem przez ojczyma. Jak głupio z mojej strony, że o tym zapomniałam. To jednak nie oznacza, że zaprzedałam ci duszę. Nigdy jej nie dostaniesz.

- Prowokujesz mnie?

- Chciałam tylko zaznaczyć, że zwykła przyzwoitość nakazuje respektowanie mojego prawa do odrobiny prywatności.

- Czyżby? Naprawdę tego chcesz? - Zaczął popychać ją w stronę łóżka. - Prywatności?

Nie zamierzała ustępować. Nie potrafiła mu się oprzeć tej pamiętnej nocy, ale nie pozwoli mu na więcej.

- Tak.

Natarł na nią całym ciężarem ciała.

- Te twoje piękne usteczka mogą kłamać, ile wlezie, ale ciało cię zdradza, Brianno.

- I co takiego ono zdradza?

- Że mnie pragniesz. Chcesz, bym zdarł z ciebie te szmatki i całował każdy cal jedwabistej skóry, żebym rozłożył cię na łóżku i zagłębił się w tobie.

- Jasne, że tak. Przecież jesteś mistrzem w uwodzeniu. Czy taka biedna, niewinna istota jak ja mogłaby ci się oprzeć? - zapytała chłodno.

Spokój Brianny rozwścieczył Edmonda. Widocznie wolałby, żeby go obrzucała pretensjami, złorzeczyła mu.

- Zaraz się przekonasz.

Nieoczekiwanie odwrócił ją przodem do łóżka, umieścił jej ręce nad głową i przytrzymał je na słupku od baldachimu.

- Edmondzie, czekają na nas na dole.

- Poczekają. - Nie spuszczaaj rąk ze słupka.

- Ale...

- Nie czas na modły.

Zadarł jej spódnicę i zaczął pospiesznie rozpinąć spodnie. Odwróciła się.

- Nie ruszaj się.

- Nie rozumiem...

- Zaraz zrozumiesz.

- Och!

Z odrzuconą do tyłu, opartą na jego ramieniu głową chłonęła nową, cudowną lekcję namiętnej pasji. Wcześniej myślała, że pokazał jej wszystko, co na ten temat powinna wiedzieć. Okazało się, że są jeszcze nieznane obszary. Przytrzymała się słupka, gdyż uginające się kolana odmawiały jej posłuszeństwa. Lady Aberlane i służący na pewno zachodzili w głowę, co też powstrzymało ją i Edmonda przed punktualnym zejściem na kolację, ale nie dbała o to. Teraz liczył się tylko zarysowujący się na horyzoncie moment, w którym oderwie się od ziemi i poszybujje wysoko, ku przestworom, w których króluje niczym niezmacona rozkosz.

Edmond odciskał gorące pocałunki na wilgotnej skórze jej szyi i ramion.

- Powiedz, co czujesz - domagał się. - Powiedz, że to coś więcej niż przelotna pasja.

- Nie.

- Mów, Brianno.

- To... to jest...

Wygięła się do tyłu. Błogość rozplywała się po całym jej ciele.

- Zwykła żądza.

Oparty o kominek Edmond popijał ciepłego szampana. Nie zwracał uwagi na to, że wszyscy goście lorda Milbanka okazali mu zainteresowanie. Książę Huntley rzadko bywał w tych progach, a teraz pojawił się wraz z narzeczoną.

Jeśli o niego chodziło, to mogli się na niego gapić, ile tylko chcieli. Jego twarz niczego nie wyrażała. Nauczył się skrywać emocje. Ze swobodą pociągnął kolejny łyk szampana i ukradkiem spojrzął na siedzącą na drugim końcu salonu piękność, która była przyczyną jego dyskomfortu.

Mon Dieu. Przecież powinien być zadowolony. Nie tylko mógł do woli sycić się wdziękami Brianny Quinn, lecz także udowodnił tej krnąbrnej dziewczynie, że ona nie potrafi mu się oprzeć, że do niego należy.

Świadczyło o tym każde drgnienie jej ciała. Potwierdzała to skwapliwość, z jaką dawała mu znać, że jest gotowa mu się oddawać. Zauważył, że próbowała ukrywać, że jest jej z nim dobrze, ale zdradzały ją ciche okrzyki, które wrywały się z jej piersi, wciąż dźwięczące w jego uszach. Dlaczego ma teraz nieprzewartą chęć podejść do niej i wrócić do domu?

Przeklęta, uparta dziewczyna. Udało się jej zamknąć mu dostęp do najgłębszych zakątków swojej duszy. Właściwie dlaczego tak mu na tym zależy? Przecież Brianna była tylko pionkiem w jego grze. Miał jej użyć w charakterze przynęty, która przyczyni się do schwywania wroga Stefana. Jeśli nadarzała się sposobność korzystania z jej wdzięków bez komplikacji w postaci nużących zapewnień o miłości... tym lepiej. Tak?

Niestety, nie. To właśnie doprowadzało go do szaleństwa. Powinna się w nim zakochać bez pamięci. Młode, niedoświadczone dziewczyny zawsze myliły namiętność z tym sentymentalnym stanem emocjonalnym, zwanym miłością. Tego rodzaju niebezpieczeństwo czyhało na uwodzicieli. Dlatego rozsądni dżentelmeni starannie unikali niewinnych panien.

Edmond użył wszystkich chwytów ze swojego arsenału, także tych, które złamałyby najbardziej doświadczoną kobietę, ale nie potrafił zmusić Brianny do przyznania się, że jej uczucie jest czymś więcej niż zwykłym pożądaniem. Jej obojętność emocjonalna była jak dokuczliwy cień w boku, którego nie mógł usunąć.

Pozornie nie zwracając uwagi na to, że Edmond ją obserwuje, Brianna poruszała się wśród gości z nadzwyczajną swobodą.

Nikt nie mógłby zgadnąć, że dawniej prowadziła samotnicze życie albo że w przeszłości łączyło ją coś z takim prostakiem jak Thomas Wade. Miała tyle uroku i wdzięku w sposobie bycia, że nawet najwięksi malkontenci byli gotowi zapomnieć o niefortunnym związku Sylvii Quinn z synem rzeźnika. Nie bez znaczenia był oczywiście fakt, że Brianna była zaręczona z dżentelmenem zaliczanym do najlepszych partii w Anglii.

- Mam nadzieję, że jesteś zadowolony.

U boku Edmonda zatrzymała się z chmurną miną ciotka Letty. Gwałtownym ruchem, wyrażającym niezadowolenie, otworzyła wachlarz.

- Nie bardzo. - Odwrócił wzrok od wdzięcznej postaci na końcu salonu. Starał się nie okazywać rozdrażnienia.

- To dobrze. Cieszę się, że to słyszę.

- Cieszysz się, bo widzisz mnie na torturach, czy jest inny powód?

- Brianna ci nie powiedziała?

- Ignoruje mnie.

- Nie dziwię się, zważywszy na okoliczności.

Zirytowały go te zagadki. Wystarczy, że znosił upór i nieprzewidywalne zachowanie Brianny, nie będzie tolerował humorów ciotki.

- Jeśli masz coś do powiedzenia, ciociu Letty, to mów.

- Kiedy wracałyśmy z Brianną dzisiaj po południu z zakupów...

- Z zakupów? - przerwał jej. Pociągnął ciotkę za ramię do najbliższej wnęki, gdyż obawiał się, że nie będzie w stanie ukryć zdenerwowania. - W

niecały dzień po nieudanym zamachu na życie Brianna Quinn jak gdyby nigdy nic paradytuje po ulicach Londynu?

- Jakie tam paradowanie! Odwiedziłyśmy parę sklepów i wróciłyśmy do domu.

- Ona wie, że nie wolno jej wychodzić z domu, chyba że ze mną albo z Borysem.

- Nie jest twoim więźniem.

- Mogła znaleźć się w niebezpieczeństwie. Nie będę tolerował bezmyślnego zachowania! Widocznie trzeba jej przypomnieć, że ma słuchać moich rozkazów.

Ruszył w stronę Brianny, gotów poinformować ją bez zwłoki, że zostanie zamknięta na klucz w swoim pokoju. Na drodze stanęła mu ciotka.

- Nie, Edmondzie. - Jej głos był cichy, ale stanowczy.

- Letty, usuń się.

- Nie. - Wycelowała upierścieniony palec w pierś Edmonda. - Dość tych upokorzeń Brianny. Nie zrobisz publicznej sceny. Brianna jest wśród ludzi, którzy albo ją zaakceptują, albo zignorują.

Dość upokorzeń? Co to znaczy? Chyba Brianna nie opowiedziała Letty o tym, co wydarzyło się w jej sypialni przed wyjściem? A nawet jeśli opowiedziała, nie było to żadne upokorzenie. Zresztą z wyjaśnieniem tego może poczekać. W tej chwili najważniejsze było, żeby Brianna ponownie nie znalazła się w zagrażającej jej sytuacji.

- Nic mnie nie obchodzi towarzystwo - burknął. - Brianna musi mnie bezwzględnie słuchać. Już prawie ją... - Urwał. Wiedział, że powiedział więcej, niż był gotów przyznać nawet przed samym sobą.

Letty była zbyt inteligentna, by tego nie zauważyć.

- Co powiedziałeś? Że już prawie ją utraciłeś? - zapytała łagodnym głosem. Delikatnie dotknęła ramienia Edmonda. - To nie twoja wina, że została ranna. Wina leży wyłącznie po stronie tego, kto pociągnął spust.

- Nie ma znaczenia, kto jest winny, ciociu. Brianna musi zrozumieć, że ma siedzieć w domu dopóty, dopóki nie upewnię się, że zagrożenie minęło.

Na twarzy ciotki pokazało się coś na kształt litości. Usunęła się z drogi Edmondowi.

- Widzę, że nie dasz sobie wyperswadować tego dziwnego przewrażliwienia, ale nalegam, byś zaczekał, aż wrócimy do domu, zanim oznajmisz Briannie, że będzie trzymana na krótkiej smyczy.

- Powiedziałem, że nie dbam o towarzystwo.

- Ale ja dbam.

- Boisz się, że urządzę scenę? Myślałem, że mnie lepiej znasz.

- Nie o to chodzi. Wolałabym jednak, żeby było mniej świadków, gdy Brianna będzie cię mordowała. Jest zbyt słodka, żeby zawisnąć na szubienicy.

- Gdzie podziła się rodzinna lojalność? Czy nie bliżej ci do ulubionego bratanka?

W odpowiedzi lady Aberlane oddaliła się w stronę okna, pod którym siedziały jej przyjaciółki.

Co się z nim dzieje? Jak to się stało, że dał się omotać kobietom? Dobrze wiedział, jakie z tego wynikają komplikacje. Zamieszanie w najlepszym razie, prawdziwe utrapienie - w najgorszym. Jeśli zachował resztki zdrowego rozsądku, powinien kazać im się pakować przy pierwszej nadarzającej się okazji. Udawał, że nie zauważył, jak na tę myśl mocno zabiło mu serce.

Ledwo ruszył z miejsca, zatrzymał go lokaj, który wręczył mu zapieczętowany list. Edmond rozwinął kartkę papieru i przebiegł ją szybko wzrokiem.

- Proszę sprowadzić mój powóz - rozkazał.

- Tak jest, Wasza Wysokość.

Brianna zamarła, gdy zauważyła, że Edmond zmierza w jej stronę. Prawie przez cały wieczór stał oparty o kominek i wodził za nią chmurnym

spojrzeniem. Jak to możliwe, że ci wszyscy ludzie nie zauważyli, że ten mężczyzna nie jest księciem Huntleyem? Stefan miał łagodne usposobienie. Przedkładał dobro innych nad własne. A Edmond... Nawet przez całą szerokość pokoju dawało się wyczuć rozsadzającą go złą energię.

Nagle położył dłoń na jej plecach.

- Moja droga, mogę cię prosić na słówko?

Panowała nad sobą, nie skrzywiła się, gdy otaczające ich eleganckie panie jak nad komendę wydały westchnienie zachwytu. Która kobieta nie uległaby urokowi Edmonda? Która oparłaby się jego zmysłowości?

Zachowała spokój. Była to jej linia obrony.

- Ależ oczywiście - odparła z uśmiechem.

Jedna z dam musnęła rozłożonym wachlarzem ramię Brianny.

- Ostrzegam, panno Quinn, ustępowanie wszystkim żądaniom męża jest wielce nierozsądne. - Zlustrowała lubieżnym spojrzeniem Edmonda.

Zachowywała się jak kokota. - Jeśli młoda, niewinna dziewczyna nie zdobędzie się na odrobinę stanowczości, jest wysoce prawdopodobne, że mąż ją sobie całkowicie podporządkuje - ciągnęła

- Obawiam się, że księżę woli istoty o słabszym kręgosłupie, niż ma jego narzeczona, prawda... Stefan? - odezwała się Brianna.

- O ile taka istota w ogóle istnieje - wycedził. Kierował ją ku wyjściu. - Tędy, kochanie.

Nie miała wyboru. Oczekała, aż zbliżyli się do bufetu zastawionego pasztecikami z homara, pieczonymi gołębiami, faszerowanymi grzybami i innymi smakowitościami.

- Czego chcesz? - zapytała.

- Udusić cię, na początek.

- W takim razie na co czekasz? Wątpię, czy ktoś zechce się narazić na gniew księcia Huntleya i cię powstrzyma.

Przez chwilę Brianna obawiała się, że Edmond naprawdę chwyci ją za gardło. Opanował się jednak i mruczając coś pod nosem, patrzył na nią ostrzegawczo.

- Nie mam czasu na bzdury. Musimy natychmiast stąd wyjść.

- Dlaczego?

- Dostałem informację, że został odnaleziony łajdak, który do ciebie strzelał.

- Nie zapomniałeś więc, po co znalazłeś się w Londynie?

- Co? Nie mówmy już o tym. Wkrótce powrócimy do tematu mojej niechęci do nadąsanych kobiet.

- Nie obchodzi mnie to.

- Będzie cię obchodziło.

Pokierował ją ku drzwiom, chwytając mocno, niemal boleśnie za ramię.

- Uśmiechaj się miło, bo będziemy się tłumaczyć gospodyni, dlaczego wychodzimy tak wcześnie.

- Nie ciągnij mnie tak.

- Ciesz się, że ciotka Letty przekonała mnie, bym nie wyniósł cię na plecach do domu.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

List, który Edmond dostał od Chesterfielda, był krótki. Zawierał wiadomość, że jego człowiek zauważył powóz osobnika, który strzelał do Brianny, i wysledził, że pochodzi on ze stajni w pobliżu Piccadilly. To wystarczyło Edmondowi. Wziął Borysa i trzech innych służących i udał się konno w tamten zakątek miasta. Nie zamierzał pozwolić na to, aby łotr wymknął mu się z rąk. Im szybciej zlikwiduje zagrożenie, tym lepiej.

Może wówczas będzie mógł wrócić do Petersburga i rozrzutnego, obfitującego w przygody życia, do którego przywykł. Ponadto lepiej samemu mieszać się w cudze sprawy, niż wystawiać swoje życie na żer innych.

Dla wygody klienteli stajnie były zlokalizowane w pobliżu hoteli na Piccadilly. Edmond podejrzewał, że zamachowiec nie podda się bez walki.

Odpowiadało mu to, gdyż był w wojowniczym nastroju.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił. Bacznie obserwował oświetlone gazowymi latarniami ulice.

- Gdzie spotkamy się z Chesterfieldem? - zapytał Borys.

- Przy tylnym wjeździe.

- Niech pan zaczeka, przeszukamy teren. Jeśli okaże się czysty, zajmiemy dogodne pozycje, a ja zagwiżdżę, gdy będziemy gotowi.

- To niekonieczne...

- Proszę się nie ruszać, aż zagwiżdżę - powtórzył Borys.

Edmond ustąpił, dał znać ręką, że się zgadza. Borys to żołnierz; wiedział, co robić, żeby skutecznie gwarantować bezpieczeństwo Edmonda. Nie wahałby się powalić pracodawcy na ziemię, żeby uchronić go przed zamachem.

- Poczekam na sygnał.

Ukryty w cieniu najbliższego budynku, Edmond wsłuchiwał się w nocne odgłosy miasta. Rozlegało się stukanie kopyt końskich o kocie łby, którymi były wybrukowane ulice, nawoływanie ulicznych sprzedawców zachęcających

przechodniów do zakupu oferowanych przez nich towarów, pogwarki woźniców oczekujących na postojach na powrót chlebobawców.

Nie sposób też było ignorować miejskie zapachy: smród psujących się śmieci i odór nieczystości dochodzący z rynsztoków. W takiej chwili rozumiał niechęć brata do życia w Londynie.

Niecierpliwiał się mocno, wreszcie usłyszał gwizdanie i wolnym klusem ruszył w stronę tylnego wjazdu do stajni. Już miał wyjść na podwórze, gdy z cienia wyłoniła się postać.

- Chesterfield.

Detektyw miał na sobie odzienie woźnicy i rozmazany brud na twarzy. Z tym wyglądem mógł swobodnie poruszać się po Londynie, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Edmond spostrzegł, że Chesterfield uśmiecha się tajemniczo.

- Zastanawiam się, jak to się dzieje, że księżę zatrudnia służących, po których widać, że odbyli przeszkolenie wojskowe i posiadli umiejętności stosowniejsze dla włamywaczy niż lokajów.

- Lepiej się nad tym się nie zastanawiać.

- Nic mnie to nie obchodzi, skoro nie ukradziono klejnotów koronnych ze skarbca - odpowiedział, wzruszając ramionami, Chesterfield.

- Informował pan, że został odnaleziony powóz zamachowcy.

- Moi ludzie odkryli pojazd za stajniami lorda Milbanka, ale gdy próbowali podejść bliżej, odjechał. Na szczęście ruch w Londynie jest tak duży, że całkiem łatwo było go odnaleźć i prześledzić jego trasę do stajni.

- A co z woźnicą?

- Zniknął w hotelu Pultneya. W tylnej oficynie na drugim piętrze. -

Chesterfield wskazał brodą najbliższy budynek.

- *Mon Dieu.*

- Czy to się panu z czymś kojarzy? Bo mnie nie.

Według mojej wiedzy, Pultney to za porządny hotel dla morderców.

- Nie, ale coś mi się kołacze...

Edmond był pewien, że kilka dni temu zetknął się z nazwą hotelu. Ale w związku z czym? Aha, znalazł o nim wzmiankę w gazecie. Zwrócił uwagę na notatkę na kolumnie towarzyskiej. Wiktor Kozakow, rosyjski szlachcic, którego car Aleksander Pawłowicz zesłał na Syberię, pojawił się w Londynie. Edmond powiadomił o tym rosyjskiego ambasadora i kompletnie o nim zapomniał.

Mało brakowało, a Brianna przypłaciłaby życiem ten błąd.

- Borys!

- Ma pan jakiś plan? - zapytał Chesterfield.

- Złożymy z Borysem wizytę temu dżentelmenowi.

- Czy to rozsądne, zważywszy na to, że on chce pana zabić?

- Lepiej pozwolić, żeby chodził za mną po całym Londynie i strzelał, gdy tylko przyjdzie mu na to ochota? Albo gorzej, żeby wodził mnie za nos?

- Rozumiem, ale dlaczego nie mogę panu towarzyszyć?

- To niepotrzebne.

- Wasza Wysokość zapomina, że omal pana nie zabito kilka dni temu.

- Nigdy o tym nie zapomnę, Chesterfield, zapewniam pana.

- Dlaczego zatem chce pan ryzykować, skoro może pan skorzystać z mojej ochrony?

- Bo mam zadania, które wymagają dyskrecji.

- Zapewniłem pana o swojej dyskrecji...

- Proszę się usunąć, Chesterfield - wtrącił się Borys. - Nie ma mowy o żadnej zmianie, jeśli mój pan coś postanowi. To chyba wina błękitnej krwi krążącej w jego żyłach. Pod jej wpływem gnije rozum.

- Dziękuję. - Edmond rzucił Borysowi niechętne spojrzenie.

- Nie ma za co.

- Niech pan tu zostanie ze swoimi ludźmi - zwrócił się Edmond do detektywa. - Zawołam pana w razie potrzeby.

Sięgnął po pistolet ukryty w kieszeni płaszcza, gestem wezwał Borysa, aby za nim podążył. Zamierzał skorzystać z wejścia dla służby.

- Coś pan zauważył? - zapytał Borys.

- Że jestem głupcem. - Edmond zatrzymał się, widząc dwóch mężczyzn stojących na początku alejki, tuż przed hotelem.

Było za ciemno, żeby można było im się przyjrzeć, ale aż za dobrze było słyszeć, że rozmawiali po rosyjsku. Edmond z Borysem przyłgnęli do ściany budynku, wzdłuż której się posuwali.

- Rozumiesz rozkazy? - zapytał jeden z mężczyzn.

Edmond rozpoznał niski głos Wiktora Kozakowa.

- Nie jestem głupi - odpowiedział drugi. - Mam o świcie opuścić Londyn i pojechać do Dover. Tam wsiąść na pierwszy statek pocztowy odpływający do Francji. Stamtąd mam się udać do Moskwy.

- Nie wracaj do swojego mieszkania w Londynie i z nikim nie rozmawiaj - rozkazał Wiktor Kozakow. - Dotyczy to też twojej kochanki.

- To zbytek ostrożności. Mówiłem ci, że nie zostałem rozpoznany.

- Mówiłeś, że ten sam jegomość, który coś od ciebie chciał, siedł za tobą wtedy, gdy byłeś taki głupi, żeby strzelać do stojącego na tarasie Huntleya.

Borys z miłą chęcią wyskoczyłby z ciemności i przetrącił kark Wiktorowi. Był jednak dobrze przeszkolony i subordynowany, musiał więc czekać na rozkaz Edmonda. A ten nie wyda rozkazu, dopóki nie zdobędzie wszystkich niezbędnych informacji.

- Chciałeś, żeby lord Edmond uwierzył, że jego brat jest w niebezpieczeństwie. Cóż bardziej przekonującego niż kula w sercu księcia Huntleya? Poza tym ten służący, na przykład, mógł chcieć, żebym się z nim napił lury, którą oni w tym kraju nazywają piwem.

- Jesteśmy zbyt blisko celu, jakim jest koniec rządów cara Aleksandra, żeby popełniać błędy. Niech lord Edmond w dalszym ciągu wierzy, że życie jego brata jest zagrożone.

Edmond zacisnął pięści. *Mon Dieu!* Jakim był idiotą! Zakutą pałą, która zasługuje na kulę w łeb.

- Ale czy on w to wierzy?

- Przecież przyjechał do Anglii, nie? - odpalił Wiktor.

Edmond zrozumiał, że mężczyźni za sobą nie przepadają.

- Do Anglii tak, ale nie do Londynu. Może został w Surrey, ponieważ podejrzewa, że coś jest nie w porządku.

Wiktor zbliżył się jeszcze bardziej do swojego rozmówcy. Włożył rękę do kieszeni, gdzie musiał mieć ukryty pistolet.

- Może sobie podejrzewać, co chce, byle trzymał się z dala od Petersburga i cara.

Umilkli na pełną napięcia chwilę. Uznawszy widzieć swoją porażkę, nieznajomy odstąpił od wysokiej postaci Wiktora.

- Komandor nie będzie zadowolony, że odsyłasz mnie z Londynu. Dostałem instrukcję, by informować go o tym, co się tu dzieje.

Edmond uśmiechnął się krzywo. Wyczuwał, że Wiktor jest wściekły. Ten pyszałek zawsze uważał się za lepszego od innych, włączając cara.

- Ja wydaję rozkazy, nie komandor, a jeśli on chce być informowany o tutejszych wypadkach, niech porzuci wygody Pałacu Zimowego i sam przyjedzie do Londynu.

- Nie może ryzykować zdemaskowania - argumentował tamten.

- Dlaczego nie? Chce, żebyśmy nadstawiali głowy, a sam kryje się w cieniu.

- Dlaczego mu tego nie powiesz?

- Może i powiem. A teraz już idź, głupcze.

Mężczyzna, widocznie nawykły do posłuszeństwa, ruszył w stronę ulicy. Wiktor patrzył z ślad za nim, dopóki tamten nie roztopił się w ciemnościach. Dopiero wtedy skierował się w stronę hotelu.

Edmond i Borys wrócili do stajni.

- Wiktor Kozakow - przerwał milczenie Borys. Znał go dobrze. Ten człowiek w zaufanych kręgach wielokrotnie wyrażał niezadowolenie z rządów cara, choć publicznie z jego ust nie padło słowo krytyki. - Przecież był zesłany na Syberię. Co, u diabła, robi w Londynie?

- Najwidoczniej myli tropy. Nawet żółtodziób powinien się zorientować, że to pułapka. A ja, który uważam się za doświadczonego, wpadłem w nią, jakbym nie miał krztyny rozumu. *Mon Dieu*, jak mogłem być taki głupi? Powinienem od początku się spodziewać, że chcą mnie wywabić z Petersburga.

- Martwił się pan o brata.

- Obaj dobrze wiemy, że najskuteczniejsze są działania trafiające w najslabszy punkt człowieka. - Uderzył pięścią w otwartą dłoń drugiej ręki. Jakże pragnął, aby była to zadowolona z siebie gęba Kozakowa. - Nieraz to praktykowałem.

- Summerville, musiał pan jechać do Anglii i zapewnić bratu bezpieczeństwo. Nikt nie może mieć tego panu za złe.

- Sam mam sobie za złe, i słusznie. Dopuściłem do tego, żeby emocje wzięły górę nad zdrowym rozsądkiem.

- Nie warto wracać do przeszłości - z typowo rosyjską rezygnacją zauważył Borys. - Co teraz? Zabijemy Wiktora Kozakowa?

- Jeszcze nie.

- On spiskuje przeciwko carowi.

Edmond znał Kozakowa i wiedział, że nie wyzna on prawdy, nawet za cenę życia. Kozakow był przekonany, że Rosja wymaga reform, które car kiedyś obiecał, ale teraz wrócił do rządów silnej ręki, wzorem poprzedników. Może dlatego, że rozczarował się do swoich ziomków i znudził ich obawą przed postępem.

- Tak, ale nie wiemy, kto jest jego współnikiem w Rosji. Ten komandor musi być kimś wysoko postawionym, jeśli jest zapraszany do Pałacu Zimowego.

Nie możemy ujawnić, że jesteśmy świadomi zagrożenia, dopóki się nie dowiemy, kto jest w to zamieszany. W przeciwnym wypadku zdrajcy się przyczają i jak poczują się pewniej, znowu zawiążą spisek. Wiktora Kozakowa należy śledzić dzień i noc. Wynajmij tylu ludzi, ilu potrzeba. Muszę wiedzieć o każdym jego ruchu. Zrozumiano?

- Tak jest.

- I poślij kogoś za tym nieznajomym. Będzie go można dogonić na drodze do Dover. Każ się z nim zaprzyjaźnić, jeśli to możliwe, na promie do Francji. Może ten zdrajca ujawni ważną informację.

- A co pan będzie robił?

Edmond się skrzywił. Lojalność wobec Aleksandra Pawłowicza wymagała, aby pozostał w Londynie i nie spuszczał oka z Kozakowa. Wcześniej czy później mógł on zaprowadzić do swoich rosyjskich wspólników. Tym razem jednak Edmond musiał zająć się czymś ważniejszym niż bezpieczeństwo cara. Wiktor już raz dowiedział, że nie zawaha się zamordować księcia Huntleya, jeśli to leży w jego interesie. Kto wie, czy nie uzna, że zaszła konieczność poświęcenia również i Brianny? Oprócz tego jeszcze był Thomas Wade. Gdyby Edmond skoncentrował się na Wiktorze, mogłoby się okazać, że nie jest w stanie chronić Brianny przed tym zdeprawowanym typem.

- Muszę na krótko wrócić do Surrey. Borys uśmiechnął się złośliwie.

- Zamierza pan zawieźć tę kobietę do brata? Edmond nie kwapił się z potwierdzeniem.

- Nie zawieźź mnie.

- Czy kiedykolwiek zawiodłem?

- Nigdy.

- Edmondzie - powiedział cicho Borys.

- O co chodzi?

- Niech pan weźmie ze sobą Janet. W razie zagrożenia na pewno zrobi coś głupiego w obronie panny Quinn.

Edmond parsknął śmiechem.

- Jak gdybym kiedykolwiek mógł rozdzielić Janet z jej panią. - Spowaźniał. - Uważaj. Kozakow udaje nadętego bufona, ale to groźny przeciwnik, nie zawaha się zabić, jeśli zauważy, że go śledzisz.

- Niech pan także uważa - odparł Borys. - Zdrajcy mają oko na Meadowland. Musi pan być bardzo czujny.

- Jak zwykle.

Brianna bezskutecznie starała się zasnąć. Dobrą godzinę przewracała się z boku na bok, wreszcie się poddała. Wstała z łóżka i zaczęła niecierpliwie przemierzać tam i z powrotem sypialnię.

Tłumaczyła sobie, że przyczyną zdenerwowania jest fakt, iż Edmond odwiedził znaną w całym Londynie kokotę. To z tego powodu miała ściśnięty żołądek i wyschnięte usta, a nie dlatego, że wyruszył nocą na miasto w pogoni za jakimś niebezpiecznym maniakiem.

Nie wiadomo tylko dlaczego ciągle powraca przed okno, aby popatrzeć w stronę spowitych w ciemnościach stajni, dlaczego jej uszy nieustannie łowią każdy dźwięk, który mógł się okazać odgłosem kroków Edmonda.

A kiedy już usłyszała, że Edmond jest za drzwiami, dlaczego musiała się oprzeć o krawędź półki nad kominkiem, bo ogarnęła ją tak wielka ulga, że nie mogła ustać na nogach? Przytknęła czoło do chłodnego marmuru. Co się ze mną dzieje? - zadała sobie w duchu pytanie.

Drzwi otworzyły się i zamknęły.

- Edmondzie, na litość boską, czy celowo rujnujesz moją reputację?

Zbliżał się do niej z wyrazem zaciętej determinacji na twarzy.

Cofnęła się, zderzając z obramowaniem kominka. Zatrzymał się i oparł dłonie o ścianę po obu stronach głowy Brianny.

- Kiedy postanowię cię skompromitować, Brianno Quinn, będziesz o tym wiedziała. - Jego oddech owiewał jej twarz. - Teraz chcę, żebyś się spakowała. -

Spojrzenie błękitnych oczu wędrowało po jej twarzy, jakby myślami był gdzie indziej. - Za godzinę wyjeżdżamy do Meadowland.

- Do Meadowland? Dlaczego?

- Nie będę tłumaczył. Od czasu jak postawiłaś nogę w tym domu, nie mówiłaś o niczym innym.

Drżała. W na wpół przezroczystej koszuli nocnej czuła ciepło emanujące od Edmonda.

- A ty uparcie odmawiałeś spełnienia mojego żądania, o ile pamiętasz. Dlaczego nagle zdecydowałaś, że mamy wyjechać w środku nocy?

- Wzywają mnie obowiązki. Będiesz bezpieczniejsza w Meadowland - odpowiedział powoli, jakby ważąc słowa.

Oczywiście, jaka z niej głupia geś! Przecież był u kochanki. Na co mu taka niedoświadczona kobieta jak ona.

- Rozumiem. Już się mną nasyciłeś i teraz zamierzasz przekazać mnie w inne ręce. Tego należało się spodziewać.

- Nasyciłem się tobą? - zagrział. Oczy miały błyskawice. - Jesteś niemądra.

Uchwyciła się klap jego surduta. Ustami, którymi wodził po jej szyi, rozbudził pożądanie. Jej ciało pragnęło Edmonda i to pragnienie tłumilo chęć sprzeciwienia się żądzy, która wprawiała w drzenie napięte mięśnie Edmonda. Podobało się jej to - jego rozgorączkowanie, nieokiełznana namiętność.

- Co do tego ostatniego, to się z tobą zgadzam.

Z zamkniętymi oczami wczuwała się w odpowiedź, jakiej udzielało mu jej ciało, gdy ssał poprzez cienką materię stwardniałą brodawkę jej piersi.

- *Ma souris* - łapał urywany oddech - doprowadzasz mnie do szaleństwa.

Uniósł w górę jej koszulę.

- Mówiłeś, że zaraz wyjeżdżamy.

Uciszył ją pocałunkiem i zaczął mocować się z guzikami spodni.

- Chcesz mnie?

Czuła się zawiedziona. Był blisko, a nie spieszył się ze spełnieniem.

- Proszę, Edmondzie.

- Wypowiedz te słowa, Brianno. Powiedz, że mnie pragniesz.

Wsunęła mu dłonie we włosy i wygięła ciało ku niemu.

- Pragnę cię.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Brianna była zdezorientowana. Namalowane na suficie cherubiny, pierwsza rzecz, jaką zauważyła po otwarciu oczu, uzmysłowiły jej, że jest w Meadowland. Słońce zaglądało do pokoju, tworząc jasne plamy na perskim dywanie. Obudziła się później niż zazwyczaj, ale nic w tym dziwnego, poprzedni wieczór był bogaty w wydarzenia.

Kochali się jak szaleni, potem Edmond w milczeniu obserwował Briannę, jak pakowała bagaże. Drżącymi rękami układała jedwabne suknie, ale twarz nie ujawniała żadnych uczuć.

Edmond jechał konno obok powozu, który trzął się na wybojach traktu do Surrey. Brianna musiała sama zaspokajać ciekawość wyrwanych ze snu lady Aberlane i Janet. Tymczasem ona też chciałaby znać odpowiedź na zadawane przez nie pytania. Ją również zaskoczył pospieszny wyjazd z Londynu.

Wstała z łóżka i zadzwoniła na Janet.

Niecałą godzinę później była wykąpana i ubrana w białą suknię w szmaragdowe pasy, podkreślające kolor jej zielonych oczu i harmonizujące ze złocistymi włosami. Strój uzupełniały brązowe półbuciki i kamea na zielonej wstążce na szyi.

Wyszła z pokoju. Ze wzruszeniem odnotowała fakt, że w Meadowland nic się nie zmieniło. Stara wytarta boazeria w długim holu pamiętała lepsze czasy. To samo można było powiedzieć o mahoniowych i pozłacanych krzesłach ustawionych wzdłuż wytartego karmazynowego chodnika. Mimo sprzeczki z

Edmondem, wywołanej wyjazdem w środku nocy, cieszyła się, że wróciła do Meadowland. Z miejscem tym wiązały się najradośniejsze wspomnienia z dzieciństwa. Wchodziła na paluszkach do pokoju muzycznego, żeby posłuchać grającej na fortepianie lady Huntley, uczyła się grać w szachy od Stefana, zjadała cytrynowy placek specjalnie dla niej pieczony przez panią Slater.

W tym starym dworze czuła się jak u siebie w domu, a może nawet lepiej, bo wypełniało go ciepło kochającej się rodziny, którego tak bardzo brakowało pod dachem jej rodzinnego siedliska. Ojciec kochał ją, ale zajęty spełnianiem zachcianek nieprzewidywalnej żony, miał mało czasu dla córki. Matka nie zwracała na nią uwagi.

Okazałymi schodami Brianna zeszła piętro niżej, gdzie u stóp stał, uśmiechając się do niej przyjaźnie, Stefan. Był dokładną kopią swojego wyniosłego brata, ale Brianna od razu się zorientowała, kto na nią czeka. Choć był ładząco podobny do Edmonda, jego widok nie wprawiał jej w drżenie.

Uściskali się po przyjacielsku.

- Dzień dobry, Brianno.

- Witaj, Stefanie.

- Tak mi przykro, moja droga.

- Dlaczego?

- Edmond opowiedział mi, ile wycierpiałś od Thomasa Wade'a. Nigdy go nie lubiłem, ale nie przypuszczałem...

- Skąd mogłeś wiedzieć - nie dała mu dokończyć.

- Powinienem. Edmond uzmysłowił mi to w dosadnych słowach. Miałem obowiązek zaopiekować się tobą i tak haniebnie zawiodłem. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci to wynagrodzić. Obiecuję.

- Jestem szczęśliwa, że tu przyjechałam. Meadowland nic się nie zmieniło.

- Tak powiadają. - Rozejrzał się dookoła, dodając z przekąsem: - Zastanawiam się, czy nie czas przestać żyć przeszłością i trochę unowocześnić tę starą landarę.

- Nie rób tego - zaprotestowała, zreflektowała się jednak szybko, że nie do niej należy decyzja. - Naturalnie, uczynisz, jak uważasz, ale ja wolę, żeby wszystko zostało po staremu. Gdy mieszkałam w domu Thomasa Wade'a, zamykałam oczy i udawałam, że jestem w Meadowland. Czułam się wtedy... bezpieczna.

- Moja droga, słodka Brianno. - Uściskali się ponownie. - Powiniennem cię tu sprowadzić zaraz po śmierci twojej matki.

- Brakowało mi ciebie. - Brianna czuła się szczęśliwa przy Stefanie.

- Co ja widzę? Jaka wzruszająca scena!

Brianna i Stefan odskoczyli od siebie niczym przyłapano na psotach niegrzeczne dzieci.

- Myślałem, że już wyjechałeś.

Edmond nie spuszczał uważnego wzroku z twarzy Brianny.

- Postanowiłem zostać do jutra rana. Oczywiście jeśli nie przeszkadzam.

- Nie opowiadaj głupstw. Mieliśmy się udać z Brianną na śniadanie.

Pójdiesz z nami?

Brianna nie ugięła się pod spojrzeniem Edmonda. Nie zrobiła nic złego i nie da się wpędzić w poczucie winy.

- Mam jeszcze coś do załatwienia - odparł ostrym tonem Edmond. - Dołączę do was później.

- Doskonale. - Stefan rzucił Briannie pytające spojrzenie i położył jej dłoń na swoim ramieniu. - Chodźmy.

Jadalnia przedstawiała się okazale. Przy lśniącym orzechowym stole mogły zasiąść dwadzieścia cztery osoby. Z okna roztaczał się wspaniały widok na staw. Sufit pokrywały malowidła z epoki Stuartów, natomiast centralną część zajmował herb Huntleyów.

Brianna ruszyła w stronę swojego miejsca, stanęła jednak jak wryta, gdy zza stołu wyskoczył wielki pies. Pochyliła się, by pogłaskać zwierzę po głowie, a ono odpowiedziało jej przyjacielskim machaniem ogonem.

- To nie może być Puck?

- To kolejny Puck. Jest tak samo nieprzydatny do polowania jak jego ojciec, ale nie mogę się zdecydować, żeby go uśpić.

- Nie mógłbyś tego zrobić. Masz za dobre serce.

- Nie wiem, czy to pochwała, czy zarzut.

- Z całą pewnością pochwała.

Stefan odprawił ręką jednego z licznych służących i sam podsunął Briannie krzesło.

- Usiądź, proszę, przyniosę ci talerz.

- Dziękuję. Nie tak często zdarza się kobiecie, że obsługuje ją książe.

- Nie zastanawiaj się nad tym. - Ruszył do bufetu. Nałożył na dwa talerze jajka, tosty, wędzone ryby i grube plastry szynki. - W końcu mężczyzna powinien nadskakiwać narzeczonej.

- O Boże, zupełnie zapomniałam. Zapewniam cię, że to nie był mój pomysł. Nigdy bym nie chciała stawiać cię w kłopotliwej sytuacji.

- Zakładam, że Edmond miał jakieś powody choć jeszcze mi ich nie wyjaśnił. Prawdę mówiąc, to dla mnie żaden kłopot, że moje nazwisko jest łączone z nazwiskiem tak pięknej kobiety jak ty. Mogę tylko w ten sposób zyskać w oczach socjety.

- Przesadzasz. Nie zapominaj, że ciągnie się za mną cień Thomasa Wade'a.

- Nie mów tak, Brianno.

- Dlaczego nie? To prawda. Gdyby nie magia nazwiska Huntleyów, nigdy bym nie znalazła akceptacji w towarzystwie. Ale czy można kogokolwiek za to winić?

- Ja mógłbym. Twój ojciec był człowiekiem honoru i cieszył się szacunkiem w Anglii. Masz powody do dumy, Brianno.

- To bez znaczenia. Gdy ogłosisz zerwanie zaręczyn, wszyscy o nich szybko zapomną.

- Nie ma pośpiechu. Powiedz mi, moja droga - zmienił temat - czy Edmond dobrze cię traktował w Londynie?

- Nie najgorzej. - Ugryzła grzanekę, świadoma, że Stefan się jej przypatruje. - Wiesz, zdaje mi się, że nie było mnie tu całe wieki. Jestem bardzo ciekawa lokalnych nowinek. Słyszałam, że Sarah Pierce poślubiła najmłodszego syna sir Kincaida. Byłeś na ślubie?

Wyraz twarzy Stefana świadczył o tym, że domyśla się, iż Brianna coś ukrywa. Nie zamierzał jednak w odróżnieniu od brata nalegać, by wyjawiała mu swój sekret. Brianna nie mogła się nadziwić, zresztą nie po raz pierwszy, jak ci dwaj mogą być tak do siebie podobni i jednocześnie tak się różnić.

Po rozstaniu się ze Stefanem i Brianną Edmond wyszedł na taras, gdzie nie mogło go dosięgnąć żadne ciekawskie oko. Przeciągnął dłońmi po włosach, wziął głęboki oddech.

Mon Dieu, gdy natknął się w holu na Briannę w objęciach brata, wpadł w furję i omal nie stracił panowania nad sobą. Jak on ośmielił się dotknąć Brianny! Należy do niego i udowodni to wszelkimi możliwymi sposobami.

Dlaczego nie wyjechał z Meadowland o świcie jak zamierzał? Brianna i ciotka Letty były bezpieczne pod opieką Stefana, nic nie stało na przeszkodzie jego powrotowi do Londynu. Diabelne zauroczenie! Krążył po tarasie targany prymitywnymi emocjami.

W pewnym momencie dostrzegł Briannę. Weszła bocznymi drzwiami do ogrodu rozciągające się poniżej. Wyglodniałym wzrokiem śledził jej smukłą postać widoczną pomiędzy marmurowymi statuami ustawionymi wzdłuż alejki. Kołysała prowokacyjnie biodrami, a jej włosy błyszczały w świetle porannego słońca.

Zbiegł z tarasu, nawet nie zastanawiając się, co z tego wyniknie.

- Brianno! - zawołał.

Zamarła w bezruchu. Wyczuł, że jego obecność nie była jej miła, nie dotknął jej więc, by nie uciekła do domu.

- Myślałam, że masz pilną sprawę do załatwienia w Londynie - zaczęła pierwsza.

- Dlaczego ścisakałaś się z moim bratem? Drgnęła. Nie spodziewała się takiego pytania.

- Zawsze się przyjaźniliśmy, wiesz o tym.

- Dawniej byłaś dzieckiem.

- A dzięki tobie dzieckiem już nie jestem.

- Masz nadzieję, że Stefan cię poślubi?

- Jak śmiesz!

- Odpowiedz, Brianno.

- Niby dlaczego? - Przybrała prowokujący wyraz twarzy. - Nie twoja sprawa.

- Jeszcze jak moja! Naprawdę wierzysz, że pozwolę, by moja kochanka poślubiła mojego brata?

- Nie jestem twoją kochanką i nie należę do kobiet, które ustawicznie polują na męża. Niektóre z nas zdają sobie sprawę z korzyści, jakie niesie życie bez dyktatu ze strony mężczyzny.

Edmond machnął lekceważąco ręką.

- Zakładając, że wierzę, iż nie skorzystałabyś z okazji zostania księżną Huntley, mój brat nie jest mnichem.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Stefan prowadzi tu odosobnione życie. Obecność młodej i pięknej kobiety pod jego dachem wystawi go na pokusy.

- O to ci chodzi. - Była oburzona. - Ponieważ czuje się samotny, mógłby przez pomyłkę pomyśleć, że jest mną zajęty?

- Musiałby być nieżywy, aby się tobą nie zainteresować. Chcę ci powiedzieć, że on jest bardzo wrażliwy. Już żywi do ciebie uczucie.

- W odróżnieniu od ciebie Stefan jest człowiekiem honoru. Nigdy nie próbowałby uwieść podopiecznej.

- Zapewne. Niewątpliwie jednak należałby na małżeństwo.

- W roli twojej szwagierki jestem dla ciebie nie do przyjęcia - powiedziała z przekąsem Brianna.

Wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby.

- Żebyś wiedziała.

Odwróciła głowę i utkwiała wzrok w fontannie, która rozpylała wodę z czubka głowy marmurowego aniołka.

- Jestem dość dobra, aby ci ogrzewać łóżko, ale nie dość dobra, żeby poślubić twojego brata.

Edmond poniewczasie uświadomił sobie, że nie powinien zbliżać się do Brianny, opanowany złością.

- Nie chodzi o to, czy jesteś dobra, czy nie.

- To o co?

- O to, że go zabiję - oznajmił. - Czy to dla ciebie jasne, Brianno?

Zachwiała się.

- Postradałeś rozum.

- Może. - Skłonił się. - Miej to w pamięci, kiedy następnym razem rzucisz się w ramiona Stefana.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Po scenie w ogrodzie Brianna wiedziała, że nie może wrócić do domu i udawać, że nic się nie stało. Szła przed siebie wysypaną żwirem ścieżką, która zaprowadziła ją do sztucznej groty, skąd rozciągał się widok na staw.

Było to jej ulubione miejsce. W przeszłości godzinami bawiła się tu lalkami i na niby częstowała Stefana herbatą. Stamtąd też szpiegowała Edmonda, gdy zdarzało mu się zwabić do labiryntu z krzewów dziewczynę, żeby jej skraść pocałunek albo i coś więcej.

Starła się odzyskać spokój.

Dlaczego zachowywał się jak zazdrosny mąż, gotów do awantury pod byle pretekstem? Po mniej więcej godzinie doszła do wniosku, że zaborczość Edmonda miała związek nie z nią, tylko ze Stefanem. Chociaż bracia okazywali sobie miłość, od najwcześniejszej młodości wyraźnie ze sobą konkurowali. Zwykła partia krykieta nieraz kończyła się niemal bójką.

Konkluzja ta nie pocieszyła Brianny. Trudno mieć satysfakcję z tego, że jest się traktowaną jak przedmiot. Odzyskała jednak spokój. To, co zaszło między nią a Edmondem, było przelotnym szaleństwem. Ogień szybko się wypalił i pozostała blednąca wspomnienia. Ledwie zdążyła dojść do tego wniosku, gdy na ścieżce rozległy się czyjeś kroki. Wyjrzała, żeby zobaczyć, kto nadchodzi, i wpadła w panikę. Zbliżającym się przystojnym, ciemnowłosym mężczyzną był nie Edmond, lecz Stefan.

- Brianno, przeszkadzam?

- Ależ skąd. - Uśmiechnęła się blado. - Wejdz.

- Siedzisz tu już dość długo. Czy coś się stało?

- Nie czuję się za dobrze, ale to nic poważnego.

Z groty rozciągał się widok na staw. Gdy była podlotkiem, Stefan zabierał ją na brzeg i razem łowili ryby, uczył ją nawet pływać, choć dostawał burę od

jego matki za to, że Brianna pławała się w wodzie tylko w koszuli. Dawno minione, beztrudne dni...

- Byłbym złym gospodarzem, gdybym nie dostrzegł, że ktoś z moich gości jest nieszczęśliwy. - Przesunął palcem po policzku Brianny. - Co ci powiedział Edmond?

Zdziwiona nieoczekiwaną pieśczołą i pytaniem, spojrziała Stefanowi w oczy.

- Jak to?

- Widziałem was w ogrodzie.

- Och, to drobiazg. - Zarumieniła się na myśl, że Stefan był świadkiem jej sprzeczki z Edmondem.

- Brianno, zarzucają mi, że jestem tępy, gdy chodzi o zrozumienie innych mężczyzn, ale nawet ja mogłem zauważyć, że się kłóciliście.

Zdała sobie sprawę z tego, że nie będzie w stanie ukryć zdenerwowania postępowaniem Edmonda.

- Twój brat działał mi na nerwy, nawet gdy byłem dzieckiem. Nic się nie zmieniło przez tych kilkanaście lat.

- Moja droga, jest dla mnie oczywiste, że między wami doszło do czegoś w Londynie. Nie ufasz mi na tyle, żeby wyznać prawdę?

Bez zastanowienia uchwyciła go za rękę.

- Stefanie, ufam ci, powierzyłabym ci swoje życie. - Uścisnęła leciutko jego dłoń. - Wiesz przecież, ale...

- Ale co?

- To jest między mną a Edmondem i wolałabym, żeby tak zostało.

Oczy Stefana pociemniały, przez dłuższą chwilę zmagali się ze sobą, zanim powiedział krótko:

- Rozumiem.

- Cieszę się, że któreś z nas rozumie.

- Usiądziesz ze mną na chwilę?

- Dobrze.

Podeszli do marmurowej ławki. Brianna czekała, żeby Stefan pierwszy przerwał milczenie.

- Myślę, że byłoby dobrze, gdybym wyjaśnił ci coś w związku z moim bratem.

- Wydaje mi się, że dość dużo o nim wiem. Jest arogancki, wyniosły i bezwzględny, jeśli mu na czymś zależy.

- To prawda, ale to człowiek głęboko zraniony.

- Zraniony? Edmond?

- Wiem, że trudno w to uwierzyć. On stara się pozować na kogoś, kto jest obojętny na wszystko. Zwłaszcza wobec osób trzecich.

- Ciebie kocha.

- Tak, ale nikogo do siebie nie dopuszcza. Boi się... otworzyć na uczucie.

Brianna czuła, że powinna wstać i odejść. Edmond zabrał jej niezależność, niewinność i pozbawił ją zdrowego rozsądku. Nie należało mu współczuć. Jednak została i zapytała:

- Ale dlaczego?

- Wiesz, że nasi rodzice utonęli wraz ze swoim jachtem na kanale La Manche.

- Oczywiście.

Śmierć księcia i księżnej Brianna przeżyła boleśniej niż śmierć własnej matki. Byli dla niej kimś więcej niż miłymi sąsiadami, którzy okazali serce samotnej dziewczynce. Dzień po dniu udowadniali, że na świecie istnieje prawdziwa miłość.

- Płakałam po nich chyba ze dwa tygodnie bez przerwy.

Stefan zatopił się w smutnych wspomnieniach ich rodzina była bardzo silnie ze sobą związana.

- Mało kto wie, że spieszyli się do Londynu bo Edmond przekrobał coś z grupą przyjaciół i miał stanąć przed sądem. Nigdy nie dotarli na miejsce.

- Ach, Stefanie. - Brianna zacisnęła palce na jego dłoni.

- Dla mnie było to okropne przeżycie, ale dla Edmonda o wiele gorsze. Zaczął oskarżać siebie o ich śmierć. Według niego, rodzice wciąż by żyli, gdyby nie jego lekkomyślność. Nie wiem, czy kiedykolwiek sobie wybaczy. Dopóki to nie nastąpi, nie może ryzykować pokochania innej osoby.

Serce Brianny ścisnęło się z bólu na myśl o młodocianym Edmondzie uciekającym od świata i obarczającym się winą za śmierć rodziców.

- On się boi, że zawiedzie. Dlatego nikogo do siebie nie dopuszcza. Próbowałem mu pomóc, ale jak dotąd bezskutecznie.

- Podejrzewam, że nie tylko on żyje w poczuciu winy. - Delikatnie pogłaskała Stefana po policzku. - Jestem pewna, że zrobiłeś wszystko, aby pomóc bratu.

Przyłożył dłoń do jej dłoni i przycisnął ją do swojego policzka.

- Możliwe, ale nie jest mi przez to łatwiej patrzeć na jego cierpienie.

- Też tak sędzę.

- W każdym razie, pomyślałem, że napięcie między tobą a Edmondem złagodnieje, jeśli zrozumiesz, dlaczego on odpycha od siebie ludzi.

- Nie jestem pewna, czy cokolwiek jest w stanie złagodzić napięcie między nami, ale dobrze wiedzieć, co trapi Edmonda.

- Brianno?

- Tak? - Uśmiechnęła się. Poczwała się znacznie lepiej.

- Chciałbym, abyś wiedziała, że zawsze możesz się czuć w Meadowland jak w domu.

Wzruszył ją. Była tak długo sama. Świadomość, że bez względu na to, co przyniesie przyszłość, znajdzie tu dom, była bezcenna.

- Dziękuję, Stefanie. To dla mnie znaczy więcej, niż mógłbyś przypuszczać.

- Przynajmniej to mogę dla ciebie zrobić po tym, co cię spotkało.

Przycisnęła jego palce do ust.

- To już należy do przeszłości. Przytrzymał przegub jej dłoni, kciukiem delikatnie masował miejsce, w którym bił puls.

- Moja propozycja nie jest całkiem bezinteresowna.

Ujął silniej jej dłoń, wyczuwając, że Brianna ma ochotę mu ją wyrwać, wargami muskał końce jej palców.

- Wyrosłaś na niewiarygodnie piękną kobietę, Brianno. Twoja uroda zapiera dech w piersiach.

Nie była pewna, jak przyjąć to zadziwiające wyznanie.

- Stefan?

Odwrócił jej dłoń, złożył na niej przeciągły, gorący pocałunek, po czym ją puścił.

- Zdaję sobie sprawę, że zawsze widziałaś we mnie przyjaciela, ale ja jestem również mężczyzną. Takim, który potrafi docenić urok inteligentnej, ślicznej młodej panny. Zwłaszcza takiej, do której czułem wiele sympatii. Nie, nic nie mów - poprosił.

Wstał. Patrzył na nią z wyrazem twarzy, jakiego nigdy by się u niego nie spodziewała. Najwyraźniej był w pełni świadom fizycznej bliskości kobiety.

- Chciałbym tylko, abyś wiedziała, że czekam tu na ciebie, gdybyś mnie potrzebowała. Teraz muszę wracać do domu. Pójdiesz ze mną?

Pokręciła głową. Była oszołomiona. Ciągłe czuła dotyk warg Stefana na swoim przegubie. Nie było to palące, niebezpieczne odczucie, jakie wzbudzał Edmond, lecz podnoszące na duchu.

- Nie sądzę, żeby to było rozsądne - odparła.

- Dlaczego? - Uniósł brew, widząc, że jej twarz pokrywa się rumieńcem. - Boisz się, że Edmond będzie niezadowolony?

- Jest dzisiaj wyjątkowo zaczepny. Wolałabym uniknąć sceny.

- Co on ci takiego powiedział, Brianno? Milczała.

- Groził, że skrzywdzi ciebie albo mnie?

- Już mówiłam, to bez znaczenia. - Czuła się znużona.

- To ma wielkie znaczenie.

- Proszę, nie nalegaj. Nie chcę, żebyście się pokłócili z Edmondem z mojego powodu. Wracaj sam, przyjdę za chwilę.

Stefan miał ochotę oponować, ale widząc, że Brianna jest u kresu wytrzymałości, skinął głową na znak zgody.

- Dobrze. Brianno?

- Tak?

- Nie boję się Edmonda i nie zawaham się wyrzucić go z domu, jeśli przyjdzie mu do głowy coś głupiego. Jesteś nie tylko bezpieczna w Meadowland, jesteś bezpieczna ze mną.

Edmond prawie godzinę czekał na Stefana w jego zagrożonym gabinecie, zanim brat łaskawie się pojawił. Wzmogło to tylko rozdrażnienie Edmonda. Stefan zazwyczaj ślęczał wieczorami nad księgami majątku albo czasopismami rolniczymi i nie odstępował od tego rytuału nawet podczas nieczęstych wizyt brata. Tym razem trudno go było oderwać od grającej na fortepianie Brianny. Edmond musiał kilkakrotnie posyłać po niego lokaja, zanim brat wreszcie do niego dołączył. Wiedział, że Stefan nie jest odporny na wdzięki niewieście, ale nie przypuszczał, że dorosły mężczyzna może tak się dać oczarować spódnicze.

Słyszając kroki nadchodzącego Stefana, stanął obojętnie przy oknie, zapatrzonej w ciemność. Cały dzień zajmował się sprawami związanymi z odkrytym spiskiem przeciwko Aleksandrowi Pawłowiczowi. Napisał kilkanaście listów do swoich współpracowników w Rosji oraz zaszyfrowane pismo do przebywającego w Prusach cara. Sporządził także listę wszystkich znanych sobie przyjaciół Wiktora Kozakowa. Nie chciał zaniedbać żadnych środków ostrożności.

Miał dużo zajęć, ale nie potrafił się skupić na pracy. Co jakiś czas kusilo go, żeby wyjść z biblioteki i przejść się po pokojach, by sprawdzić, co robi Brianna. Opanował jednak pokusę. Gdyby uległ tej słabości, dowiódłby sam

sobie, że nie potrafi kontrolować swojego zachowania. A na to nie pozwalała mu duma.

Zamiast tego, cały dzień tchórzliwie krył się w bibliotece, a wieczorem z chmurną miną i udawaną obojętnością zasiadł do niekończącej się kolacji i tylko przyglądał się, z jaką przyjemnością rozmawiają ze sobą Stefan i Brianna. Wreszcie wycofał się do gabinetu, gdzie w ponurym nastroju czekał na brata.

- Chciałeś porozmawiać ze mną? - Stefan zamknął za sobą drzwi.

- Tak. Sądziłem, że powinieneś wiedzieć, że moje podejrzenia się potwierdziły. Te wypadki, które cię ostatnio prześladowały, nie były przypadkowe, lecz zaplanowane.

Stefan wydawał się bardziej rozczarowany niż zdziwiony.

- Jesteś pewien?

- Jak najbardziej.

- Niewiarygodne, więc Howard...

- Nasz podły kuzyn nie ma z tym nic wspólnego. Właściwie szkoda...

- To kto, do diabła, za tym stoi?

- Jestem zmuszony ci wyznać, że omal nie zostałeś zabity dlatego, że chciano wywabić mnie z Rosji - odparł Edmond. Zrelacjonował, co udało mu się odkryć w Londynie.

Stefan słuchał w milczeniu, kręcąc z niedowierzaniem głową.

- Taki niewiarygodnie skomplikowany plan tylko po to, żeby się ciebie pozbyć? Muszą się ciebie bać.

- Rosjanie to przesądny naród.

Znał swoje możliwości, ale był na tyle mądry, że rozumiał, iż nie jest niewyciężony.

- Dzięki szczęściu i własnym umiejętnościom zdołałem zdemaskować licznych zdrajców. Podejrzewam, że stałem się solą w oku wszystkich, którzy od lat spiskują przeciwko carowi. Nic dziwnego, że woleli się mnie pozbyć z kraju.

- Zamierzasz wracać do Rosji?

- Oczywiście. Choć Aleksander Pawłowicz przebywa za granicą, posłałem ostrzeżenie, aby postawić jego gwardię w stan gotowości. Poinformowałem również rezydującego w Petersburgu Herricka. Zamierzam pojechać do Londynu i obserwować Wiktora Kozakowa. Ten człowiek poświęcił ostatnich dziesięć lat na spiskowanie przeciwko władzy Romanowów i zapewne nie zostanie w Londynie, gdy nadejdzie czas zastawienia pułapki. Będzie chciał, żeby to jemu należała się cała chwała, gdyby spiskowcom się powiodło.

- Nie podoba mi się, że bierzesz na siebie takie ryzyko - zauważył z troską Stefan. - Car ma cały dwór, nie wspominając o tysiącach żołnierzy i tajnej służbie. Dlaczego nie zostaniesz tutaj? Tu jest twoje miejsce.

- To nie jest moje miejsce - zaproponował Edmond. - Taka jest prawda - kontynuował. - Nie zamierzałem prowadzić życia wiejskiego dziedzica. Nic mnie nie obchodzą zbiory, dzierżawcy czy krowy. W końcu zostanę zastrzelony albo przez jakiegoś męża rogacza, albo żółtodzioba, który przegrał w karty pieniądze tatusia.

Stefan milczał. Obaj dobrze wiedzieli, co trzyma Edmonda z dala od rodzinnego majątku.

- Zamiast tego uganasz się za mordercami po pustkowiach Rosji.

- Petersburg trudno nazwać pustkowiec. Rosjanie prawie się ucywilizowali.

- Podejrzewam, że nie ma sposobu, by cię zatrzymać. Kiedy wyjeżdżasz?

- Muszę wrócić do Londynu nad ranem. Ulży ci, jeśli się dowiesz, że nie zamierzam dłużej udawać księcia Huntleya.

- Czy mogę ci pomóc?

- Strzeż pilnie Brianny.

- Boisz się, że coś jej grozi?

- Boję się, że wam obojgu coś może grozić. Ci ludzie to fanatyczni wrogowie cara. Zdolni są do wszystkiego, jeśli ma to służyć obaleniu jego władzy.

- Będzie bezpieczna pod moją opieką, zapewniam cię.

O to Edmondowi chodziło. Strzeżeni przez licznych służących w Meadowland, Stefan i Brianna byli poza zasięgiem Wiktora Kozakowa. On tymczasem skoncentruje się na ujawnieniu spisku przeciwko carowi. Mimo wszystko nie poczuł ulgi, tylko wściekłość, że Stefan tak skwapliwie podejmuje się pilnować Brianny.

- Jestem przekonany, że zapewnisz jej najczulszą opiekę - powiedział z przekąsem.

- Czy przypadkiem nie po to ją tu przywiozłeś?

- Żebym to ja wiedział. - Skrzywił się.

- Wracaj do Londynu i swoich obowiązków - poradził bratu Stefan. - Zajmę się tutejszymi sprawami.

- Myślisz, że to dla mnie pociecha?

- Tak będzie najlepiej.

- Widziałem was dzisiaj rano, jak obejmowaliście się z Brianną.

- Dopiero teraz zauważyłem, jak bardzo mi jej brakowało. Byłem głupi, że wcześniej nie sprowadziłem jej do Meadowland.

- To był twój obowiązek, ale powinieneś pamiętać, że jesteś jej opiekunem.

- Owszem, jestem. Z tym wiąże się coś więcej niż tylko zapewnienie jej schronienia. Muszę także uwzględnić to, co jest dobre z punktu widzenia jej przyszłości. Taka piękna, niewinna młoda kobieta ściąga uwagę najgorszego autoramentu rozpustników, czego dowiódł Thomas Wade. Nie wspominając o wytrawnych uwodzicielach.

- A co, według ciebie, jest najlepsze z punktu widzenia jej przyszłości? - zapytał w napięciu Edmond.

Stefan śmiało spojrział mu w oczy. Nie bał się oskarżenia.

- Żywię nadzieję, że zechce pozostać w Meadowland.

- W charakterze podopiecznej?

- W charakterze mojej żony.

Brianna ma poślubić Stefana? I na zawsze pozostać w jego polu widzenia, ale poza zasięgiem? Niedostępna?

- Co ty bajdurzysz? - zapytał przez zaciśnięte zęby Edmond. - Nie widziałeś jej kilkanaście lat, a w ciągu paru godzin postanowiłeś wziąć ją za żonę?

- Jest młoda, zdrowa i zachwycająco piękna. Kocha Meadowland prawie tak jak ja. Nie sądzę, żebym znalazł więcej kobiet, które by mi tak bardzo odpowiadały. Nieustannie mi przypominasz, że moim obowiązkiem jest zapewnienie kontynuacji książęcej linii, aby ta powinność nie obarczyła ciebie.

- Do tej pory ignorowałeś moje uwagi.

- Jestem uparty, ale nie głupi. Wiem, że będę musiał się ożenić i spłodzić syna. Może kilku synów i tyleż córek.

Edmond był o krok od wybuchu.

- Miej sobie tyle dzieci, ile chcesz, ale pamiętaj, że ich matką nie będzie Brianna Quinn.

- To nie zależy od ciebie.

- Stefan, nie wracaj do tego tematu - wycedził Edmond.

- Dlaczego? Bo ją uwiodłeś?

- Ponieważ nie pozwolę, żeby mi ktoś ukradł moją własność. Nawet ty.

- Zamierzasz rościć do niej jakieś prawa?

- Już to zrobiłem.

- Nie, wzięłeś sobie, co ci się podobało, nie dając nic w zamian. Nawet obietnicy na przyszłość.

Edmond się przestraszył.

- Skarżyła ci się?

- Nie. W rzeczywistości boi się, żeby nas nie poróżnić. W przeciwieństwie do ciebie ma sumienie.

Stefan okręcił się na pięcie i ruszył do drzwi, jakby nie mógł dłużej ścierpieć towarzystwa brata.

- Stefan!

- Jedyne raz zachowaj się porządnie, Edmondzie - powiedział Stefan, zatrzymując się i odwracając. - Brianna nie jest kolejną znudzoną damą, która szuka odmiany. Jest młoda i łatwo ją zranić. Zasluguje na coś lepszego, niż jesteś skłonny jej zaofiarować.

Co Edmond miał do powiedzenia Briannie? Co miał jej do zaoferowania? Żeby na kilka tygodni, a może miesięcy, została jego kochanką? A po rozstaniu przyjęła garść biżuterii na otarcie łez? Stefan był gotowy zapewnić jej szacunek, bogactwo, pozycję towarzyską i rodzinę, którą będzie mogła się otoczyć.

Edmond chwycił z półki nad kominkiem pozłacany zegar z brązu i rzucił nim o ścianę, z ponurą miną patrząc, jak kosztowny przedmiot rozpryskuje się na drobne kawałki.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Apartament hotelowy był drogi i stosunkowo wygodny. Składał się z eleganckiego saloniku urządzonego solidnymi angielskimi meblami, wyścielanymi kolorową tkaniną o „tureckim” wzorze i wypolerowanymi na wysoki połysk oraz sypialni, w której umieszczono łoże z baldachimem i francuską komodę. Były też pokoje dla służby.

Edmondowi nie zależało na wygodach. Wybrał to lokum ze względu na sąsiedztwo z Piccadilly, a także dlatego, że tylne drzwi wychodziły na alejkę, którą mógł niepostrzeżenie opuszczać hotel i do niego wracać. Prawdę mówiąc, od przyjazdu do Londynu przed trzema dniami apartament hotelowy stał się niemal więzieniem.

Nie chciał ryzykować spotkania z Kozakowem, dlatego to służący śledzili zdrajcę, a on spędzał samotnie czas w hotelu, miotał się po pokojach i gorzko żałował, że zdobył się na rzadki odruch szlachetności i w środku nocy wyjechał z Meadowland, zostawiając Brianę w spokoju. Szlachetne odruchy nie leżały w jego charakterze, poświęcenie również. Jeśli czegoś pragnął, sięgał po to.

W salonie pokazał się Borys. Nalał sobie solidną porcję whisky z butelki stojącej na bocznym stoliku.

- I co?

- Miał pan rację, oczywiście. Kozakow właśnie zarezerwował kajutę na statku do Indii Zachodnich.

- Co jeszcze?

- Na ten sam dzień ma zamówioną kabinę na innym statku, płynącym na Morze Północne, na nazwisko Igora Spatrowa. - Borys uniósł szklanekę, jakby chciał wygłosić toast. - Dokładnie tak jak pan przewidywał.

Edmond wzruszył ramionami. Dość powszechny trik. Sam stosował go wielokrotnie.

- Kiedy ten statek wypływa?

- W czwartek.

Mon Dieu, na to przecież czekał. Dlaczego odczuwa żal? Wkrótce znajdzie się w Rosji, a kiedy minie zagrożenie dla cara, będzie kontynuował tryb życia, z którego był dotychczas bardzo zadowolony.

- Domyślam się, że dla nas też zarezerwowałaś miejsca?

- Oczywiście. Pan nazywa się Richard Parrish i jest importerem rosyjskich futer. Przyszło mi do głowy, że będzie pan wołał podróżować jako bogaty kupiec niż wśród niedomytej tłuszczy.

- Rozsądna decyzja.

Choć Edmond był zmuszony podróżować w przebraniu, wołał mieć przyzwoitą kabinę na długie tygodnie rejsu.

- Wiktor nie próbował kontaktować się ze swoimi wspólnikami w Rosji?

- Nie, o ile nic nie przegapiliśmy, co jest jednak możliwe.

Edmond wiedział, że Borys nie zaniedbuje niczego.

- Wierzę w ciebie.

- A co pana trapi? Pański brat jest bezpieczny, a my wkrótce znajdziemy się na powrót w Rosji, gdzie będziemy przyjmowani jak bohaterowie za udaremnienie spisku przeciwko carowi.

- Jeszcze go nie udaremniliśmy.

- Ale zrobimy to.

Edmond nie zamierzał przeczyć. Musiałby kwestionować kwalifikacje tych, którzy poświęcili swoje życie w obronie Aleksandra Pawłowicza.

- Tak, wiem - przyznał.

- To dlaczego...

Wypytywanie nie było Edmondowi na rękę, na szczęście rozległo się energiczne pukanie do drzwi. Obaj wymienili porozumiewawcze spojrzenia i Borys ustawił się obok wejścia tak, żeby w razie konieczności móc zaatakować wchodzącego. Edmond zajął pozycję dokładnie na wprost.

- Kto tam?

- Jimmy.
- Jaki Jimmy?
- Pracuję dla Chesterfielda.

Edmond otworzył drzwi, nie zważając na to, że mogłaby to być zręcznie zastawiona zasadzka. Po powrocie z Meadowland do Londynu przekierował uwagę Chesterfielda z Howarda Summerville'a na Thomasa Wade'a. W natłoku innych spraw nie zapomniał o jego zainteresowaniu Brianną.

Wszedł niepozorny chłopak, zlustrował wnętrze okiem wprawnego włamywacza, który z miejsca potrafi się zorientować, czy są jakieś wartościowe przedmioty do wyniesienia. Krzyknął z przestachu, gdy na jego ramię spadła ciężka dłoń Borysa.

- Ręce z kieszeni, łachudro - warknął Borys.
- Masz jakieś wiadomości? - zapytał Edmond, zbliżając się do chłopaka.
- Kazano mi przyjść tutaj, jeśli dżentelmen, którego śledziłem, opuści miasto.
- Uczynił to?
- Tak. Wczesnym rankiem.
- Dzisiaj? To dlaczego nie przyszedłeś od razu?
- Musiałem śledzić powóz, aby się upewnić, że to zrobił, a potem wrócić.

Pędziłem na złamanie karku.

- Dokąd pojechał?
- Na południe.

Surrey. Ten obleśny typ jechał do Brianny. Edmond sięgnął do kieszeni po drobne.

- Masz. - Rzucił chłopakowi monetę, ten zręcznie złapał ją w locie. -
Wracaj do Chesterfielda.

- Interesy z panem to przyjemność, gubernatorze - wymamrotał chłopak, zanim Borys wyprowadził go za drzwi.

Edmond ruszył po płaszcz i kapelusz. Thomas Wade miał nad nim godzinę lub dwie przewagi. Chyba tylko cudem uda mu się dogonić jego powóz, zanim ten dojedzie do Meadowland.

- Co robimy? - odezwał się Borys. Edmond nawet nie spojrzał w jego stronę.

- O co chodzi?

- Musimy być na statku.

- Wrócę do czwartku. - W tej chwili nic go nie obchodził ani Kozakow, ani jego niekończące się spiski. - Mam prośbę, Borysie.

- Tak?

- Kup dodatkowy bilet na ten przeklęty statek.

- Zamierza pan wziąć pannę Quinn do Rosji?

- Nie zamierzam jej tu zostawiać, do diabła! Ta kobieta ma przedziwny dar ściągnięcia na siebie nieszczęść.

- Co byłoby argumentem przeciwko wleczeniu jej w sam środek rewolucyjnego wrzenia.

- Gdy jest ze mną, mogę ją przynajmniej skutecznie chronić.

- Ale...

Edmond rzucił w stronę wiernego druha skórzaną sakiewkę, szarpnięciem otworzył drzwi.

- Kup ten cholerny bilet, Borysie, i nie spuszczaaj oka z Wiktora Kozakowa. Muszę naprawić niedawny błąd i nie zamierzam popełniać kolejnych.

Dzień był szary i ponury, chłodna bryza zwiastowała nadejście zimy. Trudno taką porę uznać za odpowiednią na wyprawę po zakupy do sąsiedniego miasteczka, ale Stefan nalegał, więc żeby go nie urazić, Brianna ustąpiła, choć niechętnie.

Nie było to znowu takie wielkie poświęcenie, musiała przyznać, kołysząc się w luksusowym powozie na wąskiej wiejskiej drodze. Miasteczko było urocze ze swoimi sklepikami i dobrze utrzymanymi domkami, ludzie przyjaźni, niektórzy pamiętali ją jeszcze z czasów dzieciństwa. Przyjemnie było oderwać się na kilka godzin od myślenia o Edmondzie.

To było denerwujące, musiała przyznać. Powinna być zadowolona, że jest wolna od jego aroganckiej obecności. Stefan nie traktował jej jak psa, który musi słuchać pana, nie wydawał rozkazów, odnosił się do niej z czułością i szacunkiem, w sposób, który musiałby się podobać każdej kobiecie. Była w końcu bezpieczna w miejscu, w którym czuła się jak w domu. Mogła snuć plany dotyczące przyszłej niezależności. Mimo to patrząc przez okno na rozmiękle pola i mijane co jakiś czas kępy drzew, miała przed oczami Edmonda dobrze bawiącego się w Londynie, być może spędzającego popołudnie w ramionach kochanki.

Z zadumy wyrwało ją uderzenie wachlarza lady Aberlane.

- Tutejsza krawcowa na pewno nie dorównuje talentem londyńskim mistrzyniom igły, ale jej suknie wcale nie zapowiadają się źle - odezwała się z udawaną swobodą starsza pani. - Dobrze, że Stefan namówił nas, żebyśmy ją odwiedziły.

Brianna, wiedząc, że lady Aberlane stara się sprowadzić jej myśli na weselszy temat, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Może i dobrze, ale było to zupełnie zbędne. Mam więcej strojów, niż mogłabym sobie wymarzyć.

- Ależ, moja droga, żadna kobieta nie ma za wiele strojów. Poza tym może Stefanowi zależało, żeby dać zarobić miejscowej krawcowej przy okazji twojego pobytu w Meadowland. Nie za często damy goszczą w tej okolicy.

- To prawda.

Stefan rzeczywiście dbał o dobro zależnych od niego ludzi.

- A może chciał ci zaimponować swoją hojnością. - W oczach starszej pani błysnęła przekora.

Brianna starała się nie dostrzegać zalotów Stefana, jakby miała nadzieję, że znikną, jeśli będzie udawała, iż ich nie zauważa. Było to tchórzostwo, ale nie chciała zranić wypróbowanego przyjaciela.

- Stefan nie musi mi imponować, Letty. Całe życie byliśmy przyjaciółmi.

- Moja droga, jestem stara, ale nie ślepa. Widzę, jak na ciebie patrzy, i nie jest to spojrzenie przyjaciela. To bardzo dobry człowiek, Brianno. Jeden z najlepszych, jakich znam. Jak gdyby fakt, że należy do najbogatszych ludzi w całej Anglii, to było za mało.

Związek ze Stefanem miał swoje zalety. Będąc księżną Huntley, Brianna byłaby bezpieczna i zamożna. Jednak do tego nie dojdzie, i to nie tylko z powodu pogmatwanych uczuć względem Edmonda. Za luksus i ochronę ze strony Stefana musiałaby zapłacić utratą niezależności. Nie chciała żyć w złotej klatce, poprzysięgła sobie, że nie pozwoli, by ktokolwiek kontrolował jej życie. Nie będzie niczyją własnością.

- Stefan jest wspaniałym człowiekiem - przyznała.

- Ale go nie kochasz?

- Oczywiście, że tak. Zawsze go kochałam, ale...

- Ale Edmonda kochasz bardziej.

- Nie wiem, co czuję do Edmonda. Chętnie wymierzyłabym policzek w tę jego pewną siebie twarz.

- Co ty mówisz!

W głosie lady Aberlane pobrzmiwała nutka współczucia. Brianna nie oczekiwała litości. I tak była bardziej uprzywilejowana niż większość kobiet.

- To bez znaczenia. Stefan obiecał, że mogę czuć się w Meadowland jak u siebie dopóty, dopóki będę tego sobie życzyła. Kiedy wejdę w posiadanie odziedziczonych pieniędzy, zamierzam kupić własny dom.

- Naprawdę? - Letty była zdziwiona.

- Tak.

- I powiedziałaś chłopcom o swoich planach?

Brianna się roześmiała. Tylko lady Aberlane mogła tak nazwać dwóch najbardziej wpływowych dżentelmenów w Anglii.

- Kiedy osiągnę pełnoletność, nie będą mieli nic do gadania. Będę mogła robić, co mi się podoba. Właśnie tego pragnę.

Nie wiadomo, co lady Aberlane miała do powiedzenia na temat śmiałych planów Brianny, bo powóz zatoczył się gwałtownie, aby uniknąć zderzenia z innym pojazdem, nadjeżdżającym z przeciwnego kierunku.

- O Boże! - wykrzyknęła Letty, z trudem utrzymując się na swoim miejscu. - Jakiś pijany wariat.

- O tej porze?

Brianna wyjrzała na zewnątrz. Zamarła. Rozpoznała złoto-niebieską liberię stajennych ojczyma.

- Rany boskie!

- Co tam zobaczyłaś?

- Powóz Thomasa Wade'a.

Powietrze przeszył dźwięk wystrzałów. Brianna rzuciła się na przeciwległe siedzenie i instynktownie otoczyła ramionami starszą panią. Spełniał się najkoszmarniejszy sen i była bezsilna, nic nie mogła zrobić, by go przerwać. Usłyszały więcej wystrzałów. Powóz przechylił się na bok i stoczył do rowu. Na szczęście nie przewrócił się, tylko raptownie się zatrzymał.

- Letty? Jest pani ranna?

- Nie. - Lady Aberlane poprawiła czepek na głowie.

W tejże chwili drzwi powozu otworzyły się i ukazał się w nich Thomas Wade. Briannie zrobiło się niedobrze na widok jego tłustej twarzy.

- No i co? Myślałaś, że mi uciekniesz? - Złapał ją za rękę.

Brianna opierała się, ale był od niej dwa razy większy, nie miała dość siły, żeby się uwolnić.

- Oszalałeś? Mogłeś nas zabić.

- Wolę, żebyś zginęła, niż mi się wymknęła.

Wywlekl ją z powozu. Zacisnął dłoń na jej gardle. Zdążyła zauważyć, że dwaj lokaje Stefana leżą na ziemi, krwawiąc, a woźnica jest otoczony przez pachołków Thomasa.

- Jesteś moja, nie zapominaj!

Dusiła się. Próbowwała oderwać jego palce od swojej szyi.

- Piękna jesteś. Schowam cię tak, że nikt cię nie odnajdzie.

Uścisk jego palców zelżał nieco.

- Ty łotrze - syknęła, zapominając o bólu. - Stefan dopilnuje, żebyś wisiał.

- Najpierw musi nas złapać. Mój jacht czeka.

Z powozu wynurzyła się lady Aberlane i zaczęła tłuc Thomasa Wade'a laseczką.

- Zabierz z niej swoje łapy, ty szatański pomiole.

- Dosyć tego! - Thomas zaczął ciągnąć Briannę do swojego powozu. -

Odjeżdżamy.

- Nie, proszę - błagała Brianna.

- Puść ją, Wade!

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Edmond czekał na brata w jego gabinecie. Wszedł Stefan.

- No i co?

- Dzięki Bogu, obaj będą żyli, chociaż upłynie jeszcze trochę czasu, zanim James wróci do swoich obowiązków.

Stefan mówił o dwóch lokajach poszkodowanych w czasie strzelaniny.

- Muszę sobie zapisać, żeby spotkać się z ich rodzinami. O ile pamiętam, James ma kilkoro dzieci.

Edmonda mało obchodził los rannego służącego. Jego interesowała wyłącznie kobieta, której o mało nie utracił na zawsze. Incydent był mocno kłopotliwy dla Brianny. Teraz należałoby skupić się na tym, żeby nie stała się obiektem nieprzyjemnych plotek, gdyby wyszło na jaw, że Thomas Wade usiłował ją uprowadzić.

- Co z doktorem?

- A co ma być?

- Przedstawiłeś mu naszą wersję wydarzeń?

- Jest przekonany, że mój powóz zjawił się na miejscu, gdy Thomasa Wade'a napadła banda opryszków, a nasi lokaje zostali postrzeleni, bo ruszyli na pomoc zaatakowanemu.

Edmond pokiwał głową. Pomysł może nie najlepszy, ale miał zaletę - prostotę. Co ważniejsze, trudno byłoby udowodnić, że było inaczej. Chyba że któryś z uczestników wydarzenia okaże się na tyle głupi, że rozpuści język.

- Jesteś przekonany, że twoi służący zachowają prawdę dla siebie?

- Oczywiście - obruszył się Stefan. - Jestem pewny lojalności mojej służby. Bardziej się martwię o tych drani, którzy pracowali dla Wade'a.

- Nie będą kwestionowali tego, co im kazałem mówić - zapewnił brata Edmond.

Przypomniał sobie, jak na kolanach błagali o litoc. Nie wtupił, e do tej pory byli juz w poowie drogi do Francji.

- Rozumiej, e nie zawaham sie ich zabic.

- Jestem tego pewien. Nie moge sobie darowac, e dopuciem do wystawienia Brianny na takie niebezpieczestwo.

Edmond nie dał po sobie poznac, e drani go ta spozniona troska. Miał pretensje przede wszystkim do siebie, e zostawił Brianne pod opiek Stefana. Tego błdu nie zamierzał powtrzyc.

- Przeciez nie moges przewidywac, e Thomas Wade w biay dzien zdobedzie sie na uprowadzenie Brianny.

- Ty to przewidziaes.

- Mao brakowao, a byoby za pono. Głupiec ze mnie, e spuciem j z oczu.

- Co sugerujesz?

- Zabieram j do Londynu.

- Chyba artujesz?

- Potrzebuje mojej ochrony.

- W Londynie nie bedzie bezpieczniejsza. Twoi wrogowie stanowi wiksze zagroenie niz Thomas Wade. Czybys zapomniał, e pod twoj opiek zostaa postrzelona?

- Uwaaj, Stefanie - powiedział niebezpiecznie cichym głosem Edmond.

Kochał brata bardziej niz kogokolwiek na wiecie, ale Brianna pojedzie z nim nawet pod przymusem, jeli okae sie to konieczne.

- Zreszt nie zabawimy w Londynie długo. Wiktor Kozakow wyrusza w czwartek do Rosji, ja popyne tym samym statkiem, co on.

- Przeciez nie zabierzesz Brianny do Rosji!

Edmond odwrocił sie do okna, nie chciał napotkac oskarzycielskiego wzroku Stefana. Rozumiał, jakie ryzyko podejmował. Nie tylko dla Brianny, ale take dla wyniku ledztwa w sprawie spisku przeciwko carowi. Z tego powodu

właśnie zostawił ją wcześniej w Meadowland. Jednak nie zamierzał dłużej słuchać głosu rozsądku. Ostatnie trzy dni dowiodły, że nieobecność Brianny wywoływała w nim większy zamęt niż jej obecność.

- Będziemy podróżować w przebraniu. Nikt się nie dowie, kim ona jest.

- A co po przyjeździe do Petersburga?

- O co ci chodzi?

- Zakładając, że dojdziecie na miejsce nierozpoznani, czy sam nie opowiadałeś, że rosyjski dwór to kłębowski żmij, gotowych pożreć słabych i głupich? Wciągniesz Briannę w takie towarzystwo?

- Nie przedstawię Brianny na dworze.

- Nie? Będziesz trzymał ją pod kluczem? Ukrytą nawet przed carem?

Edmond wpatrywał się w spowity w ciemnościach ogród.

- Zdecyduję na miejscu.

- Na litość boską, opamiętaj się. Całe lata pracowałeś na zaufanie Aleksandra Pawłowicza. Naprawdę zamierzasz ryzykować z powodu obsesji na punkcie kobiety?

- Podjąłem decyzję.

- W najwyższym stopniu nieodpowiedzialną. Nie możesz ciągnąć ze sobą niewinnej młodej kobiety, jakby była sztuką bagażu. W najlepszym przypadku jej reputacja legnie w gruzach, w najgorszym znajdzie się w samym środku antyrządowej rebelii.

Stefan zbliżył się do brata, uchwycił go mocno za ramiona.

- To nie w twoim stylu, Edmondzie.

- Może i nie, ale nie ustąpię.

Zapanowało milczenie. Stefan opuścił ręce i się cofnął.

- Co na to Brianna?

- Jak to co?

- A jeśli nie życzy sobie jechać do Rosji? Ledwo zdążyła rozgościć się w Meadowland.

- Pojedzie.

- Bo ją zmusisz?

Edmond obrócił się na pięcie i skierował się do drzwi.

- Bo należy do mnie - rzucił przez ramię.

Tuż przed zachodem słońca Brianna ponownie podróżowała jednym z eleganckich powozów Stefana. Tym razem przeciwległe siedzenie zajmował Edmond. Pędzili co koń wyskoczy pokrytą kurzem drogą do Londynu.

W głębi duszy wiedziała, że nie powinna się godzić na arbitralne traktowanie ze strony Edmonda. Wdarł się do jej sypialni, rozkazywał i stał nad nią, gdy pakowała bagaże, jakby była bezwolnym dzieckiem. Jeśli teraz nie odzywała się do niego, to nie dlatego, że chciała mu zademonstrować niezadowolone. Była przekonana, że Edmond po nią wróci, a kiedy to nastąpi, ona z własnej woli podąży za nim, gdziekolwiek on zechce ją zaprowadzić.

Ostatnie trzy dni przekonały ją, że nie znajdzie spokoju dopóty, dopóki ich namiętność nie wypali się na popiół. Życie z Edmondem to pasmo szaleństw, które muszą przeminąć. Po co walczyć z tym, co nieuchronne?

Siedząc niedbale naprzeciw niej, ze skrzyżowanymi na piersi ramionami i wyciągniętymi nogami, obserwował ją w zadumie. Mimo przeraźliwego chłodu zrzucił wierzchnie okrycie i kapelusz.

- Zamierzasz się tak dąsać całą drogę, *ma souris*? - przerwał milczenie.

Zignorowała zaczepkę, zamiast tego zapytała o coś, o czym myślała przez cały czas, odkąd Edmond wyłonił się z mgły akurat w tym momencie, gdy go bardzo potrzebowała.

- Skąd wiedziałeś, że Thomas Wade planuje mnie uprowadzić?

- Nie wiedziałem, ale kazałem go śledzić. Gdy wyjechał z Londynu, podążyłem za nim. Niestety, nie zdążyłem go dogonić, zanim zaatakował wasz powóz.

Kiwnęła głową. Powinna się domyślić, że Edmond będzie śledził Thomasa Wade'a. Nie był jak inni ludzie z jego sfery, cechowała go przebiegłość właściwa tym, którzy musieli żyć dzięki swojej pomysłowości.

- Naprawdę myślisz, że wszyscy uwierzą, że Thomasa zabili rozbójnicy na drodze?

- Kto poda w wątpliwość słowa księcia Huntleya?

Choć tak od siebie różni, obaj bracia wyrastali w przekonaniu, że wszystko im wolno w ich dobrach w Surrey. Nie przychodziło im do głowy, że ktoś mógłby nie okazywać im pełnego posłuszeństwa.

- Nie musisz się martwić Thomasem Wade'em, Brianno.

- Jestem zadowolona, że nie żyje.

- Nie tylko ty. Z tego co wiem, oszukiwał w interesach, grał hazardowo w karty, zdradzał żonę, bił kochanki. Generalnie - nikczemny typ. Nikt po nim nie zapłacze.

- Ja na pewno nie. Żałuję tylko...

- Żałujesz?

- Żałuję, że to nie ja go zabiłam.

- Taka jesteś krwiożercza, *ma souris*?

- Nie, ale ciąży mi myśl, że byłam uzależniona od twojej pomocy.

- To brzmi melodramatycznie - uznał z przekąsem. - Ja w roli księcia z bajki, ty w roli uciemiężonej królowej.

Poczula się urażoną jawną kpina.

- Nie żartuj. Powinam sama zadbać o siebie. Rozbawienie Edmonda znikło.

- Co cię trapi, Brianno? Fakt, że potrzebowałaś pomocy, czy to, że ja ci jej udzieliłem?

- Chodzi mi o moją samodzielność. Czy to tak trudno zrozumieć?

- Jak na damę, która chce być samodzielną, za bardzo narzekałaś, kiedy nie zgodziłem się zabrać z nami Janet.

- Janet jest nie tylko moją pokojówką, ale najlepszą przyjaciółką. Było mi z nią dobrze.

- Przyjaciółką?

- Tak.

- A ja? Kim jestem? Przyjacielem czy wrogiem?

- Chcesz usłyszeć odpowiedź?

Starła się nie ugiąć pod jego natarczywym spojrzeniem. Nawet gdy pochylił się do przodu i uchwycił ją pod brodę.

- Dlaczego ze mną wyjechałaś?

- Kazałeś mi, pamiętasz?

- Oboje wiemy, że nie mógłbym cię zmusić. Gdybyś naprawdę protestowała, wkroczyłby Stefan i zatrzymał cię w Meadowland.

Brianna uczepiła się tych nieopatrznych słów. Pakując się przed wyjazdem, często myślała o Stefanie. Fascynacja Edmondem nie przesłaniała jej prawdy: Stefan jest dżentelmenem, od którego doznała wyłącznie dobroci.

- Właśnie dlatego nie protestowałam - powiedziała.

- Do diabła, co sugerujesz?

- Stefan jest jedyną osobą na świecie, której nigdy bym z rozmysłem nie zraniła.

Mocniej ścisnął jej brodę.

- Uważasz, że twój wyjazd go nie zranił?

- Bardziej bym go zraniła, gdybym została. Ja... ja nie mogę mu dać tego, czego on ode mnie oczekuje, i byłoby nie fair pozwolić mu mieć nadzieję, że zmienię zdanie.

Widać było, że słowa te sprawiły Edmondowi satysfakcję.

- Nie zamierzasz zostać księżną Huntley?

- Nie - odparła z żalem. Wiadomo przecież, że jej życie byłoby o wiele łatwiejsze u boku Stefana. - Któregoś dnia Stefan spotka kobietę, przy której zrozumie, że to, co do mnie czuje, to tylko przyjaźń i poczucie winy, iż

pozostawił mnie w rękach Thomasa Wade'a. Nie potrafiłabym dać mu prawdziwego szczęścia.

- Oczywiście, że nie potrafiłabyś. - Edmond pogładził Briannę po policzku. - Nie jesteś stworzona do bukolicznej sielanki. Masz awanturniczą duszę.

- Na pewno nie!

Edmond usiadł obok Brianny i objął jej kibić.

- Nie?

Prowokacyjnie musnął wargami bliznę od kuli na jej skroni.

- Czy inna kobieta odważyłaby się przyjść na bal maskowy kurtyzan i szantażować dżentelmena, którego obawiał się cały Londyn?

- To nie był akt odwagi, tylko desperacji.

Dotknął ustami miejsca za jej uchem, gdzie bił puls.

- Dlaczego nie przyznasz się, że szukasz podniety?

Wciągnęła z sykiem powietrze, przeszył ją bowiem paroksyzm rozkoszy. Tak łatwo byłoby się poddać namiętności, którą w niej budził. Zbyt łatwo.

- Co ty mówisz! Matka zrujnowała mi życie swoim poszukiwaniem podniety. Naprawdę uważasz, że chciałabym podążyć jej śladem?

Zsunął powoli dłonie aż do jej pośladków, językiem okrążył małżowinę ucha.

- Twoja matka była prózną, bezwolną kobietą, ulegającą słabościom, nie zastanawiała się nad tym, że może kogoś skrzywdzić. Nigdy nie będziesz taka jak ona. Jesteś odważna - musnął ustami jej policzek - inteligentna - ucałował kącik jej ust - silna...

- Edmondzie!

Przesuwał językiem po jej wargach, chciał, żeby je rozwarła.

- Uhm?

Odepchnęła się od jego piersi.

- Mówiłeś, że wyjeżdżasz do Rosji - podjęła pierwszy lepszy temat, jaki przyszedł jej na myśl, żeby odwrócić jego uwagę od tego, do czego dążył. - Dlaczego?

- Czy to ważne?

- Oczywiście.

Właściwie po raz pierwszy odkąd rzucił informację o tym, że chce zabrać ją do Rosji, Brianna zastanowiła się nad konsekwencjami wyjazdu z Meadowland. Zadała sobie pytanie, jak jej obecność u boku Edmonda zostanie przyjęta w kręgach towarzyskich.

- Nie będę paradować po carskim dworze w charakterze twojej kochanki.

- Dlaczego nie? - Mówił serio. - Jeśli nie zależy ci na małżeństwie i twoim ideałem jest samodzielne życie, to jakie ma dla ciebie znaczenie fakt, że świat się dowie, iż przywiozłem cię, bo jesteś moją kochanką?

Wyobraziła sobie szept i wytykanie palcami, które będą nieuniknione w jej sytuacji. Co gorsza, pójdzie za nią fama, że jest kobietą odrzuconą przez księcia Huntleya, która w końcu wylądowała w łóżku jego brata. Stanie się sławna niczym lady Caroline Lamb*.

Nie! Nie zniesie tego.

* Lady Caroline Lamb - arystokratka, powieściopisarka, znana z nawiązanego w 1812 roku romansu z wybitnym poetą lordem George'em Byronem; żona premiera lorda Melbourne'a (przyp. tłum.).

- Samodzielność nie jest równoznaczna z brakiem moralności. Zależy mi na choćby minimum szacunku.

Wnętrze powozu wypełnił śmiech Edmonda. Zesztywniała. Pofolgowanie żądy nie jest warte poświęcenia resztek godności. Wróci do Meadowland, zanim stanie się obiektem plotek i drwin.

- Edmondzie, mówię poważnie. Dość już najadłam się wstydu z powodu ojczyzna, nie mogłabym...

- Nikt się nie dowie, że jesteś ze mną. Może tylko Aleksander Pawłowicz, kiedy wróci do Petersburga. On staje się coraz bardziej podejrzliwy, nie lubi, gdy ktoś ma przed nim sekrety, choćby najniewinniejsze. Nie mogę ryzykować w tak niebezpiecznych czasach.

Zignorowała denerwującą perspektywę bycia przedstawioną Jego Carskiej Mości, jak również wzmiankę o niebezpiecznych czasach. Zamiast tego zainteresowała się, jak w praktyce Edmond zamierza sprawić, że jej obecność nie będzie rzucała się w oczy.

- Jak mnie ukryjesz?

- W bardzo prosty sposób. Będziemy podróżować w przebraniu.

- W przebraniu?

- Ja będę bogatym kupcem, a ty moją kochającą żoną.

- Ty? Bogatym kupcem? - Brianna się roześmiała.

Edmond był arystokratą w każdym calu, od odzianych w eleganckie buty stóp do pokrytej lśniąącymi włosami głowy. Nawet w łachmanach jego pochodzenie nie budziłoby wątpliwości.

- To absurd. Nie możesz podróżować w przebraniu... - Urwała, bo nagle przyszła jej do głowy pewna myśl. Przecież ta maskarada wcale nie miała na celu ochrony jej honoru. Musi być jakaś inna przyczyna. - Co ty knujesz? Nie próbuj mnie przekonywać, że to z mojego powodu. Ukrywasz coś.

Rozchylił pelerynę Brianny i zaczął wodzić palcem wzdłuż wycięcia jej sukni podróżnej.

- Odkryję ci wszystkie swoje sekrety, jeśli zrobisz to samo.

Wsunął dłoń zza obszyty brukselską koronką stanik. Czekwała, żeby dotknął jej piersi. Ten mężczyzna chyba rzucił na nią czar. Jak inaczej wytłumaczyć to, że najbardziej niewinna pieszczota rozbudzała w niej namiętność?

- Nie odwrócisz mojej uwagi. - Usunęła jego dłoń z za dekoltu. - Powiesz mi, dlaczego jedziemy do Rosji?

Westchnął z rezygnacją.

- Jesteś upartą kobietą, Brianno Quinn.

- Mów.

Odsunął się. Zdecydował, że musi ujawnić Briannie, acz niechętnie, chociaż część prawdy. Opowiedział o odkryciach, jakich dokonał w ostatnich dniach, i o zamiarze śledzenia Wiktora Kozakowa w drodze do Rosji. Słuchała, nie przerywając pytaniami. W panującym w powozie półmroku Edmond widział jej zmarszczone brwi. Nie mógł przecież liczyć na to, że Brianna bezwarunkowo i bez słowa krytyki zaakceptuje cały plan.

- Rozumiem, że musisz ostrzec cara przed grożącym niebezpieczeństwem - zaczęła powoli, jak gdyby wciąż jeszcze porządkowała w głowie to, co usłyszała. - Obowiązkiem każdego obywatela jest obrona monarchii, ale dlaczego uważasz, że powinieneś nadstawić karku, śledząc Wiktora? Są chyba instytucje lepiej do tego przygotowane?

- Polityka to zdradziecka działalność praktykowana za zamkniętymi drzwiami, *ma souris*. Publiczności pokazuje się tylko dobrze wyreżyserowane widowisko, przygotowane przez tych, którzy wolą pozostać w cieniu. Prawdę mówiąc, rosyjski dwór przypomina niekiedy przedszkole pełne próżnych, znudzonych i rozkapryszonych dzieci.

- A ty należysz do tych, którzy pozostają w cieniu?

- Uzyskałem dostęp do kręgu najbardziej zaufanych ludzi Aleksandra Pawłowicza, ponieważ mam licznych współpracowników informujących mnie o tych, którzy pragnęliby obalić rosyjski rząd. - Sam się sobie dziwił, że ujawnia jej to wszystko. Z nikim nie rozmawiał o swojej pracy dla cara. Nawet ze Stefanem.

- To jest aż tylu zdrajców?

- W każdym kraju są.

Był na tyle uczciwy, że piętnował liczne nadużycia w Rosji, ale nie umniejszało to jego miłości do ojczyzny matki. Również jego determinacji udaremnienia wysiłków tych, którzy chcieliby ją zniszczyć.

- Rosja jest w okresie przejściowym. Jedni pragną zachować stare tradycje, inni chcieliby na siłę upodobnić ją do europejskich sąsiadów. Kraj, w którym panuje ferment, otwiera pole do popisu dla zdrajców.

- Nie wygląda mi to na miejsce nadające się do założenia domu. Dlaczego nie zostaniesz w Anglii?

Musnął palcem jej blady policzek. Jaka ona piękna! W zapadającym zmierzchu jej włosy lśniły, pojedyncze loczki okalały delikatną twarz o nie-skazitelnej cerze.

- Podobnie jak ty kocham przygodę. Nie nadaję się do spokojnego życia, które tak ceni mój brat, ani do próżniaczej egzystencji w Londynie - odparł Edmond, dotykając kącika ust Brianny. - Poza tym jestem półkrwi Rosjaninem. Moja matka byłaby zadowolona, że jej syn troszczy się o dobro jej ojczyzny.

Rysy Brianny złagodniały.

- To dlatego wystawiasz się na ryzyko. Dla matki.

Edmond zrozumiał poniewczasie, że wyjawiał więcej, niż zamierzał. Powinien włączyć tę kobietę do swojej siatki szpiegowskiej. Potrafi wyciągnąć z człowieka sekret.

- Nie przypisuj mi, żadnych szlachetnych motywacji, bo się rozczarujesz - zakpił i natychmiast tego pożałował, bo Brianna spochmurniała i się od niego odsunęła.

- Udamy się śladem tego zdrajcy do Rosji, a co potem? - zapytała lodowatym tonem.

Miał chęć posadzić ją sobie na kolanach i pocieszyć jej urażoną wrażliwość w jedyny sposób, w jaki potrafił. Teraz jednak nagrodą, jaka mogłaby go za to spotkać, byłoby uderzenie w twarz.

- Zaprowadzi nas do swoich wspólników - odpowiedział. Wolałby nie rozmawiać o Kozakowie i spiskach ani też o podróży do Rosji. - Kiedy ich zidentyfikuję, wydam Aleksandrowi Pawłowiczowi, żeby postawił ich przed obliczem sprawiedliwości.

- Nie wydaje mi się to takie proste, jak to przedstawiasz - powiedziała cierpko.

- Nie masz się czego bać, *ma souris*. Będziesz bezpieczna.

- Ja się nie boję, ale mam wątpliwości.

- W związku z czym?

- Dlaczego tak ci zależy na tym, żebym z tobą pojechała? Nie mam doświadczenia w polowaniu na zdrajców.

Uniósł brwi ze zdziwienia. Czyżby była taka naiwna?

- Nie mogę uganiać się za zdrajcami bez przerwy.

- Mam cię zabawiać w wolnym czasie? Urocza perspektywa.

Edmond spoważniał. Wyczuł nutkę goryczy w jej głosie.

- Sugerujesz, że pragniesz być czymś więcej niż moją kochanką? - Złapał ją za brodę, żeby zmusić do popatrzenia mu prosto w oczy. - Brianno?

- Oczywiście, że nie.

- To czego ode mnie oczekujesz?

- Niczego.

- Kłamiesz. - Jego twarz była tak blisko, że jej nierówny oddech owiewał mu twarz. - Obiecałem ci, że nie będziesz bohaterką skandalu towarzyskiego. Co cię jeszcze trapi?

- Ja... - Zwilżyła językiem wargi, przyprawiając go o dreszcz podniecenia.

- Jestem zdziwiona, że nie masz w Petersburgu kochanki, która za tobą tęskni.

- Myślisz, że spędzałbym czas z inną kobietą, gdy ty czekasz na mnie w łóżku? - Był naprawdę zdziwiony.

- Nie byłby to pierwszy taki przypadek.

- Co to ma znaczyć, do diabła? - Próbowwała odwrócić głowę, ale jej to uniemożliwił. - Nie wrywaj się, *ma souris*, odpowiadaj.

- Dobrze wiem, że w Londynie odwiedziłaś La Russe.

- *Mon Dieu!* - wykrzyknął zaskoczony. - Co ty opowiadasz...

Jakim cudem odkryła, że złożył wizytę słynnej śpiewaczce?

Najważniejsze jednak, że była wyraźnie zazdrosna o to, że odwiedził inną kobietę. Przepelniła go satysfakcja.

- Brianno, nie jestem święty, ale nie utrzymuję licznych kochanek. Nie tylko dlatego, że są kosztowne, ale mam sporo obowiązków poza sypialnią.

- Mów, co chcesz. Widziałam twój powóz stojący przed jej domem.

Roześmiał się z pobłażaniem.

- Zaczynam rozumieć. Jesteś zazdrosna. Wyczuwał pod palcami jej rozpaloną skórę...

- Nie jestem zazdrosna.

- Nie bój się, Brianno. Byłem u La Russy, aby zebrać informacje.

Nie dawała się ugłaskać, ale nie odsunęła się od niego. Przeciwnie, przytuliła się.

- Wiem, czym zajmuje się La Russa.

- Brianno, poszedłem do La Russy, bo miałem u niej umówione spotkanie z detektywem, który śledził mojego kuzyna. - Mówiąc to, objął Briannę w tali i posadził sobie na kolanach. - Nie szukam zaspokożenia u kurtyzan. A już na pewno nie wtedy, gdy mam u boku namiętą, porażająco piękną i gotową mnie uszczęśliwić kobietę.

Upajał się zapachem Brianny, przeszył go gwałtowny dreszcz. Jak mógł być tak głupi i uwierzyć, że powinna zostać w Meadowland? Tu było jej miejsce, i tak pozostanie na zawsze.

- Pozwól, że ci to udowodnię.

Zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Edmondzie...

- Później. - Zawładnął jej ustami w namiętym pocałunku. - Mamy czas do końca świata.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Do Petersburga dopłynęli z Londynu solidnym statkiem, zajmując kabinę na górnym pokładzie, na którym nie brakowało miejsca dla spragnionych spaceru na świeżym powietrzu. Przerażliwe zimno panujące przez większość czasu trzymało jednak pasażerów w kajutach. W trakcie nielicznych dni, kiedy Morze Północne się nie burzyło, padał lodowaty deszcz. Po wyczerpującej podróży morskiej nastąpiła niekończąca się jazda lądem w ciasnym powozie, wśród oślepiającej śnieżnej zimy.

Brianna, która przedtem nie odbyła dłuższej podróży niż między Londynem a Surrey, nie bacząc na ostrzeżenia Edmonda, żeby nie wychodzić z powozu bez grubej woalki osłaniającej twarz, rozglądała się z zaciekawieniem po nieznanym świecie.

Budziła się rano radosna, śmiałym krokiem stąpała po ziemi i wmawiała sobie, że przyczyną jej dobrego nastroju jest oczekiwanie na coś nieznanego, lecz przyjemnego, co ją zapewne spotka w tym obcym kraju. Gdyby nie to, musiałaby przyznać, że to bliskość Edmonda wprawiała ją w wyśmienity nastrój.

Poznawała jego charakter, bystry rozum i zaskakujące, zmienne nastroje. Nie zamierzała przeczyć, że w ciągu długich wspólnych nocy chętnie garnęła się do jego pieszczot. Nie przyznałaby się jednak, że pozwoliła, aby Edmond torował sobie powoli drogę do najgłębszych zakamarków jej serca.

Na szczęście wszelkie ewentualne rozterki znikły, gdy dotarli do stolicy.

Miasto zostało zbudowane ponad sto lat wcześniej nad rzeką Newą, która wpadała do Zatoki Fińskiej. Powiadają, że niezliczone kanały, przecinające mokradła u ujścia rzeki, natchnęły cara Piotra Wielkiego myślą o wzniesieniu

grodu na wzór Wenecji i aby dokończyć dzieła, kazał każdego roku posyłać na plac budowy czterdzieści tysięcy chłopów, zupełnie nie licząc się z mizериą swojego ludu.

Powóz toczył się główną ulicą, Newskim Prospektem, i Brianna musiała przyznać, że miasto stanowiło prawdziwą perłę sztuki architektonicznej. Liczne złote iglice i kopuły błyszczwały na tle czystego błękitnego nieba i kontrastowały z brązowymi statuami i pomnikami Piotra Wielkiego.

Rzuciła tylko przelotnie okiem na białą i niebieską jak morska woda fasadę Pałacu Zimowego, z jego niezliczonymi kolumnami i pilastrami i złotą kopułą kaplicy pałacowej. Powóz przemknął obok Katedry Kazańskiej z charakterystycznymi „cebunami” na dachu i skręcił w wąską uliczkę, wzdłuż której ulokowały się sklepiki. Wreszcie zwolnił na bulwarze, blisko barokowego pałacu Szeremietiewów, po czym skręcił w lewo i półkolistą ulicą znowu wrócił w pobliże Newy.

Brianna nie mogła powstrzymać zdziwienia na widok okazałego domu, do którego mimo wczesnej godziny, zdecydowanie za wczesnej na wizyty, wchodzili elegancko ubrani goście.

- Kto tu mieszka? - zapytała.

- Moja przyjaciółka - odparł Edmond, wciągając głęboko na oczy kapelusz.

Wyczuła, że Edmond żywi sympatię do tej kobiety.

- Jest piękna?

- Nadzwyczajna. - Uśmiechnął się na widok miny Brianny. - Dodam, że mogłaby być moją matką.

- Myślałam, że twoje przybycie do Petersburga miało pozostać tajemnicą. To miejsce nie wygląda na odludne.

- Masz rację. Wania Pietrowa jest znana z wystawnego stylu życia.

Rzadko kiedy w jej domu nie ma gości, a to oznacza, że dwie dodatkowe osoby

nie zostaną zauważone. Tłumy przewijające się przez jej salon literacki nie mają jednak wstępu do apartamentów prywatnych.

- Wania jest jedną z twoich współpracownic, prawda?

Edmond zastanowił się, ile powinien odsłonić.

- Prawdę mówiąc, właściwsze byłoby stwierdzenie, że to ja jestem jednym z jej współpracowników. Wania jest jedną z najgorętszych zwolenniczek Aleksandra Pawłowicza. Kiedy przybyłem do Petersburga, zwróciła się do mnie o pomoc w utrzymaniu na dystans wrogów cara.

Brianna poczuła, że jej irytacja znika, zamiast tego zaczyna odczuwać podziw. Jak to jest, gdy się wie, że przyszłość całego kraju zależy od ciebie? Że każdego dnia wpływasz na los tysięcy ludzi? Ona sama koncentrowała się dotychczas na sobie, tymczasem Edmond poświęcił się innym. Kto by się tego spodziewał?

- Dlaczego zwróciła się do Anglika, żeby chronił cara Rosji?

- Od młodości była bliską przyjaciółką mojej matki, zaś Aleksander Pawłowicz zawsze wołał otaczać się cudzoziemcami. Dzięki temu łatwiej mi przyszło znaleźć się w kręgu najbliższych doradców cara.

- Wiesz, współczuję temu człowiekowi. Jak może egzystować ze świadomością, że ma dokoła zdrajców czekających na okazję, żeby zająć jego miejsce albo nawet go zabić?

- To wielki ciężar. Czasami boję się...

- Czego?

- Niczego.

Brianna zrozumiała, że Edmond nie powie nic więcej. Spojrzała w stronę eleganckiego domu i nagle opuściła ją odwaga.

- Co się stało z Borysem? - Odczuwała brak jego milczącej obecności.

- Śledzi Wiktora Kozakowa. Nawiasem mówiąc, sprzykrzyły mi się jego nieustanne narzekania, że został pozbawiony towarzystwa Janet.

- Mówiłam, żebyśmy ją zabrali.

- I miałbym wyrzec się przyjemności pomagania ci w zdejmowaniu sukni?

Zasłonił jej twarz woalką kapelusza i otworzył drzwiczki powozu.

- Chodź, bo Wania zacznie się martwić.

Ledwo weszli do wyłożonego marmurem holu, lokaj w liberii zaprowadził ich bocznymi schodami na najwyższe piętro rozległego domu. Ku zaskoczeniu obojga i wbrew protestom Edmonda, Brianna znalazła się w osobnym apartamencie, po którym rozejrzała się z przyjemnością.

Salonik był urządony w stylu europejskim. Rosyjskie zamięłowanie do przepychu znajdowało odbicie w licznych złoceniach i zdobionych drogimi kamieniami bibelotach. Nawet w sypialni na półce nad kominkiem znajdowały się emaliowane tabakierki i połączane zegary z brązu. Każdy z tych przedmiotów był wart fortunę.

Brianna zdjęła płaszcz i kapelusz i rozgrzewała zmarznięte dłonie przy kaflowym piecu, gdy do pokoju weszła wysoka, o zaokrąglonych kształtach, siwowłosa kobieta ubrana w zieloną suknię w srebrne pasy.

Brianna dygnęła, domyślając się, że to pani domu.

- Milady.

Kobieta wyciągnęła do Brianny rękę i poprowadziła ją ku jednej z kanap.

- Proszę zwracać się do mnie po imieniu, Wania - odezwała się doskonałą angielszczyzną, badając Briannę jasnoniebieskimi oczami. - Mam nadzieję, że podobają ci się twoje pokoje.

- Są zadziwiająco pięknie urządzone - powiedziała szczerze Brianna.

Wania była zadowolona.

- Masz wyborny gust. Edmond jest oczywiście na mnie wściekły. Nalegał, żebym umieściła was we wspólnej sypialni, ale poinformowałam go, że kobieta potrzebuje od czasu do czasu trochę prywatności.

Brianna okryła się rumieńcem.

- Chyba dziwisz się, dlaczego... podróżuję sama z...

- *Sacre bleu**, a co w tym dziwnego? - przerwała Wania z czarującym uśmiechem. - Edmond jest bardzo przystojnym mężczyzną. Gdybym była dziesięć lat młodsza, powalczyłabym z tobą o jego względy. Oczywiście moje łoże nie jest puste i chociaż młody kochanek miałby pewne zalety, doceniam starszych dżentelmenów, którzy są mniej skłonni do roszczenia sobie prawa do posiadania kobiety na wyłączność. Różnorodność nadaje życiu pikanterii. Zgorszyłam cię?

* *Sacre bleu* (franc.) - do licha (przyp. tłum.).

Rumieniec na twarzy Brianny pociemniał. Roześmiała się nerwowo. Sam fakt, że Wania mogła mieć wielu kochanków, nie był szokujący. Podobno londyńskie damy nie stroniły od liczного męskiego towarzystwa po wydaniu na świat spadkobiercy rodu. Brianna nie byłaby zaskoczona, gdyby się okazało, że jej własna matka miała romanse. Jednakże żadna angielska kobieta, choćby wiodąca zupełnie niemoralny tryb życia, nigdy nie przyznałaby się otwarcie do swoich grzeszków.

- Nie - wykrztusiła. - Ależ skąd.

- Przekonasz się, *ma petite**, że chociaż uważają mnie za ekscentryczkę, nie jestem hipokrytką. Żyję tak, jak mi się podoba, i nie oceniam innych.

* *Ma petite* (franc.) - moja mała (przyp. tłum.).

Zakłopotanie Brianny zniknęło. Ta kobieta miała tyle naturalnej swobody i uroku, że niepodobieństwem było czuć przy niej skrępowanie. Wania Pietrowa była wolna, żadna przygód i miała wytyczony cel. Brianna marzyła o takim życiu dla siebie.

- Dziękuję.

- Co więcej, zamierzam udzielić ci korepetycji, jak najlepiej radzić sobie z takim trudnym mężczyzną jak Edmond.

- Czy znajdzie konieczność użycia pejsza?

- Kusząca myśl, ale to tylko utwierdziłoby go w jego uporze. Trzeba bardziej subtelnego podejścia. Dlatego postanowiłam dać ci osobny apartament.

- Obawiam się, że nie rozumiem.

- Nie wolno dopuścić do tego, żeby mężczyzna traktował cię jak powietrze do oddychania. Jeśli Edmond zechce cię odwiedzać w tych pokojach, musi zachowywać się tak, żebyś nie była skłonna zamykać przed nim drzwi na klucz.

Briannę rozśmieszyła sugestia, że zwykły zamek u drzwi mógłby powstrzymać Edmonda od wejścia tam, gdzie zapragnie.

- Zakładasz, że nie wyłamie drzwi.

Wania nie odzywała się przez dłuższą chwilę, jakby rozważała sugestię Brianny.

- Przyznaję, że nie przyszło mi to na myśl. Edmond nie należy do mężczyzn, którzy byliby gotowi podjąć taki wysiłek dla kobiety. Przynajmniej dopóki ciebie nie poznał, *ma petite*. Żadna kobieta przed tobą nie towarzyszyła mu w podróży ani też nie zamieszkała z nim pod jednym dachem. Wierzę, że dla ciebie gotów byłby sforsować nie jedno, lecz wiele par drzwi.

Briannie zależało na nieangażowaniu się uczuciowo, tak by w przyszłości mogła odejść od Edmonda wyłącznie z miłymi wspomnieniami.

- Tylko dlatego, że traktuje mnie jako wyzwanie. Podejrzewam, że nie zniósłby myśli, że mogłabym należeć do innego.

- Ty naprawdę jesteś niewinna! - wykrzyknęła rozbawiona Wania.

- Wierz mi, Waniu, Edmond może - zastanowiła się nad stosownym słowem - może mnie lubi, ale to wszystko. Może i jestem niewinna, ale nawet ja rozumiem, że żądza i miłość to dwa zupełnie odmienne uczucia.

- Biedny chłopiec. Chciałabym, by zrozumiał, iż jego rodzice nie życzyliby sobie, żeby obwinił się o ich śmierć. To był tragiczny wypadek.

Brianna odczuła przyływ sympatii do Edmonda, ale zwalczyła w sobie ten odruch. On pragnął tylko jej ciała i ona tyle była gotowa mu dać.

- Prawdę mówiąc, zależy mi wyłącznie na przelotnym romansie.

Wania nie kryła zdziwienia.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę.

- *Ma petite* - rzekła, ściskając dłoń Brianny - to uśmiech losu wpaść w oko takiemu przystojnemu i bogatemu mężczyźnie jak Edmond. Byłabyś nierozsądna, odrzucając go bez zastanowienia się nad swoją przyszłością.

Rada płynęła niewątpliwie z dobrego serca, ale Brianna wzdrygnęła się na myśl, że mogłaby przehandlować ciało za poczucie bezpieczeństwa.

- Odziedziczę majątek, który zamierzam spożytkować na urządzenie własnego domu - powiedziała z godnością. - Nigdy nie uzależnię się od mężczyzny.

- Kobieta samodzielna! Lubię takie. Musimy o tym porozmawiać, *ma petite*.

- Może byłoby lepiej, gdybyś zachowała swoje dobre rady, Waniu, dla nie tak niewinnych gości - rozległ się męski głos. - Wolałbym, żebyś nie psuła Brianny.

Odwróciły się. Edmond zdążył się przebrać w jasną koszulę, prostą, szarą kamizelkę, czarne spodnie do kolan i błyszczące buty z cholewami. Surowy ubiór podkreślał doskonałość jego sylwetki.

- To ty, Edmondzie? Myślałam, że przywitasz się z Herrickiem Gerhardtem - odezwała się Wania.

- Wszystko w swoim czasie. - Ucałował dłoń gospodyni. - Najpierw chciałem się upewnić, że Brianna rozgościła się w swoich pokojach.

- I przy okazji sprawdzić, czy nie przekonuję jej, że byłaby szczęśliwsza z bardziej troskliwym kochankiem?

- Waniu, wiesz, że bardzo cię lubię, ale jeśli zabłądzi tu któryś z twoich męskich gości, strzelę mu prosto w serce. - Powiedział to niemal bez emocji. - Przekaż wszystkim to ostrzeżenie. Nie życzę sobie żadnych nieprzyjemnych incydentów.

- Mój chłopcze, nudzisz. Przemawiasz jak mąż.

Z ust Brianny wyrwał się cichy okrzyk. Czy ta kobieta nie czuje żadnej bojaźni? Edmond zmrużył oczy.

- Waniu, czy przypadkiem nie powinnaś zatroszczyć się o swoich gości? Śmiejąc się, Wania ruszyła posłusznie w stronę drzwi.

- Idę, idę, ale nie zapominaj, że to mój dom i moja sympatia zawsze będzie po stronie innej kobiety. Jeśli dojdę do wniosku, że nie traktujesz jej z należnym szacunkiem, każę cię wyrzucić.

- Zdaje się, że minęły dobre londyńskie czasy. Zastanawiam się, czy nie popełniłem błędu - odezwał się Edmond, gdy za Wanią zamknęły się drzwi.

- Dlaczego? Mnie Wania się podoba - powiedziała Brianna, z udawanym zainteresowaniem przyglądając się jadeitowym bibelotom ułożonym na marmurowym blacie stolika z połączanego brązu.

- Nie dziwię się. Ta kobieta jest przekonana, że mężczyzn można traktować jak pokojowe pieski i wyrzucić ich za próg, jak się sprzykrzą.

- A co w tym złego? Kobiety są tak traktowane od stuleci.

Bez żadnego ostrzeżenia przycisnął ją do ściany swym potężnym ciałem.

- Edmondzie...

- Nie żartowałem, *ma souris*, nie jestem psem na smyczy, a dom Wani jest, delikatnie mówiąc, co najmniej niekonwencjonalny. Wielu dżentelmenów chciałoby wyciągnąć ręce po taką piękną kobietę. Nie będę tolerował żadnych awansów pod twoim adresem.

Briannie przyniosły satysfakcję te gwałtowne słowa, ale nie pokazała tego po sobie.

- Na litość boską, Edmondzie, to nie średniowiecze. Nie jestem twoją własnością.

Zamknął jej usta gwałtownym pocałunkiem i zabrał się do rozpinania jej sukni.

- Własność czy nie, ale jesteś moja. Nie zapominaj o tym.

Wsunął dłonie pod gorset, dotykał piersi.

- Trudno zapomnieć.

- Trudno? Chcę, żeby to stało się niemożliwe.

Śnieg rozpadał się na dobre, gdy Gerhardt i Edmond wyjeżdżali eleganckim powozem z gwarnego Petersburga. Chłód nie przenikał przez ciężkie futrzane okrycia, którymi wyścielone było wnętrze sani, śliska droga nie opóźniała kilkunastu jeźdźców, którzy strzegli bezpieczeństwa pasażerów.

Herrick najczęściej załatwiał dyskretne sprawy z dala od ciekawskich oczu w Pałacu Zimowym i dbał o wygodę gości. Rozparty na szerokim siedzeniu Edmond popijał doskonałą brandy i starał się oderwać myśli od kobiety, którą zostawił otuloną kołdrą w łóżku w domu Wani Pietrowej.

Zanim ją opuścił, kochali się jak szaleni, z gwałtownością, która nawet nim wstrząsnęła. Nie dlatego, że bał się wyrządzić Briannie krzywdę. Ona sama go zachęcała. Miał tylko jedno pragnienie: dać jej tak pełną satysfakcję, żeby nie mogła myśleć o innym mężczyźnie. Chciał ją naznaczyć swoją pasją.

Śmieszne i jednocześnie niepokojące.

- Edmondzie?

Drgnął, wyrwany z zamyślenia. Wlał do gardła ostatnie krople brandy i spojrzał na siedzącego naprzeciw Gerhardta.

- Udało się panu odnaleźć Borysa i śledzić Kozakowa po zejściu na ląd ze statku? - zapytał.

Jedna siwa brew uniosła się ze zdziwienia. Herrick rzadko popełniał błędy, jeszcze rzadziej kwestionowano jego umiejętności.

- Oczywiście. Jak pan przewidywał, pojechał prosto do domu swego kuzyna.

Edmond się skrzywił. Znał tego kuzyna. Fiodor Dubow był nieudaną imitacją starszego od siebie Wiktora. Nie miał ani pozycji, ani bogactwa, ani charyzmy swego krewniaka. Był marionetką, którą chętnie wysługiwali się inni.

- Drań.

- Jest jeszcze coś. - Herrick uniósł wychudzoną rękę.

- Co?

- Nigdy nie dowierzałem, że Dubow pogodził się z tym, że Aleksander Pawłowicz nie włączył go w skład swojej rady.

Edmonda śmieszyła sama myśl, że ów zadufany w sobie głupiec liczył na takie odpowiedzialne stanowisko.

- Przecież ten człowiek twierdził, że Aleksander zabił własnego ojca. Spodziewał się, że to pójdzie w niepamięć?

- Wielu tak twierdzi, a niektórzy pełnią nawet wysokie funkcje rządowe.

- Są przynajmniej na tyle rozsądni, że rozprawiają o tym wyłącznie między sobą, a nie publicznie przed całym dworem. Miał szczęście, że uniknął plutonu egzekucyjnego.

Herrick sięgnął za pazuchę, wyciągnął złożony papier i podał go Edmondowi.

- Jego szczęście właśnie go opuściło. Edmond rozłożył papier.

- Co pan odkrył?

- Ta wiadomość nadeszła do Pałacu Zimowego zaraz po przyjeździe Wiktora Kozakowa do Petersburga.

Papier był zapisany niewprawnym, trudnym do odcyfrowania pismem, ale Edmond rozpoznał, że był to cytat z Woltera, zakończony krótkim przekazem.

Mordercy nie unikają kary, chyba że zabijają całe rzesze i przy dźwiękach trąbek. Na nas czas... Czeka na twoją wizytę.

- Skąd pan to ma?

- Jak powiedziałem, nigdy nie dowierzałem Fiodorowi Dubowowi. Opłacam kilku jego służących, aby informowali mnie o jego poczynaniach i znajomościach. Jednemu z nich udało się skopiować tę wiadomość, zanim została wysłana. Dopiero co ją otrzymałem.

Edmond zaklął z cicha. Kozakow najwidoczniej nie marnował czasu.

- Komu zostało to dostarczone?

- Niestety, tego służący nie wie. Kozakow wysłał z wiadomością do pałacu osobistego pokojowca, a ten okazał się irytująco lojalny. Przykazałem moim ludziom, którzy obserwują dom Fiodora Dubowa, aby następnym razem poszli za pokojowcem, gdy wyjdzie z domu.

- *Mon Dieu.*

Edmond odniósł wrażenie, że spada na niego lawina, której nie jest w stanie powstrzymać. Tak samo bezsilnie czuł się po śmierci rodziców.

Herrick ze zrozumieniem obserwował reakcję Edmonda.

- Odkryjemy, kto się za tym kryje. Edmond wyjął butelkę brandy ze schowka. Pociągnął długi łyk.

- Miał pan jakieś wieści od cara?

- Jest bezpieczny i dobrze strzeżony.

- Nie kryję, że z ulgą przyjąłem pański powrót do Petersburga. Obawiam się, że jest pan tu bardziej potrzebny niż przy osobie Aleksandra Pawłowicza.

- Traktat został podpisany, wszystkie formalności dopełnione. Nie było potrzeby zwlekać z przyjazdem. Prawdę mówiąc, przeczuwałem, że szykuje się jakiś kłopot.

- Szkoda, że car nie podziela pańskiego stanowiska. Nie życzę mu, żeby znalazł się w niebezpieczeństwie, ale jego miejsce jest wśród poddanych. Może gdyby tu był, wrogowie nie ośmieliliby się podnieść głowy.

Herrick ufał Edmondowi bezgranicznie, ale nawet jemu nie ujawniłby, co myśli o carze. Był lojalny aż do bólu.

- Obaj wiemy, że władza ciąży Aleksandrowi. Znajduje ukojenie w podróżach.

- Poddani go potrzebują.

Herrick pozwolił sobie na okazanie smutku.

- Robimy, co w naszej mocy, przyjacielu. Nie możemy prosić o więcej.

Edmond chciał zaprotestować. Aleksander Pawłowicz powinien zdobyć się na więcej. Przewyciężyć stan niepewności i stać się silnym, stanowczym przywódcą.

- Pogadam ze swoimi współpracownikami. Może coś wiedzą - powiedział. Zaniechał wyrażenia sugestii, aby Herrick ponaglił cara do powrotu. Aleksander wróci, gdy uzna za stosowne.

Herrick zbliżył twarz do pokrytego szronem okna, dał znać jednemu z konnych, że można zawracać do miasta. Jechali w milczeniu. Chcąc rozładować minorową atmosferę, Herrick zapytał:

- Proszę opowiedzieć mi o tej kobiecie.

- Słucham?

- Borys wyjawiał, że przyjechał pan do Rosji w towarzystwie pewnej Angielki.

- Borys powinien trzymać język za zębami.

- Jest piękna? - Herrick cmoknął. - Głupie pytanie. Oczywiście, że tak.

Pański wybór zawsze padał na wyjątkowe kobiety.

- Jest piękna, ale tym razem to bez znaczenia. Moja fascynacja nie ma nic wspólnego z kształtem jej policzka czy wykrojem ust.

- Niebezpieczne wyznanie, przyjacielu.

Jasne, że niebezpieczne. Jeśli dżentelmen zaczyna myśleć o kobiecie inaczej niż jak o smakowitym kąsku, którym należy się delectować i o którym należy zapomnieć, znaczy to zazwyczaj, że ów dżentelmen dojrzał do popełnienia niewiarygodnego głupstwa.

- Zaprzeczenie zda się na nic - przyznał niechętnie Edmond. - Mam nadzieję, że przy bliższym poznaniu się nie rozczaruję.

- Dopuszcza pan myśl, że jej towarzystwo pana znudzi?

- To nieuchronny koniec wszelkich związków.

- A jeśli pan się nie znudzi? - zapytał Herrick z zagadkowym wyrazem twarzy.

Edmond zagłuszył wewnętrzny głos podpowiadający, że dał się omotać dziewczynie, która potrafi jednym uśmiechem diametralnie zmienić jego nastrój.

- Zostanie moją kochanką na zawsze.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Edmond poprosił Herricka, aby zostawił go w pobliżu Soboru Matki Boskiej Kazańskiej. Świątynia została zbudowana na zamówienie cara Pawła I w stylu przypominającym Bazylikę św. Piotra w Rzymie. Jej nazwa wiązała się z cudownym obrazem Matki Boskiej*.

* Powstanie i kult obrazu Matki Boskiej Kazańskiej sięga XIV wieku. W 1579 roku w Kazaniu dziewczynce o imieniu Matriona ukazała się Matka Boska i wskazała jej miejsce, gdzie znajduje się obraz. Ta znalazła go w popiołach spalonego kościoła. Od 1721 roku obraz Matki Boskiej Kazańskiej był przechowywany w Soborze Kazańskim. W roku 1904 został skradziony i zaginął bez wieści. Po latach okazało się, że ikona znajduje się w Watykanie. Została zwrócona Cerkwi Prawosławnej przez papieża Jana Pawła II w roku 2004 (przyp. tłum.).

Jednak to nie piękna architektura świątyni ściągnęła Edmonda w jej sąsiedztwo. Z głęboko wciśniętym na uszy kapeluszem i szalem osłaniającym połowę twarzy ostrożnie ruszył na drugą stronę ulicy do małej kawiarenki. Wszedł do zadymionego wnętrza i z pochyloną głową torował sobie drogę do niedostępnego dla publiczności pokoju na zapleczu.

Ledwo zdążył zdjąć ośnieżony płaszcz i kapelusz, do środka wszedł krzepki mężczyzna i starannie zamknął za sobą drzwi.

- Witaj, komendancie - dudniącym głosem przywitał się, ściskając serdecznie Edmonda.

Edmond wyzwolił się z uścisku, który omal nie połamał mu żeber. Siergiej był jego podwładnym w czasie wojny i dowiódł wielkiego poświęcenia, nadstawiając ramię na kulę przeznaczoną dla Edmonda. Gdy opuścił armię,

Edmond kupił mu tę kawiarenkę, wiedząc, że dumny żołnierz odmówi przyjęcia nagrody pieniężnej.

- Nie miałem pojęcia, że kawiarnia okaże się tak popularna. Omal nie zostałem stratowany przez tłum klientów.

- No cóż, obywatele miasta potrafią docenić dobrze prowadzony lokal - powiedział Siergiej.

Znając jego gadulstwo, Edmond bez zwłoki przystąpił do rzeczy:

- Mów, co słyszałeś.

- Niedobre wieści, komendancie. - Z twarzy Siergieja znikł jowialny uśmiech. - Jak zwykle głośnie są narzekania na możliwych trwoniących majątki i wyciskających ostatnie poty z poddanych. Chłopi są biedni, ale nie ślepi. Niezadowolenie jest coraz powszechniejsze.

- To zrozumiałe, ale jak mówisz, to zwyczajne.

- Rośnie też niezadowolenie wśród kupców - kontynuował Siergiej. - Narzekają na import z zagranicy, który wypiera wyroby lokalnego rzemiosła. Statki z Europy blokują port, przywiezione przez nich towary zalewają rynek.

Edmond mniej więcej tego się spodziewał. Rzesze żyły w niedostatku, podczas gdy garstki pławiła się w ostentacyjnym luksusie.

- Dążąc do obalenia cara, Wiktor Kozakow nie będzie szukał poparcia chłopów i kupców. Oni może i szemrają, ale za bardzo boją się otwartego buntu.

- Rząd Ludwika XVI we Francji też był o tym przekonany - zauważył Siergiej.

- Może, ale w Rosji nie ma nikogo, kto poderwałby masy do rewolty. Przynajmniej nie teraz.

- To prawda. Chłopi nie pójną za Kozakowem. Jego brutalne traktowanie poddanych jest powszechnie znane. - W oczach żołnierza błysnęła nienawiść.

- Zgadza się.

- Podejrzewa pan, że ktoś byłby gotów wesprzeć Kozakowa?

- To nie podejrzenia... raczej niejasne obawy

- Podzieli się pan nimi ze mną?

Edmond uśmiechnął się półgębkiem. Zabrzmiało to jak rozkaz. Co oficer, to oficer.

- Pogadaj ze wszystkimi kolegami, których masz jeszcze w wojsku. Chcę wiedzieć, o czym mówi się w koszarach.

- O mój Boże! - wykrzyknął Siergiej. Edmond uniósł dłoń w uspokajającym geście.

- Nie ma powodu do niepokoju. To tylko podejrzenie. Zakładam, że Wiktor Kozakow zdaje sobie sprawę z tego, że dla niego to ostatnia szansa przechwycenia władzy, o jakiej marzy. Jeśli mu się nie uda, straci życie. Nie może pokładać nadziei w powstaniu chłopskim. Będzie musiał uderzyć mocno i szybko w samym sercu ośrodka władzy.

- Zamach wojskowy - wyszeptał Siergiej.

- Nie, jeśli użyjemy swoich wpływów.

- Tak się składa, że mam w tej materii sporo do powiedzenia - powiedział Siergiej.

Po wyjściu Edmonda Brianna spała prawie dwie godziny, ale obudziwszy się, stwierdziła, że nadal jest senna i że lekko ją mdli. Pomyślała, że to z winy Edmonda, który kochał się z nią wyjątkowo namiętnie. Z oporami wstała z łóżka i ubrała się w domową suknię z jedwabiu w różowe różyczki. Bez pomocy Janet trudno jej było upiąć na czubku głowy niesforne loki, nie chciała jednak wołać żadnej z pokojówek Wani. W salonach było wciąż gwarno, dziewczęta miały co robić przy gościach.

Wyszła ze swojego apartamentu. Ominęła szerokie schody wiodące do części domu, w której przyjmowano gości, i posuwając się w głąb korytarza, natrafiła na pokój najwyraźniej służący za salonik muzyczny. Lśniący parkiet posadzki, lekkie mebelki z drewna cytrynowego i cenne gobeliny na ścianach tworzyły atmosferę komfortu i intymności.

Ominęła pozłacaną harfę i usiadła na kanapce pod oknem wychodzącym na ogród. Było tu chłodniej niż w środku pokoju i dzięki temu męczące ją mdłości stawały się mniej dokuczliwe. Otuliła się szczelnie grubym kaszmirowym szalem i siedziała nieruchomo, jak zahipnotyzowana wpatrzona w wirujące płatki śniegu za szklaną taflą.

Straciła poczucie czasu i popadła w zadumę. Od kilku tygodni nigdy nie była sama. Otaczająca ją cisza działała kojąco. Oczywiście nie mogło to trwać bez końca. Usłyszała zbliżające się kroki i do pokoju wszedł nieznajomy, wysoki mężczyzna, który na jej widok uśmiechnął się przyjaźnie.

Postawny i przystojny, miał ciemne włosy obficie poprządkane srebrnymi nitkami. Pastelowy, fioletoworóżowy żakiet i popielate spodnie do kolan świadczyły o jego zamożności, co potwierdzał wielki brylant błyszczący w fałdach fularu. Brianna nie miała pojęcia, kim jest: zaufanym przyjacielem domu czy zabłąkanym gościem, który niewątpliwie zainteresuje się napotkaną w pokoju muzycznym kobietą.

- Ach, pani jest na pewno panną Quinn - powiedział. - Proszę się nie obawiać - dodał, widząc zakłopotaną minę Brianny. - Otrzymałem polecenie, żeby nikomu nie mówić o pani obecności w Rosji i, proszę mi wierzyć, kiedy Wania wydaje rozkaz, rozsądny dżentelmen słucha bez dyskusji.

- Jest pan Anglikiem?

- Na swoje utrapienie. - Skłonił się Briannie głęboko. - Richard Monroe, do usług.

Przyjrzała mu się uważnie. Rysy twarzy nosiły znamiona szlachetności, z ciemnych oczu wyzierała dobroć. Brianna się uspokoiła.

- Co pan robi w Petersburgu?

- Mam powiedzieć prawdę?

- O ile to nie sekret - zastrzegła zmieszana.

- Nie, nie sekret. - Uśmiechnął się drwiąco pod swoim adresem. - Prawie dziesięć lat temu Wania przyjechała do Londynu, a ja byłem na tyle głupi, że się

w niej zakochałem. Od tamtej pory podążam za nią jak wierny pies, czekając, by uznała swoją porażkę i zgodziła się zostać moją żoną.

- Dziesięć lat?

- Dziwne, prawda? - Zaśmiał się, widząc jej niedowierzenie.

- Tak... raczej dziwne.

- Czy powiedziałem coś, co panią zaniepokoiło?

- Dziesięć lat to szmat czasu. Pan musi być bardzo cierpliwym człowiekiem.

- Od czasu do czasu tracę nadzieję i wyjeżdżam do majątności brata w Kencie, ale zawsze wracam. Życie bez Wani jest szare i nudne, ona je urozmaica.

Brianna zadrżała i szczerzej otuliła się szalem. To tylko z zimna, pomyślała. Wyłącznie z zimna.

- Pan tu mieszka?

- Nie, mam apartament w Pałacu Zimowym, co naturalnie tłumaczy, dlaczego Wania jest zainteresowana moim towarzystwem.

- Nie rozumiem.

- Dzięki obecności w domu cara mogę nie spuszczać z oczu tych, którzy znajdują się najbliżej władcy.

Uspiona swobodną atmosferą i luksusem panującym w domu Wani, Brianna zapomniała, że jej gospodyni jest zaangażowana w niebezpieczne rozgrywki polityczne.

- Ach, tak. Naturalnie.

Z zaciekawieniem przyjrzała się rozmówcy. Richard Monroe był niewątpliwie człowiekiem bogatym i wpływowym. Mógł przebierać jak w ulęgałkach w najbardziej rozchwytywanych pannach Londynu czy Petersburga. Dlaczego odrzucał je dla kobiety, która nie tylko nie chciała go poślubić, ale otwarcie przyznawała się do licznych kochanków?

- Czy to panu przeszkadza? - zapytała.

- Że Wania traktuje mnie jak oręż w swojej prywatnej wojnie przeciwko wrogom Romanowów?

- Tak.

W ciemnych oczach zamigotało coś na kształt tęsknej zadumy.

- Czasami, ale z reguły jestem szczęśliwy, że zajmuję jakieś miejsce w jej życiu, choćby bardzo skromne.

- Musi pan ją kochać wielką miłością - powiedziała łagodnie.

- Czy miłość może być mała? Albo kochasz, albo nie kochasz.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, dodał:

- Dostyc już tych smętnych wynurzeń na mój temat. Pani osoba bardziej mnie interesuje. Proszę mi opowiedzieć o sobie.

- Obawiam się, że mam niewiele do powiedzenia. Żyłam na uboczu.

- Chyba nie aż tak bardzo izolowanym, skoro znalazł panią jeden z najpotężniejszych dżentelmenów w Anglii i wciągnął w sam środek drzemącej rewolty w Rosji.

- Edmond bez wątpienia potrafi sprawić, że egzystencja kobiety staje się nieco urozmaicona.

- Chyba więcej niż nieco urozmaicona, wyobrażam sobie. - Richard Monroe się roześmiał. - Edmond przypomina Wanię, choć nie są spokrewnieni. Mają jakiś fascynujący urok, tak zgubny dla naszych biednych, nieświadomych zagrożenia dusz.

Nigdy nie będę jak Richard Monroe, postanowiła w duchu Brianna. Nie spędzę życia na rozpamiętywaniu nieodwzajemnionej miłości.

- Chyba tak - zdołała wymamrotać. Zauważył jej skrepowanie.

- Nie przemawia przez panią entuzjazm. Nie przywieziono pani tutaj wbrew jej woli?

- Nie. - Była zdziwiona bezpośredniością pytania. - Oczywiście, że nie.

Richard Monroe nie wyglądał na przekonanego.

- Panno Quinn, chciałbym, aby pani wiedziała, że gdyby potrzebowała pani przyjaciół, może pani liczyć na Wanię i na moją skromną osobę. Jest pani daleko od domu, ale nie jest pani osamotniona.

- Miło z pana strony, ale...

- Podziwiam Edmonda, lecz nie pozostaję obojętny na jego bezpardonowy zwyczaj naginania innych do swojej woli. Młodej, niewinnej kobiecie trudno jest przeciwstawić się jego stanowczości.

- Zapewniam pana, panie Monroe, że Edmond nie zmusił mnie do wyjazdu z Anglii. Przyjechałam z nim z własnej woli.

Bez ostrzeżenia pogłaskał ją po policzku.

- To dlaczego jest pani taka blada?

- Nie czuję się za dobrze. Ta podróż była bardziej męcząca, niż się spodziewałam.

Podszedł do kaflowego pieca i ze stojącego na nim dzbana wlał do szklanki ciemny płyn. Wrócił do niej, usiadł obok i podał jej szklankę.

- Proszę to wypić.

Napój był ciepły i pachniał goździkami.

- Co to jest?

- Coś w rodzaju ponczu z przyprawami. Rozgrzeje panią. Proszę pić powoli. - Pomógł jej unieść napój do ust.

Pociągnęła ostrożnie jeden łyk, po nim drugi, i od razu poczuła ulgę. Mdłości ustąpiły niemal natychmiast. Rozkoszując się ciepłem rozplywającym się po ciele, nie zauważyła, że nie są sami. Ktoś chrząknął. Na środku pokoju stała Wania, z pozbawioną wyrazu twarzą patrząc na tych dwoje siedzących tak blisko siebie.

Zachowywali się niewinnie, ale Brianna poczuła, jak na jej policzki wypływa rumieniec. Może dlatego, że domyślała się, iż spokój Wani jest tylko pozorny.

- Tu jesteś, Richardzie. Widzę, że przedstawiłeś się mojemu pięknemu, młodemu gościowi.

Jakby nie dostrzegając napięcia, jakie nagle zapanowało w pokoju, Richard podniósł się z kanapy.

- Panna Quinn nie czuje się dobrze.

- Och, *ma petite*, co ci dolega? Posłać po doktora?

- Nie, nie. Nic mi nie jest. - Brianna była zażenowana. - Już mi lepiej.

Wania zatroskanym wzrokiem przyglądała się Briannie. Stanęła obok Richarda, zdobyła się nawet na to, że położyła mu dłoń na ramieniu, jakby chciała zaznaczyć, że on należy do niej.

- Każę przygotować ci gorącą kąpiel. Odświeżysz się.

- Och, cudownie. - Brianna nie musiała udawać wdzięczności. W podróży zdana była wyłącznie na krótką toaletę z użyciem zimnej wody. Wstała i dygnęła przed panem Monroe.

- Miło mi było pana poznać.

- Cała przyjemność, panno Quinn, po mojej stronie.

- Nie zwracaj na niego uwagi, *ma petite*, to niepoprawny flirciarz - powiedziała Wania.

- Jak możesz tak mówić? - zaprotestował Richard, całując Wanię w rękę. - Ty jesteś niedoścignioną mistrzynią flirtu.

- Tobie nikt nie dorówna - odparła, wyginając się w jego stronę.

- W tym moja nadzieja - rzekł czule. Brianna miała dość. Ruszyła do swoich pokoi.

Cokolwiek by Wania mówiła o licznych kochankach i niezależności, było jasne, że jest głęboko przywiązana do Richarda Monroe. Może nawet więcej niż przywiązana. Ta kobieta nie chciała się przyznać do swoich uczuć nawet przed sobą.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy do domu wrócił Edmond. Brianna słyszała jego głos na korytarzu. Nie była pewna, czy chciałyby go w tej chwili zobaczyć. Odczekała, aż zamknie drzwi swojego pokoju. Wymknęła się do ogrodu w podbitej gronostajami pelerynie, którą Edmond kazał jej kupić przed wyjazdem z Londynu. Na głowę naciągnęła kaptur, a dłonie wsunęła w ciepłą mufkę.

Była przygotowana na to, że na zewnątrz będzie bardzo zimno, mimo to w pierwszej chwili mroźne powietrze niemal uniemożliwiło jej oddychanie. Zawahała się, czy nie wrócić do domu. Widok na pobliską Newę był jednak tak urzekający, że porzuciła tę myśl.

Łyżwiarze, sanie, wędrowni kupcy, przechodnie poruszali się w obu kierunkach środkiem zamarzniętej rzeki. Wyglądało to jak ilustracja do jakiejś bajki. Zafascynowana Brianna podeszła do ogrodzenia, dokąd docierały odgłosy tej krzątany.

Za jej plecami ktoś otworzył drzwi tarasowe, usłyszała skrzypienie śniegu pod ciężarem czyichś kroków. Nie odwróciła się.

- Brianno?

- Tak?

- Co robisz?

- Chciałam zaczerpnąć świeżego powietrza. - Uciekła się do najprostszej wymówki, jaka przyszła jej do głowy.

- Przecież jest okropnie zimno. Wracaj do domu. - Stał tuż za nią.

Uchwycił ją za ramiona, żeby spojrzeć jej w twarz.

- Za chwilę.

Zmarszczył brwi, że ośmieliła się go nie posłuchać, ale chyba był bardziej zatroskany niż zły.

- Mówiła mi Wania, że nie czujesz się za dobrze.

- Nic mi nie jest. To tylko przejściowe nudności.

Edmond delikatnie dotknął cieni pod oczami Brianny.

- Nie nawykłaś do męczących podróży, *ma souris*. Potrzebujesz kilku dni odpoczynku.

- Odpoczywałam cały dzień. Na dworze jest tak przyjemnie.

Chcąc odwrócić jego uwagę od siebie, podeszła bliżej do żeliwnego ogrodzenia i wskazała na wyspę na środku zamarznętej rzeki.

- Co tam jest? Przytulił ją do siebie.

- To Sobór Pietropawłowski. Miejsce pochówku carów Rosji.

- Dlaczego jest tam tyle drzew? Czy to ma jakieś religijne znaczenie?

Parsknął śmiechem.

- Pozostawiono je z bardzo praktycznych względów. Gdyby forteca otaczająca sobór była kiedykolwiek oblegana, żołnierze mieliby drewno na opał. Kiedy rozprawię się ze zdrajcami, zabiorę cię na przejażdżkę na wyspę. Tam są nie tylko groby carów, lecz także mennica ze skarbcem i dom gubernatora.

- Weźmiesz mnie na wycieczkę krajoznawczą?

- Naturalnie. Pójdziemy też poślizgać się na Newie.

- Jeździsz na łyżwach?

- Dlaczego się dziwisz? Jeżdżę, i to nieźle. - Pocałował ją w czubek nosa.

- No jasne, ty jeździsz.

- Jeśli wolisz, możemy pokręcić się pomiędzy kupcami, którzy sprzedają różności wzdłuż rzeki. Nigdy nie próbowałaś czegoś tak znakomitego jak świeże pierniki.

- Nie mogę się nadziwić saniom jeżdżącym po rzece jak po drodze.

- Rzeka jest najważniejszą arterią komunikacyjną w mieście przez większość zimowych miesięcy. Ach, spójrz tam!

- Gdzie?

- Na niebo.

- Co tam widzisz?

- Cierpliwości.

Spodziewając się pokazu ogni sztucznych, Brianna czekała na odgłos wystrzałów. Ale to było inne widowisko: kalejdoskop kolorów poprzedzających zniknięcie tarczy słonecznej za horyzontem. Najpierw odcienie różu, potem lawendy, wreszcie ciemnej morwy, cudowna paleta barw nad wieżycami i kopułami miasta. Zjawisko zapierające dech w piersiach.

- Och, nie widziałam niczego równie wspaniałego!

- Ja też.

Odwróciła głowę. Edmond był zapatrzonej w jej profil, nie w spektakularny zachód słońca. Pochylił głowę i namiętnie pocałował ją w usta. Czowała smak brandy na jego wargach i języku.

- Edmondzie, ktoś nas zobaczy.

Zsunął jej kaptur, żeby uzyskać dostęp do szyi.

- Niech patrzą. Nie dbam o to.

Całował ją i szeptał jakieś niezrozumiałe rosyjskie słowa. Odurzona nimi, wsparła się na nim całym ciężarem.

- Co mówisz?

- Mówiłem, że jeśli myślisz, iż zimowy zachód słońca jest piękny, to poczekaj do lata i białych nocy - skłamał, nie chcąc widocznie ujawniać znaczenia słów miłości. - Car na pewno zaprosi nas na doroczne obchody kulminacji lata.

- Nie. - Odważyła się spojrzeć prosto w błyszczące niebieskie oczy.

- Brianno, nie będziesz mogła odrzucić zaproszenia Aleksandra Pawłowicza.

- Nie myślałam o odrzuceniu zaproszenia.

- To dlaczego powiedziałaś „nie”?

- Nie zostanę w Rosji do lata. Edmond odstąpił o krok.

- Dlaczego?

Drżała nie tylko z zimna.

- W maju będę pełnoletnia. Muszę pojechać do Londynu, aby podpisać papiery związane z wejściem w posiadanie odziedziczonego majątku.

- Może to zrobić adwokat.

- Wiesz, jakie to dla mnie ważne, Edmondzie. Chciałabym dokonać tego osobiście.

Edmond zmagął się ze sobą. Kusilo go, żeby wydać rozkaz i oczekiwać posłuchu.

- Możemy razem pojechać do Londynu na kilka tygodni. Wiosna to jedyna znośna pora roku w tym mieście, a Stefan też będzie zadowolony, gdy go odwiedzę.

Briannę zdziwiła ustępliwość kochanka. Jak słusznie zauważył Richard Monroe, Edmond należał do ludzi przyzwyczajonych do stawiania na swoim. Intuicja podpowiadała Briannie, żeby nie odstępować od wyrażonego może zbyt popędliwie zamiaru. Wyciągnęła wniosek z nauk otrzymanych od Richarda Monroe.

Już sama jego obecność w Petersburgu dowodziła, jaka przyszłość czeka kogoś, kto pozwoli, aby emocje wzięły górę nad rozsądkiem. Takiej przyszłości Brianna wolała uniknąć. Czy nie lepiej ustalić zawczasu dokładną datę ostatecznego rozstania z Edmondem?

- Zamierzam zostać w Londynie. Będę mogła kupić niewielki dom i zacząć budować życie, o jakim zawsze marzyłam.

W oczach Edmonda zapaliły się niebezpieczne błyski.

- Chcesz mnie rozgniewać, *ma souris*? Uśmiechnęła się z przymusem.

- Wygląda na to, że się gniewasz, gdy wyrażam własne opinie. Może byłbyś szczęśliwszy z bardziej uległą kobietą niż ja.

- Byłbym szczęśliwszy z kobietą, która nie walczy nieustannie ze swoją własną chęcią bycia ze mną. - Uchwycił ją za brodę. - Przecież chcesz mnie. Chcesz być ze mną. Dlaczego próbujesz przeczyć?

- Nigdy nie przeczyłam, że cię... pożądam, ale to nie znaczy, że przez resztę życia będę twoją kochanką. Chciałabym jeszcze coś osiągnąć poza tym.

- Na przykład co?

Miała dość tego nękania. Wyrwała mu się i zaczęła się przyglądać, jak zapalano gazowe latarnie na ulicy.

- Jeszcze nie zdecydowałam - przyznała z ociąganiem. - Ale zrobię to.

Wiedziała, że nie naprawi świata, ale Londyn był pełen biedaków i ludzi poszkodowanych przez los. Organizacje charytatywne tylko czekały na pomocników.

- Zamierzasz mnie opuścić i żyć w ciasnym domu w środku Londynu bez rodziny i bez przyjaciół, mając nadzieję, że dokonasz jakichś niesprecyzowanych bliżej czynów?

Przygarbiła się. Zabrzmiało to tak... smutno. Niech to diabli! Potrafi być szczęśliwa, nawet spełniona, bez tego mężczyzny.

- Będę miała Janet - oświadczyła.

- Taka jesteś pewna? Myślę, że Borys będzie miał coś do powiedzenia w tej sprawie.

- Doskonale, będę więc żyła sama. Lepsze to niż...

- Niż co? Milczała.

- *Mon Dieu*, co też ta Wania nakładła ci do głowy?

Niech on sobie myśli, że to Wania przekonała ją do uroków niezależnego życia. To dużo lepsze, niż się przyznać, że bała się zostać kimś w rodzaju wiernego psa, niezdolnego do opuszczenia pana.

- Nic.

- Brianno...

Odgłos otwieranych drzwi przyjęła jak wybawienie. Westchnęła z ulgą, słysząc głos Wani w lodowatym powietrzu.

- Edmondzie!

Nie spuszczał uważnego spojrzenia z Brianny.

- Nie teraz, Waniu.

- Wybacz, że przeszkadzam, ale przed chwilą otrzymałam wiadomość od Richarda. - Wania nie dała się odprawić. - Musisz pojechać natychmiast, jeśli chcesz dostać się do pałacu niezauważony.

- Chcesz wśliznąć się do Pałacu Zimowego? - zaniepokoiła się Brianna. Lekceważąco wzruszył ramionami.

- Nie pierwszy raz to robię.

To zapewnienie nie uspokoiło Brianny.

- A co z gwardzistami?

- Na szczęście pałac jest za wielki, żeby mogli dopilnować wszystkiego. Zwłaszcza jeśli ma się w środku wspólnika.

- Dla jakiego ważnego celu ryzykujesz zdemaskowanie?

- Fiodor Dubow został zaproszony na kolację w pałacu. Zamierzam sprawdzić, z kim będzie się kontaktował. Zdrajcy, nawet gdy pragną zachować najwyższą ostrożność, zostawiają ślady. Takim śladem może być chociażby ostentacyjne unikanie pewnych gości.

- Pan Monroe sam nie może tego zrobić?

- Edmond jest przekonany, że tylko on potrafi rozpoznać spiskowca - wtrąciła sarkastycznie Wania.

- Wcale nie - obruszył się.

- Nie? - zapytała z wystudiowanym zdziwieniem.

- Monroe będzie wśród zaproszonych gości. Nie mógłby obserwować Dubowa bez wzbudzenia podejrzeń.

- A ty gdzie będziesz? - zainteresowała się Brianna.

Roześmiał się przekornie.

- Chyba nie spodziewasz się, że ujawnię ci wszystkie swoje sekrety, *ma souris*. - Obrzucił ją znaczącym spojrzeniem od stóp do głów. - Czy każdy musi wiedzieć, kiedy przyjdzie mi chęć przyjrzeć się bliżej tobie?

Rozbierał ją wzrokiem. Zaczerwieniła się. Wania chrząknęła znacząco.

- Jeśli ośmielisz się mnie szpiegować, to...
- To co?
- Chyba nie spodziewasz się, że ujawnię ci wszystkie moje sekrety -
odpowiedziała jego własnymi słowami.
- Poddaj się, Edmondzie - wtrąciła Wania.
- Stąpasz niebezpieczną ścieżką, moja droga.
- Nie mniej niebezpieczną niż ty sam, *mon ami** - odpowiedziała,
zadowolona z siebie. - Każę stajennym siodłać twojego konia - dodała.

* *Mon ami* (franc.) - mój przyjacielu (przyp. tłum.).

Edmond nie był zdziwiony, że w stajni zastał Borysa. Był skwaszony, nie podobało mu się bowiem, że nie pojedzie z Edmondem. Zastawiał wejście do boksu swoim wielkim ciałem.

- Powinienem być przy panu.

Edmond rozejrzał się po ciemnym, pachnącym sianem wewnątrz i upewnił się, że są sami.

- Potrzebuję ciebie, żebyś pilnował Kozakowa. Nie ośmiela się pokazywać na ulicach, ale to nie znaczy, że czegoś nie knuje. Muszę wiedzieć, czy ktoś go odwiedza.

- Czy to nie należy do obowiązków Gerhardta?

- Nie potrafił odwieść księcia od pojawienia się w Pałacu Zimowym. On nie jest skłonny dzielić się informacjami nawet z księciem.

- Myśli pan, że spisek sięga tak wysoko?

- Krążyły na ten temat różne plotki, ale ja nie wierzę, by zamieszani byli w to członkowie rodziny cara - odparł Edmond. - Mam nadzieję, że nie są -
dodał po chwili milczenia. - Aleksander Pawłowicz nie zniósłby zdrady.

- Każe mi pan stać całą noc na mrozie i mieć baczenie na dżentelmena, który nie śmie wychylić nosa z domu?

Edmond trzepnął go po ramieniu.

- Nie narzekaj, mogłoby być gorzej, mój przyjacielu.

- Gorzej?

- Mógłbyś jeść kolację w Pałacu Zimowym. Głośno przeklinając, Borys oddalił się do sąsiedniego boksu.

Pałac Zimowy oszałamiał większość gości swoim ogromem i przepychem. Nietrudno było się zgubić w wykładanych marmurem, złożonych galeriach, salach i klatkach schodowych. Aleksander Pawłowicz zatrudniał armię lokajów, którzy stali przy drzwiach, gotowi służyć pomocą napływającym każdego wieczoru gościom.

Edmond znał na pamięć rozkład pomieszczeń na wszystkich piętrach, w tym prywatnych pokoi carskich i przejść dla służby. Przebrany za osobistego pokojowca Richarda Monroe, dostał się przez nikogo niezauważony do apartamentu angielskiego lorda. Zadanie nie było trudne, gdyż Monroe wybrał pokoje z tarasem i schodami wiodącymi bezpośrednio do ogrodu.

Richard siedział przy założonym papierami biurku w salonie. Nie pełnił żadnej oficjalnej funkcji przy dworze, załatwiał jednak wiele spraw, zbyt delikatnych, by można w nie było angażować akredytowanego ambasadora brytyjskiego. Przenikliwy rozum, odporność na naciski i umiejętność prowadzenia negocjacji czyniły zeń niezastąpionego przedstawiciela angielskiego króla Jerzego.

Edmond mało kogo szanował tak bardzo jak Richarda Monroe.

- Muszę ci podziękować za ten nowy ubiór, tylko guziki nie są najodpowiedniejsze - powiedział, gładząc dłońmi liberię. - Powinieneś kazać odcisnąć na nich swój herb.

Richarda nie rozśmieszyła ta uwaga. Z ponurą miną przyglądał się Edmondowi.

- Liberia nie wzbudzi podejrzeń z daleka, ale twoja twarz jest zbyt dobrze znana. Musisz trzymać się w cieniu.

Richard miał dobre intencje, lecz Edmond nie zwykł słuchać pouczeń, jak powinien się zachowywać.

- Dlaczego udzielasz mi instrukcji, jakbym był uczniem, który dopiero co przekroczył próg szkoły, Monroe?

- Dżentelmeni z rozproszoną uwagą są skłonni popełniać niebezpieczne błędy.

- Z rozproszoną uwagą?

- Miałem to szczęście, że dzisiaj po południu spotkałem pannę Quinn. - Monroe nie próbował nawet owijać w bawełnę. - Jest zachwycająca.

Edmond podszedł blisko do Richarda. Na zdrowy rozum Monroe miał rację, jednak na myśl o tym, że ktokolwiek, choćby nawet bliski przyjaciel, próbował ingerować w jego stosunki z Brianną, burzyła się w nim krew.

- Tak, jest zachwycająca. I co z tego?

- Pierwszy raz. odkąd cię znam, a nasza znajomość trwa nie od dziś, ujawniłeś swoje sekrety kobiecie. Nigdy byś tego nie zrobił, gdyby nie była aż tak dla ciebie ważna.

- Znajomość z Brianną to moja sprawa.

- Nie do końca. Sprowadzając ją do Wani, ściągnąłeś niebezpieczeństwo na nas wszystkich.

- Sugerujesz, że ona jest zdrajczynią? Monroe uspokoił wzburzonego Edmonda gestem dłoni.

- Spokojnie. Chciałem tylko powiedzieć, że widocznie uznałeś, iż jest warta twojego zaufania. Nigdy tak wysoko nie ceniłeś żadnej kobiety, poza Wanią.

Edmond zorientował się, że swoją przesadną reakcją ujawnił więcej, niż zamierzał.

- Znam Briannę od dziecka. Dziewczyna jest może irytująco uparta, samowolna i niezdolna do przyznania, że ja wiem, co jest dla niej najlepsze, lecz nigdy by mnie nie zdradziła. Jest niezdolna do takiej niegodziwości.

Przemawiała przez niego wiara, że Brianna, choć potrafi doprowadzić mężczyznę do szaleństwa, jest osobą, której można powierzyć życie.

- Wartościowa kobieta, zatem.

- Tak.

- Więc jest, jak mówiłem... rozprasza cię.

- Czas najwyższy, żebyśmy udali się na kolację.

- Uważaj, Edmondzie. Coś wisi w powietrzu, jakby za chwilę miało zagrzmieć.

- Albo miała wybuchnąć beczka prochu - rzekł pod nosem Edmond, przytaczając słowa Herricka sprzed miesiąca.

- Właśnie.

Brianna poczekała, aż Edmond uda się do Pałacu Zimowego, rozebrała się do koszuli nocnej i z uczuciem ulgi wsunęła pod kołdrę. Powinna się chyba martwić, że jest trzymana z dala od gości jak jakiś wstydlivy sekret. Z drugiej strony, było jej lżej, że nikt od niej nie oczekuje, by ubrana w elegancką suknię mieszała się tłumem obcych ludzi. Znowu męczyły ją sensacje żołądkowe i czuła się zmęczona do tego stopnia, że marzyła o przespaniu najbliższych dwóch tygodni.

Prawie godzinę później rozległo się ciche pukanie do drzwi i do pokoju zajrzała Wania.

- Mogę wejść?

Brianna zawstydziała się, że położyła się spać tak wcześnie. Usiadła w pościeli.

- Oczywiście. Będzie mi miło. Wania weszła, niosąc srebrną tacę.

- Mam dla ciebie niespodziankę.

- Przecież nie musisz mnie obsługiwać. - Brianna poczuła się zakłopotana.
- Lubię sprawiać przyjemność swoim gościom.
- Twoja pokojówka przyniosła mi tacę z kolacją.
- A ty ją odesłałaś nienaruszoną. Moja biedna kucharka omal się nie popłakała.

- Przykro mi. - Na sam zapach jedzenia Briannie robiło się niedobrze. -
Powiedz kucharce, że wszystko było bardzo apetyczne, tylko mój żołądek odmawia mi dzisiaj posłuszeństwa.

Wania odsłoniła białą lnianą serwetkę. Pod nią leżały pierniczki.

- Filiżanka herbaty i taki pierniczek dobrze ci zrobi - powiedziała, po czym baczenie przyglądała się Briannie, gdy ta ze smakiem jadła ciastka, popijając herbatą.

- Lepiej?

- Tak. Głupio mi. Nigdy nie choruję.

- Nie pomyślałaś, że może być jakaś przyczyna twojego obecnego... złego samopoczucia?

- Chyba przeziębiam się w podróży.

- Możliwe.

Brianna zmarszczyła brwi.

- Waniu?

- Myślę, że powinnaś rozważyć możliwość, że jesteś przy nadziei, *ma petite*.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Słabo oświetlony przedpokój stanowił doskonały punkt obserwacyjny, z którego widać było całą salę jadalną. Edmond nie spuszczał oka z gości zasiadających przy niewielkich okrągłych stołach, na środku których ustawiono drzewka pomarańczowe. Mimo nieobecności cara kolacja w pałacu miała uroczysty charakter, a niezliczone wykwintne dania roznosili lokaje, którzy poruszali się w pełnym godności milczeniu.

Fiodor Dubow zajmował ustawiony z boku stolik wraz z niższej rangi dygnitarzami dworskimi. Niewysoki, korpulentny dżentelmen uśmiechał się uprzejmie i zręcznie maskował niezadowolenie z tego, że usadzono go z dala od młodszego brata cara, wielkiego księcia Michaiła i innych członków rodziny panującej. Wprawne oko Edmonda nie pominęło jednak nerwowych ruchów rąk, coraz to poprawiających fular i ukradkowego rozglądania się po sali jadalnej.

Fiodor nie był dwulicowy jak Wiktor, który potrafił całować wroga w policzek i jednocześnie wbijać mu sztylet w plecy. Jeśli któryś ze spiskowców miał popełnić błąd, to Edmond liczył w tym względzie na Fiodora.

Punktualnie o dziesiątej wieczorem rezydujący w pałacu członkowie rodziny carskiej wstali od stołu i udali się do swoich apartamentów. Fiodor nieznacznym ruchem głowy wskazał jednemu z gości boczne drzwi wiodące do sąsiadującej z jadalnią pustej sali balowej.

Edmond, korzystając z zamieszania związanego z przejściem gości do Ermitażu na wieczorny koncert, przedostał się do najbliższej klatki schodowej, a stamtąd do galerii, której marmurowa balustrada znajdowała się bezpośrednio nad przejściem do sali balowej. Za Fiodorem z jadalni wymknął się wielki mężczyzna w mundurze Siemianowskiego Pułku Gwardii.

Edmond zdziwił się niepomierne. Co prawda, Grigorij Rimski w młodości sympatyzował z niepodległościowymi aspiracjami Polaków, jednak po

przeniesieniu do osobistej gwardii cara okazał się odważnym dowódcą, który szybko awansował podczas wojen napoleońskich. Tego rodzaju zdrajcy byli najbardziej niebezpieczni.

Obwieszony orderami wojskowy rozejrzał się po pustym korytarzu, po czym ze złością zwrócił się do zdenerwowanego Fiodora:

- Oszalałeś? Nie możemy tu rozmawiać. Gdyby nas zauważono razem...

- Nie mogłem ryzykować kolejnego listu. - Fiodor otarł czoło wyciągniętą z kieszeni chustką do nosa. - Mój dom jest obserwowany.

- Przez kogo?

- Gerhardta, a kogóż by?

- Więc już wie, że Wiktor Kozakow wrócił do Petersburga?

- Za kilka godzin będzie to bez znaczenia. Edmond się zaniepokoił. Za kilka godzin?

Mon Dieu. Pracował usilnie nad tą sprawą, ale jeszcze nie był przygotowany na uderzenie w spiskowców. Wciąż za mało wiedział. Gdyby tak zamknąć tych dwóch zdrajców w wieży? Grigorij wybrałby raczej śmierć niż zdemaskowanie kolegów, ale Fiodor nie miał takiego silnego charakteru. Po kilku świśnięciach knutem błagałby, żeby mu pozwolono wszystko wyznać.

- Zresztą - kontynuował Fiodor - naszym największym zmartwieniem nie jest Gerhardt.

- A kto?

- Lord Edmond. Właśnie wrócił.

Grigorij gwizdnał przez zęby. Edmond się zdumiał. Jak zdołali odkryć jego obecność tak szybko?

- Jest w Petersburgu?

- Tak. - Fiodor znowu otarł twarz. - Wiktor ma szpiega w domu Wani Pietrowej.

Edmond poprzysiągł sobie osobiście przesłuchać całą służbę Wani.

- Wiktor obiecał mi, że Edmond Summerville będzie musiał się zająć zapewnieniem bratu bezpieczeństwa i nie będzie wchodził nam w paradę.

- Wygląda na to, że mój kuzyn zawiódł.

- Nie lekceważ tego, Fiodor. - Grigorij spiorunował go wzrokiem. - Twoja rodzina okazała się niezdolna do spełnienia wyznaczonej roli, nawet tak prostej. Pozwoliliście, by ten cały lord się zorientował, że w rzeczywistości księciu Huntleyowi nic nie groziło. - Zaśmiał się. - Nie powinienem wam ufać.

Wystawiliście nas wszystkich na niebezpieczeństwo.

Fiodor zbladł. Był tchórzem, ale nie głupcem. Wiedział, że rozwścieczony oficer mógłby mu skrócić kark.

- Z lordem Edmondem nie będzie kłopotów - wyjąkał.

- Skąd ta pewność? Wielokrotnie stawał nam na drodze.

- Na wypadek gdyby odkrył nasze plany, co nieprawdopodobne, Wiktor i ja zabezpieczyliśmy się przed jego ingerencją. - Fiodor otarł spoconą twarz.

- Doprawdy? - prychnął lekceważąco Grigorij. - Wsadzicie mu kulę w to jego wredne serce?

- Przednia myśl, ale nie jestem taki głupi, by mierzyć do niego z pistoletu. Mówią, że on nie jednego położył trupem.

- Nic mnie to nie obchodzi. Jak zamierzacie go powstrzymać?

- Lord Edmond nie przyjechał do Rosji sam. Przywiózł narzeczoną swojego brata.

- Narzeczoną brata? - zadrwił Grigorij. - Jesteście w błędzie. Dobrze wiadomo, że to bezwzględny łajdak, ale zrobi wszystko dla ukochanego braciszka. Dlatego chcieliśmy, aby uwierzył, że księżę Huntley jest zagrożony.

- Co tylko potwierdza, że musi mu bardzo zależeć na tej kobiecie - powiedział Fiodor. - Zrobi dla niej wszystko.

- Macie ją?

- W czasie kolacji dostałem informację, że Wiktor właśnie planuje uprowadzenie jej z domu Wani Pietrowej.

- Planować a wykonać to nie to samo.

- Wiktor złapał niejakiego Borysa, służącego Summerville'a, który czaił się pod moim domem, i uwięził go w piwnicy do mojego powrotu, żebym pozbył się go dyskretnie. Ona nie jest w tej chwili tak dobrze pilnowana, jakby mogło się zdawać.

- Gdzie... - Grigorij urwał i pociągnął Fiodora do najbliższych drzwi. - Ktoś idzie. Dołącz do gości uczestniczących w koncercie, ja muszę puścić w ruch maszynę.

- Teraz?

- Tym razem lord Edmond nam nie przeszkodzi.

Edmond walczył z sobą. Wiedział, że powinien pójść za Grigorijem, aby poznać pozostałych uczestników spisku, otoczyć ich gwardzistami i uwięzić do czasu powrotu cara z zagranicy. Intryga miała osiągnąć punkt kulminacyjny i mogło dojść do rozlewu krwi, gdyby jej teraz nie udaremniono.

Z drugiej strony, czuł, że ważniejszą sprawą stało się dla niego bezpieczeństwo Brianny. Ten łajdak, Kozakow, zamierza przeniknąć do domu Wani i położyć na niej swe brudne łapy... Nie, to niemożliwe! Zabije go!

Nudności wróciły ze wzmożoną siłą. Brianna uniosła kołdrę i słaniając się, wstała z łóżka.

- Nie. To niemożliwe... - Z dłonią przyciśniętą do żołądka zatoczyła się w stronę bogato zdobionej toaletki.

Wania obserwowała ją zatroskana.

Brianna próbowała się skupić. Ostatnie tygodnie obfitowały w wydarzenia, nic dziwnego, że nie miała czasu myśleć o funkcjonowaniu swojego organizmu. Ile to czasu upłynęło od ostatniego krwawienia? Odpowiedź nie pozostawiała wątpliwości. Zbyt długo.

Zdążyła opaść na fotel, zanim nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

- Brianno. - Wania podeszła do niej, szeleszcząc jedwabną suknią i delikatnie pogłaskała ją po ramieniu. - Nie denerwuj się, proszę.

- Mam się nie denerwować? A jeśli to prawda? Jeśli rzeczywiście noszę dziecko Edmonda?

- Razem zastanowicie się nad przyszłością. - Dla Wani było to oczywiste.

Brianna wzdrygnęła się na samą myśl, że mogłaby powiedzieć Edmondowi o ciąży.

- Jaką przyszłością? - wyszeptała, przykładając palce do pulsujących skroni. - I tak trudno mi będzie wrócić do Londynu i odnaleźć miejsce w towarzystwie. Teraz stanie się to niemożliwe.

- Możesz zostać u mnie do czasu urodzenia dziecka.

- A co potem? - Brianna uniosła głowę i napotkała utkwione w niej spojrzenie Wani.

- Potem oddasz je na wychowanie jakiejś przyzwoitej rodzinie i wrócisz do Londynu. Nikt o niczym się nie dowie.

Na wychowanie? Brianna zerwała się na nogi. Przytłaczający ją strach ustąpił miejsca zgorszeniu. Nie, to nie było zgorszenie, to była rozpacz.

- Miałabym oddać własne dziecko?

- Takie sytuacje zdarzają się, *ma petite*.

- Dla mnie to nie do pomyślenia - zaprotestowała. Po policzku spłynęła jej łza.

- Brianno, uspokój się. - Wania otoczyła ją ramionami. - Nic jeszcze nie wiemy. Może się okazać, że to zwykłe przeziębienie.

Brianna nie zamierzała chwycić się niejasnej nadziei, że to tylko przejściowa niedyspozycja.

- Nie jestem głupia. Liczyłam się z tym, że możliwe będą komplikacje, gdy zostanę kochanką Edmonda. Zakładałam jednak, że nasz związek będzie krótkotrwały, że nie starczy czasu na... dziecko. Moja matka urodziła mnie dopiero dziesięć lat po ślubie, a z Thomasem Wade'em nie miała potomstwa.

- Każda kobieta jest inna - orzekła Wania.

Zaduma Wani zastanowiła Briannę. Przyszła jej do głowy nieoczekiwana myśl.

- A co z tobą? - zapytała delikatnie.

- Co ma być?

- Czy ty...

W oczach Wani pojawił się na krótko wyraz tęsknoty, natychmiast jednak się opanowała.

- Mam córkę - powiedziała nienaturalnie spokojnym głosem. - Skończyła dziewięć lat.

- Och!

Brianna nie była zaskoczona, że Wania ma dziecko. Nie spodziewała się wszakże tego rodzaju reakcji.

- Jest przy tobie?

- Nie. - Wania machinalnie dotknęła złotego medalionu przypiętego do stanika sukni. - Umieściłam ją u żyjącej w sąsiedztwie rodziny adwokata, którego żona nie mogła mieć dzieci. Oczywiście łożę na jej utrzymanie i wykształcenie. Dali jej na imię Natasza.

- Czy ona wie, że jesteś jej matką?

Wania wzdrygnęła się, choć jej twarz pozostała nieruchoma.

- Kiedy ją urodziłam, doszłam do wniosku, że będzie dla niej lepiej, jeśli nigdy nie dowie się prawdy. Nawet wzrastając w porządnym domu i nie odczuwając materialnego niedostatku, byłoby jej trudno pogodzić się z piętnem nieślubnego pochodzenia. A tak żyje w przekonaniu, że jest prawdziwą córką swoich rodziców.

- Rzeczywiście, tak jest najlepiej - powiedziała Brianna, zdając sobie sprawę, że jej słowa brzmią fałszywie w zestawieniu z niedawnymi łzami.

Z utratą córki coś umarło w Wani. Coś naprawdę cennego.

Wania wiedziała, że nie zwiodła Brianny pozorną obojętnością. Rysy jej twarzy złagodniały, pozwoliła sobie na okazanie rozpaczy.

- Dla niej tak, dla mnie... było to trudne. Jest na wyciągnięcie ręki, a nigdy nie będę mogła do niej się zbliżyć jak do córki. Wolno mi ją oglądać z daleka, a jej rodzice przysyłają mi drobne pamiątki, abym czuła, że stanowią część jej życia. - Wania zdjęła medalion i go otworzyła. W środku znajdowała się miniaturka ładnej ciemnowłosej dziewczynki o śmiejących się oczach. - To jest Natasza.

- Jaka śliczna.

Portrecik, choć maleńki, mistrzowsko odmalowywał podobieństwo.

- Och!

Wania skrzywiła się, widząc rumieniec wypływający na policzki Brianny.

- Tak, jej ojcem jest Richard.

- Wie o tym?

- Nie. - Wania zacisnęła medalion w dłoni. - Kiedy przekonałam się, że jestem w ciąży, był w drodze do Anglii. Myślałam wówczas, że nie wróci.

Brianna nie mogła oprzeć się refleksji, że choć Wania cierpiała, oddając córkę, strata Richarda była jeszcze boleśnieszka. Nie dane mu było nawet dowiedzieć się, że ma córkę. Nie mógł popatrzeć na nią z daleka, nosić jej podobizny w medalionie.

To wielkie nieszczęście dla tak samotnego człowieka.

- Dlaczego nigdy mu nie powiedziałaś? Wania podeszła do okna.

- Nie wybaczyłby mi, że ją oddałam.

- Nie twierdzę, że dobrze znam Richarda Monroe, ale wiem, że cię kocha, a miłość wszystko wybacza - powiedziała łagodnie Brianna.

- Może, gdybym zdobyła się na szczerość, kiedy pierwszy raz powrócił z Anglii. Zanim zrozumiałam, że mnie... teraz na to za późno.

- Dlatego przez te wszystkie lata nie zgodziłaś się go poślubić? Bałaś się, że mógłby odkryć prawdę?

- Tak.

- Waniu, ciągle nie jest za późno...

Nie dokończyła. Do pokoju wszedł szczupły, ciemnowłosy nieznajomy.

Od progu wymierzył pistolet w pierś pani domu.

- Waniu Pietrowa, proszę wybaczyć, że panią niepokoję, ale ma pani coś, na czym mi zależy.

Porzuciwszy wszelkie środki ostrożności, Edmond w pośpiechu opuścił galerię. Nie zauważył wysokiej postaci, która wyłoniła się z cienia i zastąpiła mu drogę.

- Czekałem...

Edmond złapał go za rękę i pociągnął w stronę wychodzących na taras drzwi.

- Chodź.

Herrick posłusznie poszedł za nim.

- Dokąd?

- Do stajni.

Edmond nie zwracał uwagi na krążących wokół lokajów, którzy na widok Herricka roztapiali się w cieniu.

- Musisz kazać aresztować Grigorija Rimskiego. To on stoi na czele spisku.

- Rimski? Jesteś pewny?

- Podśluchałem jego rozmowę z Fiodorem Dubowem.

Klnąc pod nosem, Herrick usiłował dotrzymać kroku Edmondowi.

- Czy ma poparcie wojskowych? - zapytał, świadomy potencjalnego zagrożenia wynikającego z przyłączenia się korpusu oficerskiego do rebelii.

- Jest chyba przekonany o tym, że przynajmniej niektórzy za nim pójda.

- Rimski? W którym to pułku on służy? Nie, Siemianowski nigdy by nie zdradził Aleksandra Pawłowicza. - Szarpnął Edmonda tak silnie, że ten się zatrzymał. - Przecież on jest jego dowódcą! - krzyknął.

- Dowódcą, który od miesiący nie postawił nogi w Petersburgu, a pułk pozostawił pod kontrolą tego znanego brutala, Arakcejewą - rzucił Edmond. - Obaj wiemy, choć to bardzo bolesna konstatacja, że bunt wśród nich dojrzewa. Weź dość ludzi, żeby pojmać Rimskiego, ale nie za wielu, aby nie zaalarmować Arakcejewą albo, broń Boże, wielkiego księcia Michaiła. Im dyskretniej wyłapiemy konspiratorów, tym lepiej. - Edmond zniżył głos do szeptu.

Weszli do stajni. Herrick odprawił ręką stajennych, którzy skwapliwie rzucili się pomagać Edmondowi siodłać konia.

- Poślij także paru żołnierzy do domu Fiodora Dubowa. W piwnicy siedzi tam uwięziony Borys. Ostrzeż ich, że jak będą go rozwiązywali, będzie zapewne w wojowniczym nastroju, a chciałbym uniknąć incydentów.

- Nie pojedziesz ze mną? - zapytał Herrick.

- Nie, wracam do Wani.

- Dlaczego?

- Wiktor Kozakow zamierza uprowadzić Briannę Quinn.

- Skąd mógł wiedzieć... - Herrick urwał nagle, wyciągnął z kieszeni sztylet i odwrócił się w stronę drzwi. Edmond wy dobył pistolet, w napięciu obserwując wysoką postać, która pojawiła się w wejściu.

Richard Monroe, on to bowiem był, nie zatrzymał się, obojętny na fakt, że ingeruje w rozmowę Edmonda i Herricka Gerhardta.

- Co się dzieje?

- Herrick ci wytłumaczy, ja muszę jechać do Brianny.

- Pojadę z tobą.

Nie czekając na niego, Edmond dosiadł konia i ruszył galopem ze stajni na skutą mrozem ulicę. Dostrzegł gwardzistów pędzących w przeciwną stronę, za sobą słyszał odgłos kopyt końskich, to galopował Monroe. Migwały mu w

oczach gazowe latarnie, rzucające snopy światła na pokrytą grubą warstwą śniegu jezdnię. Wszystkie jego myśli koncentrowały się na tym, żeby zdążyć do domu Wani przed Wiktorem Kozakowem.

Cud prawdziwy, że nie złamał karku na śliskich ulicach. Pod drzwiami zeskoczył z konia i nie dbając o uwiązanie go, wpadł do środka. Roztrącając stojących na drodze służących, wbiegł na piętro, gdzie zauważył, że drzwi pokoju Brianny stoją otworem, a na progu tkwi umundurowany gwardzista.

Wtargnął do pokoju. Wania miotała się nerwowo od ściany do ściany. Wiadomość, że Brianna znikła, była zbędna. Tępy ból przeszył pierś Edmonda.

- Co z Brianną?

- Edmondzie... - zaczęła przerażona Wania.

- Gdzie ona jest?

- Zabrał ją Wiktor Kozakow.

- Dokąd? - Złapał ją za ramiona, żeby zajrzeć w jej pobladłą twarz. -

Mów, dokąd?

- Spokojnie, Edmondzie. - Wszedł Richard i wyswobodził Wanię z uścisku Edmonda. - Nam tak samo jak tobie zależy na bezpiecznym powrocie panny Quinn.

Edmond zmełł wściekłe słowa wywołane tą nieoczekiwaną interwencją. Może i dobrze. Wania, mająca oparcie w Richardzie, będzie udzielała przytomniejszych odpowiedzi.

- Powiedz, co się wydarzyło.

- On... on po prostu stanął w drzwiach pokoju, trzymając w dłoni pistolet. Zażądał, żeby Brianna z nim wyszła. - Wyciągnęła w stronę Edmonda rękę, podając mu zmiętą kartkę papieru. - Zostawił to dla ciebie.

Edmond wygładził papier, przeczytał na głos kilka zdań wykaligrafowanych ładnym charakterem pisma.

- *Poświęcenie jest nic niewarte, jeśli nie odda się własnej krwi. Wybór należy do ciebie. Serce czy dusza. Kochanka czy kraj. Jedno albo drugie się wykrwawi.* - Edmond zaklął i rzucił papier na podłogę.

- Oto typowo rosyjski melodramat - uznał z niesmakiem Richard.

W innych okolicznościach Edmond też wyśmiałby ten patetyczny styl. Raził teatralnością, jak gdyby słowa te miały być wygłoszone na scenie. Bez wątplenia Wiktor widział już oczami duszy swoje wywyższenie i wypadki dzisiejszego wieczoru miały być świętowane jako wielkie zwycięstwo nad tyranią. Co za pompatyczny idiota!

- Jeśli zrobi choć jednego siniaka Briannie, wytrząsnę z niego życie - wycedził Edmond. - Powoli, aż do końca.

Wania rzuciła mu się na szyję.

- Edmondzie, wybacz!

- Co ci mam wybaczyć?

- Powinnam coś zrobić, żeby powstrzymać Wiktora. - Po jej policzkach płynęły łzy. - Myślałam, że jestem odważna i potrafię poradzić sobie w każdej sytuacji. Tymczasem bałam się, że go rozwścieczę, jeśli zawołam służbę. Pozwoliłam mu ją zabrać, nie kiwnąwszy nawet palcem w proteście. Okazałam się tchórzem!

Edmond wiedział, że Wania nie przestanie mieć do siebie pretensji, dlatego uściskał ją na pocieszenie.

- Już dobrze. Sprowadzę Briannę do domu zdrową i całą.

- Jak? Wielki Boże, jak ty ją znajdziesz?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Skulona w kącie eleganckiego powozu, obejmując się ramionami, Brianna starała się nie poddawać panice. Strach nic nie da, powtarzała sobie raz po raz, podczas gdy Wiktor Kozakow siedział naprzeciwko i celował do niej z pistoletu. Histeria też nic nie pomoże. Próbowała ocenić sytuację na chłodno. Nawet przez chwilę nie zakładała, że jej uprowadzenie było dziełem przypadku. Kozakow musiał wiedzieć, że ona jest kochanką Edmonda. Oznaczałoby to, że została porwana, aby coś wymusić na Edmondzie. Albo gorzej, by wciągnąć go w pułapkę. Brianna nie zamierzała pozwolić ani na jedno, ani na drugie.

Nie odzywała się. Powóz mknął przez miasto na południe. Wiedziała, że próba ucieczki była skazana na niepowodzenie.

Po pierwsze, Wiktor Kozakow miał nad nią przewagę fizyczną, a po drugie, stukot kopyt końskich za powozem oznaczał, że nie są sami. Mieli eskortę składającą się z co najmniej dwóch, jeśli nie większej liczby jeźdźców. Ponadto nie chciała ryzykować zamarznięcia w śniegu. Nie teraz, gdy istniało prawdopodobieństwo, że nosi pod sercem dziecko Edmonda. Poświęcenie miało granice.

Doszła do wniosku, że jej jedyną szansą jest przekonanie porywacza, iż nie jest nawet w przybliżeniu tak wartościowa dla Edmonda, jak zakładał Kozakow.

- Jest pani niezwykle spokojna jak na kobietę, która dopiero co została porwana - przerwał milczenie Kozakow.

Siedział niedbale rozwalony na skórzanym siedzeniu, ale wciąż celował pistoletem w Briannę, a wyraz napięcia nie zniknął z jego twarzy. Gdyby zaczęła stawiać opór, bez wahania pociągnąłby za spust, była o tym przekonana.

- Wolałby pan, żebym szczękała zębami czy mdlała ze strachu? - Była zadowolona, że jej głos nie ujawniał paraliżującej ją paniki, nad którą z trudem panowała.

- Byłaby to bardziej naturalna reakcja, jak na dobrze urodzoną pannę, która znalazła się w takich opałach.

Jego ironia podziałała mobilizująco na Briannę.

- Może i jestem dobrze urodzona, ale zapewniam pana, że ostatnich dziesięć lat uleczyło mnie ze skłonności do omdleń. - Skrzywiła się na myśl o ojczymie, Edmondzie Summerville'u i samym Wiktorze Kozakowie. -

Przyzwyczaiłam się, że w moje życie wkraczają różni panowie i chcą mnie wykorzystać do swoich celów. Jeśli coś odczuwam, to rezygnację.

- Doprawdy?

- I może irytację, że wybrał pan na porwanie taką mroźną noc. - Została wyprowadzona z domu w szlafroku i haftowanych pantofelkach.

Ze śmiechem rzucił w jej stronę koc.

- Jest pani zupełnie inna, niż się spodziewałem - rzekł, obserwując, jak Brianna owija się kocem. - Nic dziwnego, że potrafiła pani przypaść do gustu Edmondowi.

Brianna zaciągnęła pled aż po brodę nie tylko po to, żeby się chronić od zimna, lecz również przed natarczywym wzrokiem Kozakowa.

- Też mi osiągnięcie. Podoba mu się każda spódniczka.

- Niekoniecznie. Choć go nie cierpię, muszę przyznać, że jest bardzo wybredny. Jego kochanki odznaczały się wyrafinowaną urodą. Ma wyborny gust - dodał, wbijając wzrok w bujne, opadające do ramion włosy Brianny.

Zastygła pod tym obleśnym spojrzeniem, bardziej jednak zależało jej na przekonaniu tego człowieka, że jej osoba nie przedstawia żadnej wartości dla Edmonda, niż na skarceniu go za traktowanie jej jak zwykłej kokoty.

- Muszę panu wierzyć na słowo. W gruncie rzeczy bardzo mało wiem o Edmondzie. - Spuściła oczy, udając zakłopotanie. - Nie spędzamy czasu na konwersacjach.

Wyciągnął rękę i palcem uniósł jej brodę.

- Jestem pewien, że posiada pani liczne umiejętności, panno Quinn, ale kłamać pani nie potrafi.

Czuła do niego obrzydzenie, a jednak nawet nie drgnęła. Z pewnością taka reakcja by go ucieszyła. Byłby to dowód, że udało mu się wytrącić ją z równowagi.

- Słucham?

Zaczął kciukiem przesuwając po jej wargach. Robił to delikatnie, nie miała jednak wątpliwości, że te szczupłe palce w każdej chwili mogą otoczyć jej szyję i pozbawić ją życia.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

- Jest pani kimś więcej niż tylko kolejną kochanką. - Nacisnął kciukiem tak mocno, że jej wargi się rozwarły. - Zanim spróbuje pani przekonać mnie o tym, że niewiele pani znaczy dla Edmonda, proszę przyjąć do wiadomości, że poświęciłem długie miesiące na obserwowanie jego zwyczajów.

- Nie miał pan nic ciekawszego do roboty?

- Niestety, to była konieczność. Jedyna droga do pokonania wroga wiedzie przez poznanie jego silnych i słabych punktów. Pani, *ma belle**, jest z całą pewnością jego słabym punktem.

- Absurd. Nie liczę się w jego życiu.

* *Ma belle* (franc.) - moja piękna, moja pięknotko (przyp. tłum.).

Zapanowało przedłużające się milczenie, w czasie którego Wiktor pilnie obserwował Briannę. Następnie wrócił do swojej poprzedniej pozycji i wsunął pistolet do kieszeni płaszcza. W ten sposób dawał Briannie do zrozumienia, że czuje się panem sytuacji i ona nie może nic na to poradzić.

- Intryguje mnie jedna kwestia, a mianowicie jak Stefan przyjął zdradę brata - wycedził. - Byli sobie bardzo oddani, sądzę jednak, że uwiedzenie narzeczonej poruszyłoby nawet dobrodusznego Stefana.

Brianna milczała. Co za licho podsunęło Edmondowi pomysł ogłoszenia ich zaręczyn, gdy podawał się za księcia Huntleya? Od początku wiedziała, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Nie dbała o plotki na swój temat, ale Stefan zasługiwał na lepsze traktowanie.

- Co pan zamierza zrobić ze mną?

- Nic, cieszyć się pani towarzystwem. - Nieprzyjemny, obleśny uśmiech wykrzywił cienkie usta Wiktora Kozakowa. - I oczywiście zagwarantować sobie odpowiednie postępowanie Edmonda.

Niepotrzebna była przenikliwość, aby zauważyć, że radość Wiktora Kozakowa z przechytrzenia Edmonda wykraczała poza zwykłą satysfakcję z wystrychnięcia oponenta na dudka. Była zbyt emocjonalna, zbyt osobista. W danym momencie Brianna była jednak bardziej zainteresowana odkryciem, dlaczego została uprowadzona.

- Odpowiednie postępowanie? - powtórzyła.

- Jestem pewien, panno Quinn, że pani wie, iż pani kochanek wtrąca się w sprawy rosyjskiego dworu, chociaż nie powinny go wcale obchodzić.

- Takie sprawy jak zdrada stanu?

- O zdradzie stanu będzie można mówić wtedy, gdy nam się nie powiedzie. Kiedy nam się uda, nazwą nas wyzwolicielami.

Temu człowiekowi nie brakowało bezczelności, żeby włożyć koronę na własną głowę, uznała Brianna. Pod warunkiem, że znajdzie się dostatecznie duża, żeby pasowała.

- Sądzi pan, że trzymanie mnie w charakterze zakładniczki zwiększy wasze szanse?

- Przynajmniej zapobiegnie ingerencji lorda Edmonda w nasze plany.

Powóz wykonał gwałtowny skręt, przechylając się niebezpiecznie na bok, nim ponownie opadł na cztery koła. Jak tak dalej pójdzie, to jeszcze przed wschodem słońca wyląduję w rowie ze skrzyconym karkiem, pomyślała Brianna.

- Twierdził pan, że dobrze poznał zwyczaje Edmonda. Jeśli to prawda, to nie jest pan zbyt uważnym obserwatorem.

Nawet nie próbowała maskować kpiny. Kozakow musiał przecież wiedzieć, że lojalność Edmonda wobec cara jest poza dyskusją.

- Jest różnica między odwagą a głupotą, panno Quinn. - Ciemne oczy błysnęły złością. - Proszę mnie nie prowokować.

Uśmiechnęła się z przymusem. Nie zamierzała bardziej prowokować Kozakowa.

- Chciałam tylko powiedzieć, że Edmond uczynił celem swego życia dbałość o bezpieczeństwo Aleksandra Pawłowicza. Nic, nawet uprowadzenie kochanki, nie odwiedzie go od wykonywania obowiązków.

- Nie - warknął, zły, że być może jest to prawdą. Nie chciał dopuścić myśli, że mógł pomylić się w kalkulacjach. - Edmond zaryzykował wszystko, co jest mu drogie, nawet stosunki z bratem, żeby zatrzymać panią przy sobie. Poza tym widziałem dzisiaj was dwoje w ogrodzie.

Zadrzała pod kocem.

- Szpiegował nas pan?

- Oczywiście. - Znowu się uśmiechnął. - Muszę wyznać, że raczej się ubawiłem, widząc, z jakim przejęciem i czułością Edmond odnosił się do pani. Na punkcie pani wyraźnie zwariował.

Przez sekundę poczuła miłe ciepło w sercu, szybko jednak oprzytomniała. Jakie to ma znaczenie, że Wiktor Kozakow jest taki głupi, że myli namiętność z czułością? Ona na pewno takiego błędu nie popełni.

- Zwariowany czy nie, nie zapomni o swoich obowiązkach - odezwała się głosem ostrzejszym, niż zamierzała. - On nie zawiedzie.

- Będzie lepiej, jeśli się pani pomyli, *ma belle*.

Wolała nie zaostrać sytuacji. Wiktor Kozakow był przekonany, że skutecznie powstrzymał Edmonda od interwencji w stłumienie spisku. Rozzłości go tylko, upierając się, że uprowadzenie niczego nie zmieni. W gruncie rzeczy

nie była pewna, co ją czeka, gdy Kozakow się zorientuje, że jego pomysł zawiódł. Raczej nic dobrego, uznała. Z trudem panując nad sobą, zapytała:

- Dokąd pan mnie wiezie?

- Mimo pani nadmiernej skromności i zapewnień, że Edmond nie jest panią zajęty, ani przez moment nie wątpiłem, że on ruszy pani na ratunek. Obiecałem... swoim przyjaciółom, że wywabię go z Petersburga, może nawet aż do Nowogrodu.

Udało się jej stłumić okrzyk rozpacz. Jak daleko jest z Petersburga do Nowogrodu? Godzina, dzień, a może tydzień drogi? I najważniejsze, jak zdoła kiedykolwiek wrócić, zakładając, że uwolni się z rąk Kozakowa, zanim ten...

Nie. Nie podda się rozpacz. Co może zrobić? Możliwości było niewiele, lecz to nie znaczy, że nie istniały. Próbowała przypomnieć sobie wszystko, co Edmond mówił o Kozakowie: przebiegły, wpływowy i obsesyjnie dążący do obalenia Aleksandra Pawłowicza, a także próżny, samolubny i żądny zaszczytów. Oznaczało to, że nie będzie zachwycony drugorzędną rolą, podczas gdy inni zgarną uznanie za przewodzenie rewolucji.

- Tak daleko? - zapytała z udawanym zdziwieniem. - Myślałam, że pana obecność w centrum wydarzeń w decydującym dla kraju momencie miałaby rozstrzygające znaczenie.

Sądząc po wyrazie jego twarzy, Brianna doszła do wniosku, że trafiła w słaby punkt.

- To dzięki mnie wszystko stało się możliwe - powiedział chełpliwie.

- Rozumiem. To nie pan kieruje konspiracją?

Zaczerwienił się. Trudno było odgadnąć, czy irytowało go to indagowanie, czy świadomość, że główne wydarzenia toczą się poza jego kontrolą.

- Nie przeczę, że jestem... rozczarowany, iż nie mogę się przyglądać ostatecznej destrukcji władzy Romanowów. W końcu to ja do tego dążyłem od

momentu, w którym Aleksander Pawłowicz morderstwem utorował sobie drogę do tronu.

- Tak, to nie w porządku, że pan jest uwięziony w tym powozie, podczas gdy inni świętują zwycięstwo. - Brianna sączyła truciznę. - A może nawet nie tylko świętują.

- Co dokładnie ma pani na myśli, *ma belle*?

Nie musiała pozorować drżenia. Mimo grubego koca chłód w powozie przenikał ją do szpiku kości. Kiedyś w dzieciństwie też wydawało się jej, że zamarźnie, gdy przypadkowo zatrzasnęła się w spiżarni w domu ojca. Wtedy Edmond usłyszał jej krzyki i ją uwolnił. Tym razem może liczyć tylko na siebie. Zadziwiająca, ale ta konstatacja ją wzmocniła.

- Jeśli zamach stanu się powiedzie, zacznie się szaleńczy wyścig do władzy, prawda? Jak sięgnie pan po należną mu część, będąc w Nowogrodzie? - Udała, że nagle ją oświeciło: - No tak, bez wątpienia właśnie dlatego przypadło panu zadanie uprowadzenia mnie.

- Nic pani nie wie o moich rodakach. Ufam im do tego stopnia, że gotów byłbym powierzyć im swoje życie. Nie będzie żadnego szaleńczego wyścigu, jak pani to określiła. Tron zostanie oddany najgodniejszemu.

- Komu zatem?

- O tej ważnej sprawie zdecyduje rosyjska szlachta.

Wypowiedział to zdanie dość gładko, chyba powtarzał je nie po raz pierwszy. Brianna wyczuła jednak, że opanowany żądzą władzy Wiktor Kozakow jest zaniepokojony. A może jednak nie ufał bezgranicznie swoim kolegom?

- No cóż, jestem pewna, że pan wie najlepiej.

- Wiem, do czego pani zmierza.

- Naprawdę? - Wzruszyła ramionami. - Do czego?

- Nie przekonała mnie pani, że jest przelotną miłością Edmonda, który będzie gotów rzucić panią na pożarcie wilkom. Teraz chce mnie pani skłonić do

powrotu do Petersburga, usiłując mi wmówić, że czeka mnie zdrada ze strony towarzyszy broni.

Brianna nie próbowała przeczyć. Nieważne, że słusznie czy niesłusznie podejrzewał ją o podsycanie jego instynktownej nieufności. Wiedziała, że jej słowa trafiły na podatny grunt.

- Nawet pan musi przyznać, że byłoby ironią losu ufać tym, którzy połączyli się w imię nielojalności - ciągnęła niezmordowanie. - Ludzie z silnym kręgosłupem moralnym nie spiskują. Byłabym skłonna twierdzić, że taki niecny cel przyciąga tylko tych, którzy nie mają sumienia oraz skrupułów.

- Obrażano mnie przy różnych okazjach i w wielu językach, ale nigdy tak umiejętnie i w pozornie dobrej wierze.

Był wściekły, Brianna uprzytomniła sobie, że posunęła się za daleko.

- Biedny Edmond. Jest pani sprytną i niebezpieczną młodą damą.

Odwróciła twarz do okna, za którym wirowały płatki śniegu. Wołała unikać jego poirytowanego wzroku.

- Nie tak znowu sprytną, skoro dałam się uprowadzić i teraz marznę na kość w tym powozie, który utknie w zaspach, zanim zdążymy dojechać do Nowogrodu.

Kozakow poruszył się na siedzeniu.

- Niech się pani pocieszy, że jeśli utkniemy w zaspach, to pani kochanek prędzej nas dogoni i umieści kulę w moim sercu - kpił z niej, bo chciał zamaskować rosnące zaniepokojenie. - Wróci pani do Petersburga i wszystkich wygod, jakich pani potrzebuje.

- Zakładając, że Edmond zechce zaryzykować i ruszyć mi na ratunek, skąd będzie wiedział, na której drodze nas szukać? Zostawił pan mi jakieś wskazówki?

- Widocznie nie zna pani Edmonda Summerville'a tak dobrze, jak przypuszczałem. Ten bastard śledził każdy mój krok. Nie mogłem kichnąć, żeby

się o tym nie dowiedział. Zastanawiałem się niekiedy, czy nie posługuje się jakimiś czarami.

Rozum podpowiedział Briannie, żeby się nie roześmiać.

- Jeśli to prawda, to dlaczego nie boi się pan, że nas wyprzedzi?

- Jakiś czas potrwa, zanim odkryje, że została pani uprowadzona, potem będzie musiał trafić na nasz ślad. Na marginesie, moi ludzie uważnie obserwują drogę. Mają rozkaz strzelania do każdego, kto nas będzie gonił. Przy odrobinie szczęścia strzał któregoś z nich może okazać się celny...

- Nie!

- Proszę wybaczyć. Teraz widzę, że Edmond nie jest jedyną osobą, którą dosięgła strzała Amora.

Byłoby jej łatwiej zaprzeczyć, gdyby nie czuła, jaki ból sprawia jej sama myśl, że Edmond znajduje się w niebezpieczeństwie. Och, Boże! Jaka była głupia!

- Co się stanie, jak już dojedziemy do Nowogrodu? - zapytała, desperacko próbując przestać o tym myśleć.

Wiktor wyjrzał przez okno powozu. Na jego twarzy pojawiło się zdecydowanie.

- Właściwie dochodzę do coraz silniejszego przekonania, że nie będzie potrzeby jechać aż tak daleko.

- Wracamy?

- My? Nie! - Uśmiechnął się drwiąco.

- Co to ma znaczyć?

- Wystarczy, że wywabiałem Edmonda z miasta. Niedaleko stąd jest cerkiew. Zostawię tam panią, związaną i zakneblowaną, a sam wrócę do Petersburga.

Brianna przycisnęła dłoń do brzucha. Nie wiedziała, jak to jest spodziewać się dziecka. O takich sprawach nie rozmawiało się w towarzystwie, matka też nie podejmowała tego rodzaju tematów. Była jednak na tyle

inteligentna, aby się domyślić, że sytuacja, w jakiej się znajdowała, mogła zaszkodzić życiu maleńkiej istoty, rozwijającej się w jej wnętrzu.

- Zamarzę na śmierć!

- Jest szansa, że zanim spotka panią taka tragedia, pani obecność odkryje pop albo pojawi się Edmond.

- Proszę... niech pan tego nie robi... - Urwała, widząc, że jej błagania wywierają skutek przeciwny do zamierzonego.

Ten bezwzględny brutal gotów jeszcze wyrzucić ją z pędzącego powozu, jeśli go rozdrażni. Myślała, że dzięki swojemu sprytowi przekonała go o możliwości zdrady ze strony towarzyszy. Zakładała, że wracając do Petersburga, zabierze ją ze sobą. Głupia.

- Dobrze, że przestała mnie pani błagać - powiedział, wyciągając pistolet z kieszeni płaszcza. Wycelował go ponownie w jej serce. - Nie znoszę kobiecych łez.

Wcisnęła się w kąt powozu, szczelniej otulając się kocem. Próbowwała zebrać myśli. Obiecała sobie, że przetrwa, choć nie wiedziała, jak to zrobi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Niewielki zagajnik był wymarzonym miejscem na chwilowy postój. Stanowił doskonały punkt obserwacyjny, skąd widać było nielicznych podróżnych, którzy wybrali się w drogę mimo zamieci śnieżnej i niskiej temperatury, dawał też naturalną osłonę przed porywistym wiatrem. Niestety, mało skuteczną. Edmond trzął się z zimna pod grubym płaszczem.

Wania próbowała przekonać go, żeby wziął jej powóz i eskortę. Argumentowała, że gdy uratuje Briannę, lepiej nie wieźć jej na końskim grzbiecie, gdy za całą garderobę będzie miała szlafrok i narzucony w pośpiechu na plecy koc. On jednak nie słuchał prośb i narzekań Wani. Kiedy już będzie miał Briannę w ramionach, zacznie się martwić o pojazd i okrycie. Teraz liczyło się jedynie to, żeby jak najszybciej dogonić Wiktora Kozakowa.

Oddech wydobywający się z chrap końskich tworzył obłoki pary w mroźnym powietrzu. Poprzez drzewa majaczyła sylwetka Borysa, który zdążył dołączyć do Edmonda, zanim ruszył w pogoń za Kozakowem, i nalegał, żeby Edmond zabrał go ze sobą. W tej chwili Borys przepytывał młodego wieśniaka, który przed zajazdem pomagał pasażerom wysiadać z unieruchomionych w śniegu powozów.

Nieobecność Borysa trwała zaledwie kilka minut, ale Edmond bardzo się niecierpliwił. Każda sekunda oddalała go od Brianny. Chciało mu się wyć z bezsilnej złości. Świadkowie, którzy widzieli, jak Kozakow uciekał z Brianną z domu Wani, powiedzieli, że porywacz skierował się na południowy trakt. Edmond zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli on zgubi trop, Brianna może przypłacić to życiem.

W śnieżnej zamieci droga była ledwie widoczna. Była to ta sama droga, którą sześćdziesiąt lat temu jechała na koronację do Moskwy caryca Katarzyna. Mówiono, że jej sanie były tak wielkie, że mieściły sypialnię i bibliotekę, a orszak monarchini rozsypał wśród gapiów przyglądających się jego przejazdowi

pół miliona srebrnych monet. Aleksander Pawłowicz, wnuk Katarzyny, nawet gdyby zdobył się na podobną hojność, nigdy nie mógłby liczyć na takie objawy miłości i lojalności ze strony poddanych jak caryca. Na dodatek liczni wrogowie nieustannie próbowali pozbawić go władzy.

Edmond miał wyrzuty sumienia, że porzucił obowiązki, zmuszając tym samym Herricka do samodzielnego rozprawienia się ze spiskowcami. Miał jednak nadzieję, że stary dworak sobie poradzi. Po latach oddanej służby carowi i władzy Romanowów Edmond zdał sobie sprawę, że najważniejszą osobą na świecie stała się dla niego pewna dziewczyna o szmaragdowych oczach i złotych włosach. Tylko ona zdolna jest zappełnić emocjonalną pustkę po zmarłych tragicznie rodzicach, nadać znaczenie jego pustej egzystencji.

Spadło to na niego nieoczekiwanie. Przestały prześladować go upiory przeszłości. Liczyła się tylko Brianna. Nie może jej stracić! Nie teraz, gdy pojął, że ją kocha.

Borys skończył wypytywać chłopaka przez zajazdem i jego sylwetka rysowała się coraz wyraźniej między drzewami zagajnika.

- I co? - zapytał niecierpliwie Edmond, nie czekając, aż Borys zatrzyma konia.

- Widziano powóz Wiktora niecałe pół godziny temu. Chłopak jest pewny, że skręcił w lewo na rozwidleniu drogi. Zapamiętał go, bo omal nie wyrócił się do rowu na zakręcie. Liczył na suty napiwek za pomoc w wyciągnięciu go na drogę, gdyby tak się stało.

- Jada do Nowogrodu, nie do Moskwy.

- To może być podstęp. Wiktor Kozakow chciał, żeby zauważono wyjazd jego powozu z Petersburga po to, żeby pan skupił na nim uwagę. Tymczasem on może ukrywać się w innym, mknącym w przeciwną stronę powozie.

Edmond pokręcił przecząco głową.

- Nie, tym razem on zmierza do bezpośredniej konfrontacji. Nie ucieknie się do takiego triku.

- Oby pan miał rację. Jeśli nie...
- Dosyć! Znajdziemy pannę Quinn, bądź pewien.

Edmond wyprowadził konia z lasku. Borys podążył za nim. Wiedział, że dalsza dyskusja jest bezcelowa. Minęli zajazd, przed którym służba pracowicie odśnieżała zasypywaną nieustannie śniegiem drogę.

- Zaskakujesz mnie, Borysie - odezwał się po pewnym czasie Edmond.
- Dlaczego?

- Spodziewałem się raczej, że będziesz mnie przekonywał, żebyśmy zostali w Petersburgu, gdzie mógłbyś uczestniczyć w zdławieniu spisku i oczekiwać nagrody z tego tytułu.

- Rozbiliśmy wiele sprzysiężeń i nigdy nie doczekałem się nagrody. Cholera, nawet nikt mi za nic nie podziękował.

Tak było istotnie. O udaremnieniu kolejnego spisku najczęściej wiedział tylko ścisły krąg oficjeli dworskich. Mimo to Borys z poświęceniem tropił konspiratorów, może z większym nawet niż Edmond. Było do niego niepodobne, że obecnie bez szemrania odmówił sobie przyjemności uczestniczenia w kolejnym polowaniu.

- Myślę, że car by mi nie odmówił, gdybym zażądał dla ciebie medalu - stwierdził złośliwie Edmond. - On uwielbia takie fety.

- Boże uchwaj - zgorszył się Borys.

- Swoją drogą, dlaczego tak gorliwie angażujesz się w poszukiwanie panny Quinn, zamiast w ściganie zdrajców?

Borys spojrzał na Edmonda spode łba. Wiedział, że nie uda mu się zbyć go byle czym.

- Wiktor Kozakow nasłał na mnie zbira, który pozbawił mnie przytomności, a potem uwięził w piwnicy. Czy to nie dostatecznie wyjaśnia, dlaczego będę go ścigał do samych bram piekła?

- Obiecałem przyprowadzić go z powrotem do Petersburga, mógłbyś i tak wziąć na nim odwet.

- Wolę nie czekać. Im szybciej dostanę go w swoje ręce, tym lepiej.
- Czy to możliwe, że wątpisz w moje możliwości pochwylenia zdrajcy?
- W żadnym wypadku.
- To powiedz prawdę. Borys westchnął ciężko.
- Po pierwsze, bardzo polubiłem pannę Quinn... a po drugie...
- No, śmiało!
- Zanim opuściliśmy Londyn, dostałem list od Janet. Groziła mi, że jeśli jej pani dozna jakiegokolwiek uszczerbku w Rosji, nawet siniaka, to gorzko pożałuję.
- Zaiste, silna motywacja.
- Nie to mną kierowało.
- Zdziwiasz mnie. Niemal boję się zapytać: a co? - Edmond uporczywie wpatrywał się w twarz przyjaciela.
- Wzgląd na pana.
- Borysie, jestem może wymagającym panem, ale nigdy nie zmuszałem cię do niczego groźbą.
- Nie o to chodzi. Nie mogę ścierpieć myśli, co stałoby się z panem, gdyby coś złego miało się przytrafić pannie Quinn - wyjaśnił Borys i skupił uwagę na drodze.

Jechali w milczeniu, nie zważając na nieprzerwanie padający śnieg i dotkliwie zimno. Było im znacznie łatwiej niż Wiktorowi, którego powóz mógł w każdej chwili utknąć na zaśnieżonej drodze. Jeśli koń nie poślizgnie się i nie wpadnie do rowu ze złamaną nogą, Edmond powinien dogonić Briannę w ciągu najbliższej godziny. Ręce drętwiały mu z zimna, twarz piekła od lodowatego wiatru.

- Widzę jakiś powóz przed nami - odezwał się nagle Borys, wskazując ręką majaczący w oddali cień. - Utkwił w zaspie?

- Nie wiem, ale sprawdzę to.

Edmond zeskoczył z konia, owinał wodze wokół najbliższego drzewa.

- Ty zostań.

- Co to, to nie. - Borys także zeskoczył ze swojego wierzchowca. - Pewnie pan nie zauważył, że ma eskortę. Na poboczu stoi chyba z pół tuzina jeźdźców.

- Dobrze. W tej chwili chcę tylko upewnić się, że jest to pojazd Wiktora, a nie pułapka.

Borys kiwnął głową i obaj ruszyli skrajem drogi. Nagle drzwi powozu otwarły się i z jego wnętrza została wypchnięta na ośnieżoną drogę owinięta w koc kobieca postać.

- Brianna - powiedział Edmond, zrywając się dobiegu.

Borys osadził go w miejscu, silnie chwytając za ramię.

- Niech pan czeka - wyszeptał Edmondowi do ucha na widok Kozakowa, który też wysiadł z powozu i przystawił dłoń do pleców Brianny. - On ma pistolet.

Zamarli. Kozakow prowadził Briannę dróżką wiodącą do cerkwi, której cebulaste kopuły i podparte na spiczastych łukach szczyty dachu wyraźnie odcinały się od białego jak mleko nieba. Drewniana budowla nie wyróżniała się niczym szczególnym, była jak tysiące innych cerkwi w całej Rosji.

- Dlaczego idą do cerkwi? - wyszeptał Borys.

- Chyba chce ją tam ukryć, żeby móc wrócić do Petersburga.

- W takim razie powinniśmy poczekać, aż odjedzie. Chyba że... - Borys zacisnął rękę na ramieniu Edmonda.

Jak wszystkie cerkwie w Rosji, ta też była zbudowana na planie krzyża z ołtarzem umieszczonym tak, żeby „patrzył” na wschód. Brianna udała, że potknęła się na progu, żeby zyskać czas na rozejrzenie się po niewielkiej nawie.

Na wprost wejścia znajdowały się ikony z pulpitemi na woskowe świece - niektóre się paliły - i z kadzielnicami wypełnionymi wonnościami. W odróżnieniu od kościołów angielskich nie było tu ławek dla wiernych. Ci mieli się modlić na stojąco. Brianna stwierdziła, że w opustoszałej świątyni nie ma

nic, co nadawałoby się do użycia jako broń, nie ma też gdzie się schronić, gdyby udało się jej uwolnić z rąk porywacza.

Wiktor popędzał ją do przodu lufą pistoletu.

- Nie zatrzymuj się, bo cię wniosę - ostrzegł ją, zatrzasnąwszy za sobą ciężkie, drewniane drzwi.

- Nie zatrzymuję się, tylko zmarzły mi nogi.

- Do ołtarza! - Popchnął ją brutalnie.

- Do ołtarza?

Drewniany ikonostas oddzielał nawę od prezbiterium. Nie wiedziała, jak są urządzone rosyjskie cerkwie, ale zorientowała się, że za drewnianym ekranem z ikonami jest troje drzwi wiodących prawdopodobnie w stronę ołtarza. Każde z tych drzwi były przeznaczone dla innych kategorii duchownych, kobietom nie wolno było wchodzić do części nawy znajdującej się za ekranem.

- Chcesz, żeby pokarał mnie Bóg?

- Jesteś prawosławna? - Nie przestał jej popychać.

- Nie, ale wolałabym nie kusić losu. Zwłaszcza gdy mam przystawiony do pleców pistolet.

- Godna pochwały ostrożność. Jeśli będziesz robiła to, co ci każę, może dożyjesz dalszego ciągu tej historii.

Brianna potknęła się na progu drzwi wiodących za ikonostas. Tym razem wcale nie udawała. Nie czuła stóp.

- Ładna nazwa na określenie krwawego przewrotu - powiedziała.

- Krew oczyszcza.

- Nie pana krew ma spełnić tę oczyszczającą funkcję.

- Słuszna uwaga. Ulice spłyną krwią Romanowów. Dopiero wtedy nasze sławetne imperium zajmie należne mu miejsce w świecie.

- Z panem na tronie carskim?

- Możliwe.

- Świetlana perspektywa.

Oparła się plecami o bogato zdobiony ołtarz. Kozakow stanął obok niej. Jakie są jego zamiary? Postrzeli ją i zostawi, żeby umarła? A może okaże się na tyle litościwy, że porzuci ją i wróci do stolicy?

Wyciągnął zza pazuchy płaszcz zwinętą linę.

- Klękaj - rozkazał.

Cofnęła się o krok, ale szarpnięciem za ramię przyciągnął ją do siebie.

- Powiedziałem, że jeśli będziesz posłuszna, to cię nie zabiję. Chcę mieć pewność, że nie podniesiesz krzyku, zanim nie dojadę do Petersburga.

- Chce pan mnie związać tą liną?

- Jesteś równie inteligentna jak piękna - zadrwił.

- Proszę... Co będzie, jeśli Edmond nie pojechał naszym tropem. W taką zamięć upłynie wiele dni, zanim ktoś pojawi się w cerkwi.

- Pokładasz zadziwiająco mało wiary w swojego kochanka, *ma belle*. -

Kozakow wyciągnął dłoń, żeby pogłaskać ją po policzku.

Szarpnęła się, bo robiło się jej niedobrze na myśl, że mógłby jej dotknąć.

- Mówiłam panu, że on poświęcił się służbie carowi.

- To wielka szkoda. Nie wątpię, że do końca życia będzie go prześladował widok pani zamarznętego ciała leżącego na ołtarzu, pani pięknych oczu z na zawsze utrwaloną daremną nadzieją na ocalenie.

- Czy myślał pan kiedyś o karierze scenicznej? Oczy Kozakowa zapłonęły gniewem na tę ledwie maskowaną pogardę.

- Na kolana!

Edmond wślizgnął się do cerkwi, szybko zamykając za sobą drzwi, żeby podmuch powietrza nie zgasił palących się świec. Przywarł do ściany i rozejrzał się po pustej nawie. Zrozumiał, że Wiktor zmusił Briannę do przejścia za ikonostas. Po co?

Za drewnianą przegrodą najpierw dostrzegł Wiktora. Stał przy ołtarzu z pistoletem w dłoni. Zrobił krok do przodu i ujrzał Briannę: drobne ciało

owinięte kocem, kredowobiała twarz okolona opadającymi do ramion włosami. Wyraz jej twarzy przeraził Edmonda. Ten buntowniczo wzniesiony podbródek, zacięte wargi. Najwyraźniej zamierzała zrobić coś niewiarygodnie głupiego. Zaledwie zdążył o tym pomyśleć, zauważył, że upuściła koc, wytrąciła pistolet z dłoni Wiktora i rzuciła się do wyjścia z prezbiterium.

- Brianno... nie! - wykrzyknął Edmond i ruszył w stronę Wiktora, który wczuł się pod ołtarz w poszukiwaniu pistoletu.

Edmond nie zdążył. Kozakow uniósł pistolet i wymierzył do uciekającej Brianny. Rozległ się odgłos wystrzału, który przeszył serce Edmonda niczym cios sztyletu. Stał bezradnie i patrzył, jak Brianna zatrzymuje się, a potem powoli osuwa na kamienną posadzkę świątyni.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Nie! Edmond miał tylko jedno pragnienie: pochwycić ją w ramiona i nigdy nie pozwolić jej odejść. Tymczasem Wiktor stał już nad Brianną. Odrzucił pistolet na bok, w rękę trzymał sztylet.

- Ona żyje, milordzie, ale nie zbliżaj się, bo dokończę dzieła.

- Ty łotrze! - Edmond znieruchomiał. Brianna nie była martwa, przestał się bać. - Odsuń się od niej, Kozakow, bo cię obedrę żywcem ze skóry i rzucę na pożarcie wilkom.

- Byłem przekonany, że za nią popędzisz.

- Czyżby? - Edmond ze wzrokiem wbitym w Wiktora wsunął rękę do kieszeni, gdzie ukrył nabity pistolet. - Skąd ta pewność?

- Widziałem was w ogrodzie Pietrowej. - Wiktor zaśmiał się drwiąco. - Rzadki to był widok. Wzruszył mnie twój cielęcy zachwyty.

- To wiesz, że cię zabiję za to, że ośmieliłeś się jej dotknąć.

Mimo zimna panującego w cerkwi na czole Wiktora pojawiły się kropelki potu.

- Rzuć pistolet, który chowasz w kieszeni. - Wycelował sztylet w leżące u jego stóp nieruchome ciało Brianny. - Powoli.

Z trudem nad sobą panując, Edmond wyciągnął broń, schylił się i rzucił ją na podłogę w stronę Wiktora.

- Masz.

- Doskonale. - Kozakow złapał pistolet i wymierzył go w Edmonda. - Wyobrażam sobie, że mógłbym przywyknąć do obsypywania cię orderami. Kiedy zainstaluję się w Pałacu Zimowym, może zatrzymam cię w charakterze nadwornego błazna.

- W Pałacu Zimowym - powtórzył jak echo Edmond.

Nie musiał udawać wesołości. Uświadomienie Wiktorowi, że jego plany przewrotu pałacowego spaliły na panewce, sprawiało mu jeszcze większą przyjemność niż pozbawienie go życia.

- Naprawdę wierzysz, że Grigorij Rimski cię tam wpuści, jak przejmie władzę?

- Skąd wiesz...

Wiktor poszarzał na twarzy. Zdał sobie sprawę z tego, że Edmond odkrył, kto przewodził sprzysiężeniu. Próbował robić dobrą minę do złej gry.

- To bez znaczenia. Za późno. Nie zdołasz zapobiec powstaniu. Do rana Rosja zrzuci okowy Romanowów.

Zimny, bezlitosny grymas wykrzywił wargi Edmonda.

- Nie potrzebowiałem osobiście przykładać do tego ręki, Wiktorze. Herrick z radością przejął kontrolę nad sytuacją. Do rana Grigorij, twój kuzyn i żołnierze z Siemianowskiego, którzy do tego stopnia stracili głowę, że przyłączyli się do waszej zdradzieckiej konspiracji, będą aresztowani w koszarach, gdzie poczekają na powrót Aleksandra Pawłowicza.

- Jak to?!

- Fiodor Dubow to dureń.

- Wiedziałem, że nie można na nim polegać. Edmond wzruszył ramionami. Jego uwagę skupiła Brianna, która poruszyła się na podłodze.

- Przegrałeś, Wiktorze. Nie pozostaje ci nic innego, jak zaakceptować z godnością porażkę.

- Z godnością? - Wiktor spoglądał na Edmonda z nieukrywaną odrazą. - Summerville, chyba nie wierzysz, że pójde do piekła z dumnie podniesioną głową. Gotów jestem poświęcić wszystko i wszystkich, żeby ocalić skórę.

- Czego chcesz?

- Chcę bezpiecznie opuścić ten przeklęty przez Boga kraj. - Potoczył naokoło wzrokiem, jakby czuł, że mury wokół niego się zamykają.

- Chyba nie mówisz serio, Kozakow. Dopuściłeś się zdrady stanu. Nie umkniesz przed ręką sprawiedliwości.

- Umknę, bo ty mi pomożesz.

- Ja?

- Ty. Chyba że panna Quinn miała rację i bardziej jest ci drogi car niż życie twojej kochanki.

Mon Dieu. Czyżby Brianna naprawdę wierzyła, że on pozwoli jej umrzeć? Że poświęci ją, powodowany poczuciem obowiązku wobec Aleksandra Pawłowicza? Dlaczego miałyby tak nie myśleć? - zreflektował się Edmond. Już miał zgodzić się na żądania Wiktora, gdy spostrzegł, że Brianna obróciła się na bok i patrzy na niego rozszerzonymi źrenicami. W dłoni trzymała sztylet porzucony przez Wiktora w chwili, gdy sięgał po pistolet Edmonda. Uniosła ramię i wbiła ostrze w nogę Wiktora, tuż powyżej cholewy buta.

W tym momencie Edmond rzucił się na Wiktora. Upadli razem na kamienną posadzkę. Wiktor uderzył o nią głową. Uderzenie było tak silne, że stracił przytomność. Przeklinając, Edmond zerwał się na nogi i doskoczył do Brianny. Jej szlafrok był zaplamiony krwią. Wyglądała jak podcięty kwiat, jej skóra była niemal przezroczysta. Na twarzy malował się ból.

Zawahał się. Bardzo chciał porwać ją w ramiona, ale był kilka razy ranny i wiedział, jak musi się czuć. Lepiej nie zadawać jej dodatkowych cierpień. Zdobył się jedynie na delikatne odgarnianie włosów z jej przeraźliwie bladej twarzy.

- On nie żyje? - zapytała zduszonym głosem.

- Jeszcze żyje.

Spróbowała podnieść się z podłogi.

- Nie ruszaj się, Brianno. Wiktor Kozakow już ci nie zagrozi. Obiecuję.

Opadła z jękiem.

- Edmondzie... - Urwała, po czym z trudem odetchnęła. - Nie powinienes tu być.

Nie miał jej za złe, że tak mówi. Zdjął płaszcz i troskliwie otulił nim jej drżące ciało.

- To takiej wdzięczności może spodziewać się dżentelmen, który ryzykuje zamrożeniem, nie mówiąc już o zniszczeniu pary dobrych butów podczas szaleńczej jazdy? - zapytał żartobliwym tonem.

- Powinienes wracać do Petersburga.

- Taki jest mój zamiar, muszę tylko zorganizować powóz dla ciebie.

Błagam o cierpliwość.

- Nie. - Pokręciła głową, krzywiąc się przy tym z bólu. - Użyli mnie w charakterze przynęty. Dziś w nocy planują zamach.

- Cicho. - Położył delikatnie palec na jej ustach. - Wiem o tym.

- Musisz ich powstrzymać.

- Ktoś inny tym się zajmie. Liczysz się tylko ty.

- Ale...

Skrzypnęły drzwi. Przykrył jej usta dłonią. Ciągłe klęcząc, wycelował pistolet w stronę ciemnej postaci.

- Edmondzie, niech pan nie strzela - odezwał się Borys, otrzepując się ze śniegu. - Choć może kula lepsza niż tkwienie na zewnątrz w tej zamieci.

- Czy przypadkiem nie powinieneś mieć oka na eskortę Wiktora?

Borys ogarnął wzrokiem bezwładne ciało Kozakowa i ranną Briannę.

- Może zainteresuje pana fakt, że kłóca się w tej chwili, czy wejść do cerkwi, by sprawdzić, czy Wiktorowi nie dzieje się nic złego.

- Do diabła!

Edmond zatroskanym wzrokiem obrzucił bladą twarz Brianny. Rzęsy opuszczonych powiek rzucały głębokie cienie na policzki. Ucieczka z ciężko ranną nie była możliwa.

- Ile razy ci mówiłem, że w kościele powinny być ławki? Nigdy nie wiadomo kiedy mogłyby się przydać do zastawienia drzwi.

- Myślałem, że potrzebował pan ławek, żeby móc się zdrzemnąć podczas nabożeństwa.

- Po to też. Co powiesz o ołtarzu? Czy jest tu coś, czym można by zablokować drzwi?

- Nie, chyba że znajdziemy klucz.

- Oby. Inaczej będziemy musieli ich zabić.

- Mam inny pomysł.

- Tak? Jaki?

- Trzeba odwrócić ich uwagę.

- Mogę odciągnąć kilku, ale wątpię, czy uda mi się przekonać wszystkich, żeby za mną pojechali.

- Pojadą, jeśli będą przekonani, że Wiktor im kazał.

- Może. Niestety, on w tej chwili nie jest w nastroju do współpracy.

- Zobaczymy.

Borys patrzył w milczeniu, jak Edmond zdejmuje z leżącego Wiktora płaszcz i wkłada go na siebie, po czym nasadza na głowę jego kapelusz i owija szyję szalem.

- Myśli pan, że w tym przebraniu wezmą pana za Kozakowa?

- Więcej wiary - mruknął Edmond.

Podniósł koc i z najwyższą ostrożnością owinął nim drżącą Brianę, na koniec okrył ją jeszcze własnym płaszczem. Jęknęła z bólu, gdy delikatnie unosił ją z posadzki.

- Spokojnie, *ma souris*.

- A co ja mam robić? - zapytał Borys.

- Wsiadaj na swojego konia. Gdy pokażę się w drzwiach i zacznę krzyczeć, pogalopuj w dół drogi, starając się uczynić jak najwięcej hałasu.

- A pan?

- Kiedy eskorta Kozakowa puści się w pogoń za tobą, wyniosę Brianę do powozu i skłonię stangreta, żeby nas zawiózł do Petersburga. - Edmond zgromił Borysa wzrokiem, widząc, że chce zaprotestować. - W tym zamieszaniu i w tej zamieci bez problemu wezmą mnie za swojego pana.

Borys uśmiechnął się bez przekonania, wcisnął do kieszeni pistolet i skierował się ku bocznemu wyjściu.

- Brzmi to tak absurdalnie, że może się udać.

- Albo zginiemy wszyscy. - Edmond powiedział na głos to, o czym obaj pomyśleli.

- Im szybciej się to rozstrzygnie, tym lepiej. Proszę mi dać dziesięć minut, żebym odnalazł konia, zanim zaczniesz pan krzyczeć.

- Borys - odezwał się Edmond łagodnym tonem - jak oddalisz się od cerkwi, chciałbym, żebyś pozbył się tych, którzy będą cię gonili, i wrócił do Petersburga.

- Ma pan na głowie pannę Quinn, dlatego daje mi wolną rękę.

- Borys...

Drzwi trzasnęły, Borys zniknął. Edmond przeniósł Brianę przez całą nawę do frontowego wejścia. Odliczał w myślach, czekał, aż nabrał pewności, że Borys miał dość czasu, aby dosiąść wierzchowca. Wtedy otworzył ciężkie wrota i z nisko pochyloną głową szybko wyszedł na zewnątrz.

- To Summerville! - krzyknął do ludzi Wiktora, wskazując na pędzącego na ich oczach Borysa. Jego koń wzbijał za sobą tumany śniegu i lodu. - Nie dajcie mu uciec. Łapcie go, głupcy!

Wstrzymał oddech. Co będzie, jeśli się zorientują, że nie jest Wiktorem Kozakowem?

Jeźdźcy w pośpiechu wskoczyli na konie i ruszyli w pogoń za Borysem. Korzystając z zamieszania, Edmond brnął przez śnieżne zasy do powozu. Przez chwilę mocował się z drzwiami, ręce bowiem miał zajęte swoim cennym ciężarem.

- Do Petersburga - warknął na stangreta, który gramolił się na kozła.

- A co z Summerville'em?

- Nie zadawaj pytań.

- Tak jest, Wasza Wysokość.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Dotarli do Petersburga bez przygód. W mieście Edmond musiał uciec się do przemocy, żeby przekonać stangreta do zawiezienia ich do domu Wani. Okazało się, że w sypialni Brianny czekał osobisty chirurg cara. Lekarz próbował wyprosić Edmonda z pokoju na czas zabiegu, ale szybko zorientował się, że tylko traci czas, zabrał się więc do usuwania kuli i opatrywania rany w jego obecności.

Przez kilka godzin po zabiegu Edmond nie odstępował na krok od łóżka Brianny. Nie z poczucia winy, choć zdawał sobie sprawę, że do końca życia nie pozbędzie się wyrzutów sumienia, że naraził ją na tak wielkie niebezpieczeństwo. Ani przez chwilę nie pomyślał bowiem, że mogłaby nie wyzdrowieć. Na jej policzki wracał zdrowy rumieniec, a oddech stawał się coraz spokojniejszy. Po prostu musiał być w jej pobliżu, jak gdyby się bał, że gdy spuści z niej wzrok, ona rozplynie się w lodowatej mgle spowijającej miasto.

Wiedział, że te obawy są irracjonalne. Lekarz ostrzegł go, że Brianna będzie spała najprawdopodobniej aż do rana i nawet gdyby obudziła się wcześniej, będzie za słaba, żeby wstać z łóżka. Wiedza ta nie pomagała jednak opanować strachu, który czał się na dnie jego serca.

W sąsiednim pokoju dały się słyszeć czyjeś kroki, zapachniało świeżym chlebem. Edmond poczuł głód. Przez cały dzień Wania przysyłała mu jedzenie, nawet przyszła sama, żeby go namówić na jego ulubiony placek śliwkowy, który stał wciąż nietknięty na stoliku nocnym.

Zamiast Wani w drzwiach stanął szczupły, siwowłosy mężczyzna. Herrick Gerhardt.

- Jak ona się czuje?

- Jeśli nie dojdzie do infekcji, doktor zapewnia, że rana zablizni się w ciągu paru tygodni.

- Czy do tego jest potrzebna twoja nieustanna obecność? Trzęsiesz się nad nią jak kwoka nad pisklęciem.

- O co ci chodzi, Herrick?

- Myślałem, że może zainteresuje cię, co się stało z Grigorijem i innymi.

- Ponieważ nie słysząc odgłosów walk ulicznych, zakładam, że udaremniłeś spisek.

- No cóż, skoro nie jesteś zainteresowany...

- Czekaj.

Edmond pochylił się nad Brianną i złożył delikatny pocałunek na jej czole. Wyprowadził Herricka do saloniku, gdzie nalał sobie solidną porcję brandy i wychylił ją jednym haustem.

- Opowiadaj.

Herrick wyjął opróżnioną szklankę z rąk Edmonda i popchnął go na krzesło przy nakrytym do posiłku stoliku.

- Zjedz coś.

- Nie jestem głodny.

- Może nie, ale nie pomożesz panie Quinn, jeśli zasłabniesz z wyczerpania. - Herrick wskazał palcem wazę z pachnącą zupą gulaszową. - Masz to zjeść.

- I kto zachowuje się jak kwoka?

Edmond sięgnął po łyżkę. Zupa i grubo pokrojony chleb nie rozgrzewały tak gwałtowne jak alkohol, ale przywracały jasność umysłu.

- Powiedz wreszcie, jak to się odbyło.

- Dzięki twojemu ostrzeżeniu aresztowałem Grigorija Rimskiego, zanim zdążył wrócić do koszar.

- Żyje?

- Doszło do szarpaniny, w czasie której rozbito mu nos i złamano kilka żeber, ale wciąż oddycha. Przynajmniej do powrotu Aleksandra Pawłowicza.

Edmond wstał, żeby nalać kolejną porcję brandy. Był śmiertelnie zmęczony, ale nie mógł sobie pozwolić na odpoczynek. Brianna może go w każdej chwili potrzebować.

- Ani przez sekundę nie wątpię, że znakomicie sobie poradzisz.

Herrick się skrzywił.

- Prawdę powiedziawszy, nie obyło się bez incydentu.

Edmonda zastanowił jego poważny ton.

- Co się stało?

- Niestety, nawet bez dowódcy garstka żołnierzy zakłóciła poranny apel.

- Coś poważnego?

Herrick z głębokim westchnieniem podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

- Skończyłoby się na niczym, gdyby nie był przy tym obecny książę Michaił.

Edmond odstawił szklanekę z takim impetem, że kryształ o mało nie pękł. Bunt dojrzał i Edmond obawiał się, że interwencja znanych z ciężkiej ręki członków rodziny carskiej tylko zaostrzy sytuację.

- A co, do diabła, robił tam książę Michaił? Herrick wzruszył ramionami.

- Ja go nie zapraszałem, zapewniam cię. Nie mogłem mu rozkazać, żeby siedział w pałacu.

Edmond doskonale wiedział, jaka mogła być odpowiedź porywczego księcia na najmniejszy przejaw niesubordynacji żołnierzy.

- *Mon Dieu.*

- Właśnie. Jego reakcja była - Herrick chwilę zastanowił się nad adekwatnym określeniem - przesadna - dokończył.

- Powiedz o najgorszym.

- Pozwolił, żeby generał kazał rozebrać ich do naga i wybatożyć na oczach całego pułku, a potem zawlec za nogi do koszar.

- Któryś nie przeżył?

- Nie, ale brutalne potraktowanie wywołało szemranie wśród żołnierzy. Mieliśmy szczęście, że udało się ograniczyć bunt do zaledwie kilku pułków.

Edmond ukrył twarz w dłoniach. Nie musiał być w koszarach, aby wyobrazić sobie, jakie niezadowolenie będzie się tam teraz tliło. Kiedyś dojdzie do wybuchu, którego on z Herrickiem za wszelką cenę chcieli uniknąć.

- Obaj wiemy, że oni nigdy nie zapomną ani nie wybaczą. Obawiam się, że tylko opóźniliśmy dzień rozrachunku.

- Może - przyznał z niechęcią Herrick.

- W innych krajach, gdzie zwykli ludzie mają więcej do powiedzenia, jest spokojniej.

Twarz Herricka zmieniła się w nieprzeniknioną maskę. Choćby był bardzo niezadowolony z księcia Michaiła, pozostał lojalny wobec rodziny cara.

- Sądzę, że ktoś mądry zachowałby takie uwagi dla siebie.

Edmond uznał, że lepiej nie ciągnąć tego wątku.

- Co z Wiktorem Kozakowem?

- Znalezione go w cerkwi, gdzie go zostawiłeś. Ponieważ koszarowe więzienie było już przepełnione, został zamknięty w areszcie domowym w Pałacu Zimowym razem z kuzynem Fiodorem Dubowem.

Edmond wyobraził sobie, jak nieznośna jest ta sytuacja dla Wiktora. Zapewne wolałby pobyt w więziennej wieży.

- Doczekał się apartamentu w pałacu. Powinien być zadowolony.

- Jeśli mam być szczery, nie wygląda na zadowolonego - stwierdził Herrick. - Odgraża się i przeklina ciebie i cały twój ród. Jeśli chcesz, wpuszczę cię do niego, żebyś mu wyrwał język. Znudziło mnie jego biadolenie.

- Mam ważniejsze sprawy na głowie. Przesłuchanie Wiktora pozostawiam tobie. Wyciągnij od niego, czy są jeszcze inni zamieszani w spisek.

- Oczywiście. - Herrick przyglądał się Edmondowi z ponurą miną.

- Tak?

- Ta kobieta...

- Brianna.

- Brianna. Jakie masz wobec niej plany? Edmond wstał i podszedł do pieca.

- Nie dyskutuję o prywatnych sprawach.

- Ja też, dopóki myślałem, że to przelotny związek. Jeśli jednak zamierzasz się z nią trwalej związać, musisz brać pod uwagę nie tylko jej reputację, ale także i swoją.

- Powiedz wprost, o co ci chodzi, Herrick.

- Nie możesz całkowicie ignorować obowiązków wobec cara.

Najważniejsze, żebyś pomyślał o wprowadzeniu przyszłej narzeczonej do petersburskiego towarzystwa.

Narzeczonej. Przez lata Edmond wmawiał sobie, że jest przeklęty, że los wymaga, aby był sam, i w ten sposób zapłacił za śmierć rodziców. Może to nieracjonalne, ale nie zamierzał z tym walczyć.

Na pewno nie teraz, gdy dwukrotnie Brianna omal nie umarła na jego rękach.

- Nie będę o tym rozmawiał. Herricka zdziwił ostry ton Edmonda.

- Wiem, że ciągle martwisz się o bezpieczeństwo panny Quinn, ale zdrajcy zostali aresztowani i jedyne, co grozi jej teraz, gdy wyszło na jaw, że jest twoją kochanką, to nieprzyjemne plotki. Wiesz, że Aleksander Pawłowicz wybaczy każdą niedyskrecję pod warunkiem, że są zachowane pozory. Musimy przenieść pannę Quinn do mniej... niekonwencjonalnego domu i postawić przy niej anioła stróża o niekwestionowanej reputacji.

- Zostanie tutaj, ze mną.

- Ale...

- Dosyć, Herrick. - Rozdrażniony Edmond nalał sobie kolejną porcję brandy. - Brianna nigdy nie będzie moją żoną.

- A kto, do diabła, kiedykolwiek wspominał ci o tym, że chcę być twoją żoną? - usłyszeli od drzwi.

Szklanka wypadła z dłoni Edmonda. Brianna opierała się o futrynę, żeby nie upaść. Smukłe ciało ginęło w fałdach obszernego szlafroka Wani, potargane włosy okalały wymizerowaną twarz. Wyglądała młodo i krucho, biła jednak od niej siła.

- *Ma souris* - wybełkotał, robiąc krok w jej stronę.

Nie wiedział, co jej powie, ale to było bez znaczenia.

Jej spojrzenie było ostre niczym sztylet. Zebrała wszystkie siły i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Gdyby nie czuła się taka słaba i przygnębiona, znalazłaby sposób na wyładowanie frustracji. W pokoju nie brakowało kosztownych bibelotów, które nadawałyby się do rozbicia. Mogłaby to być całkiem efektowna kanonada. Zamiast tego przekręciła klucz w zamku i wróciła do łóżka. Wsunęła się pod kołdrę.

Do diabła z Edmondem Summerville'em! Jak śmiało zwierzać się temu siwowłosemu człowiekowi, że nigdy nie poprosi jej o rękę?! Nie chciała wyjść za niego za męża. Nie martwiła się o zrujnowaną reputację. Nie zależało jej na tym, żeby ich związek przekształcił się w coś więcej niż przelotne zauroczenie. Nie powiedziała temu łajdakowi, że prawdopodobnie nosi jego dziecko. I dobrze się stało. Nie ścierpiałaby, gdyby w poczuciu winy zaczął udawać, że mu na niej zależy, albo jeszcze gorzej, gdyby zaproponował pieniądze, aby się jej pozbyć.

Nie wiązała żadnych nadziei z Edmondem, a mimo to była rozczarowana. To co, że ruszył jej na ratunek, zaniedbując obowiązki wobec cara, że zapomniał na chwilę o lojalności wobec Aleksandra Pawłowicza. To co, że całą noc przesiedział przy jej łóżku i czule głaskał ją po włosach, szepcząc do ucha słowa pocieszenia.

Była głupia, że w momentach przebudzenia dawała się omamić miłemu uczuciu bycia adorowaną. Że z wdzięczności się do niego garnęła, szukając pociechy. Dość tego! Nie pozwoli, by zranił ją jeszcze głębiej, traktując jak nałożnicę.

- Brianna, otwórz! - zawołał Edmond, łomocząc w drzwi.

W końcu mu się znudzi, uznała Brianna. Dwie godziny później rzeczywiście przestał się dobijać. Odetchnęła z ulgą. Naciągnęła kołdrę na głowę. Rana na ramieniu pulsowała tęnym bólem. Rozległo się ciche pukanie do drzwi, po czym usłyszała głos Wani.

- Brianna? Przyniosłam ci coś. Mogę wejść?

- Jesteś sama? - Brianna wystawiła nos spod kołdry.

- Tylko z pokojówką.

- Poczekaj chwilę. Próbowала podnieść się z łóżka.

- Nie wstawaj, mam klucz.

Klucz zazgrzytał w zamku, do pokoju weszła Wania, a za nią młoda dziewczyna o rumianych policzkach.

- Zobacz, co mam dla ciebie.

Wania dała znak pokojówce, żeby postawiła przed Brianną wielką tacę. Dziewczyna zrobiła, czego od niej oczekiwano, dygnęła i wybiegła z pokoju. Powietrze wypełnił smakowity zapach. Mimo mdłości, które powróciły w ciągu ostatniej godziny, Brianna poczuła przypływ apetytu.

- Pierniki?

Podniosła lnianą serwetę. Na tacy znajdował się talerz rosółu, obok grubo pokrojony chleb i świeżo upieczone pierniki.

- Jeszcze ciepłe, dopiero wyjęte z pieca, ale najpierw zjedz rosół.

Kucharka twierdzi, że to najlepsze lekarstwo na wszelkie choroby.

Brianna posłusznie sięgnęła po łyżkę.

- Doskonały - powiedziała i opróżniła talerz. Wsparła się na poduszkach.

Była świadoma, że

Wania cały czas przygląda się jej z troską.

- Jak się czujesz?

- Słabo.

- Boli cię?

- Tak, chociaż przyzwyczajam się do ran postrzałowych.

Wania uśmiechnęła się i usiadła na skraju łóżka.

- Lepiej, żebyś się nie przyzwyczajała.

- Też wolałabym nie. Liczę na to, że gdy wrócę do Londynu, zacznę prowadzić spokojniejszy tryb życia.

- Wracasz do Londynu? Zamierzasz wyjechać z Petersburga?

- Oczywiście. Rosja to piękny, choć raczej zimny kraj, a ty okazałaś mi gościnność, ale mój dom jest w Anglii.

- Rozumiem twoje pragnienie powrotu do siebie, jednak Edmond nie zgodzi się wyruszyć w drogę, zanim całkiem nie wyzdrowiejesz.

Brianna nie odpowiedziała, dopóki nie zjadła ostatniego pierniczka.

Odstawiła na bok tacę i wreszcie spojrzała na Wanię.

- W planach dotyczących podróży nie uwzględniam Edmonda. W planach na przyszłość również.

Wania ujęła jej dłoń.

- Ależ, kochanie, mam nadzieję, że nie obarczysz Edmonda winą za to, co cię spotkało.

Brianna wzruszyła ramionami. Nie obwiniła go o porwanie. Edmond nie mógł przewidzieć, że Wiktor Kozakow okaże się taki bezwzględny. Żywiła do Edmonda pretensję o ingerencję w jej życie i spowodowanie w nim wielkiego chaosu. Nie zamierzała wyjawić tego nikomu, nawet tej życzliwej, wyrozumiałej kobiecie.

- Prawdopodobnie nie. Zapewniam cię jednak, że nie strzelano do mnie ani mnie nie porywano, zanim Edmond nie wymyślił, że bym udawała jego narzeczoną.

Wania zrobiła zdziwioną minę.

- To nie do końca prawda, przyznasz, moja droga.

- Dlaczego?

- Edmond wspominał mi, że zaledwie kilka dni przed waszym wyjazdem do Rosji próbował cię porwać twój ojczym.

- Rzeczywiście, zapomniałam.

Zabawne. Thomas Wade i obawy z nim związane wydawały się Briannie mało istotne.

- Co tylko dowodzi, jak trudne były dla mnie ostatnie tygodnie - tłumaczyła.

- I za to winisz Edmonda?

Wania nie potrafiła ukryć dezaprobaty. Okazywała Briannie wiele troskliwości, ale pozostała lojalna wobec Edmonda.

- To nie jest kwestia winy.

- Nie?

- Ja... Ja po prostu chcę wrócić do Anglii i swojego spokojnego, pozbawionego atrakcji życia.

- A jeśli jesteś w ciąży?

Brianna nie miała Wani za złe bezpośredniości. Była gotowa na wszelkie poświęcenia. Postanowiła zrobić wszystko, żeby stworzyć swojemu dziecku ciepłą, bezpieczną przystań.

- Kupię niewielki dom na wsi, gdzie nikt mnie nie zna. Starczy mi pieniędzy na utrzymanie. Będę udawała wdowę.

- A co z Edmondem?

- Jak to co?

Wania patrzyła z niedowierzaniem.

- Myślisz, że Edmond pozwoli ci się ukryć na wsi? Zwłaszcza gdy dowie się, że urodziłaś jego dziecko?

- Dlaczego nie? Nasz związek miał trwać tylko przez pewien czas, Edmond tego nie ukrywał. Na pewno już teraz szuka mojej następczyni.

Zupełnie nieoczekiwanie Wania się roześmiała.

- Jesteś bardzo naiwna.

- Chyba nie bardziej niż kiedyś. - Brianna poczuła się urażona.

- Moja droga - Wania delikatnie pogłaskała ją po dłoni - czy mogę udzielić ci pewnej rady?

- Jeśli chcesz.

- Nie twierdzę, że jestem bardzo mądra, ale życie czegoś mnie nauczyło. Miłość to rzadki dar i nie należy jej lekceważyć.

- Edmond mnie nie kocha.

- Nie mam takiej pewności jak ty. Jednak nie chodziło mi tylko o akceptację czyjejś miłości, ale o dopuszczenie do tego, żeby miłość wyrosła również w twoim sercu. Popełniłam wielki błąd, zamknęłam serce przed córką, nie mówiąc o dobrym i przyzwoitym człowieku, który oferował mi bezwarunkową lojalność. Nie powtórz mojego błędu. Nie lekceważ uczucia, które wypełnia twoje serce, bo do końca życia będziesz tego żałowała.

Ostrzeżenie Wani zrobiło na Briannie wielkie wrażenie.

- Waniu, jeszcze nie jest za późno - powiedziała łagodnym głosem. - Pan Monroe cię kocha i wiem, że ci przebaczy, jeśli dasz mu możliwość,

- Najpierw musiałabym przebaczyć sama sobie. - Na ustach Wani pojawił się melancholijny uśmiech. - Przynajmniej pomyśl o tym, co ci mówiłam. Edmond jest za drzwiami. Bardzo mu zależy na zobaczeniu się z tobą.

- Nie! - Gwałtowny ruch głowy spowodował przeszywający ból w ramieniu. - Nie chcę go widzieć!

- Jak uważasz. Odpoczywaj. Wszystko będzie dobrze.

Będzie dobrze?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Edmond czekał na Wanię w pokoju sąsiadującym z sypialnią Brianny. Czuł się podłe i wiedział, że nieogolony i niewyspany, wygląda okropnie. Od dwóch dni nie zmrużył oka. Nie mógł się zdobyć na opuszczenie apartamentu Brianny. Nie zrobi tego, dopóki... Dopóki co? Pojawiła się Wania. Nim doskoczył do drzwi sypialni Brianny, przebiegła kobieta zdążyła przekręcić klucz w zamku i schować go do kieszeni.

- Jak się ona czuje? Nie śpi? Czy coś zjadła?
- Jest słaba, ale przytomna. Owszem, zjadła coś.
- Pójdę do niej.
- Nie, Edmondzie, ona nie chce cię widzieć.
- Muszę być przy niej!

To stwierdzenie nie zrobiło na Wani żadnego wrażenia. Ominęła Edmonda i poszła nalać sobie kieliszek sherry.

- Słyszę, wyraziłeś się całkiem jasno. W tej chwili bardziej obchodzi mnie to, czego chce Brianna, niż to, czego ty chcesz. Coś ty jej zrobił?

Edmond przesunął bezradnie dłońmi po potarganych włosach.

- Nic. - Wzruszył ramionami. - Podśluchała moją rozmowę z Herrickiem.
- Rozmawialiście o kobietach?
- Uchowaj Boże.
- Brianna jest przekonana, że chcesz się jej pozbyć.
- Nic podobnego.
- Czym mogłeś ją urazić?
- Próbowałem odwieść Herricka od planowania mojego ślubu.
- Z Brianną? - Wania ściszyła głos.
- Tak.
- Usłyszała, że nie chcesz się z nią ożenić?

Rozdrażniony Edmond podszedł do oszronionego okna. Było już dobrze po północy, na zewnątrz panował tęgi mróz.

- Nigdy nie robiłem tajemnicy w tego, że nie zamierzam się żenić, dobrze o tym wiesz - odezwał się opryskliwie. - Brianna nie ma z tym nic wspólnego.

- Oczywiście, że nie - przyznała cierpko Wania.

Edmond przyjrzał się jej podejrzliwie.

- Na marginesie, sama Brianna wielokrotnie zapewniała mnie, że nie zamierza zakładać rodziny. Twierdzenie, że jest na mnie zła z tego powodu, przeczy wszelkiej logice.

- Kobieta nie musi kierować się logiką. - Wania machnęła lekceważąco ręką. - W każdym razie, każda kobieta mogłaby się poczuć dotknięta, gdyby jej kochanek oznajmił światu, że nie uważa jej za kandydatkę na żonę. Mogłaby się zacząć zastanawiać, czego jej brakuje.

- Właśnie o tym chciałbym z nią porozmawiać.

- I co byś jej powiedział, Edmondzie? Że jest ciebie godna, kiedy masz ochotę się z nią zabawić, a nie jest ciebie warta, aby zostać twoją żoną?

- Wolałabyś, bym kłamał, składał obietnice, których nie będę mógł dotrzymać?

- Dlaczego byś nie mógł? Brianna jest czarująca, piękna i cię uszczęśliwia. Każdy mężczyzna posiadający odrobinę zdrowego rozsądku byłby dumny z takiej żony.

- Ja nie... - uciął Edmond. Nie chciał się przyznać, że nie myślał o ożenku z Brianną z obawy, że nie potrafi dać jej szczęścia. Wania pomyślałaby, że zwariował.

- Co nie?

- Nigdy się nie ożenię.

- Ależ dlaczego? Jest dla mnie oczywiste, że zależy ci na Briannie.

Dlaczego wyklucasz myśl o jej poślubieniu?

- Nie będę o tym dyskutował ani z tobą, ani z nikim innym.

- Jak chcesz. - Westchnęła i zaczęła zbierać się do wyjścia. - W takim razie ją utracisz.

- Coś ty powiedziała?

- Powiedziałam, że ją utracisz. Brianna zamierza wrócić do Anglii.

- Wiem, że wybiera się do Londynu, aby spotkać się z adwokatem i wejść w posiadanie odziedziczonego majątku. Pojadę z nią, gdy wyzdrowieje.

- Nie wspominała o twoim towarzystwie. Planuje pojechać sama i kupić sobie dom.

- To dlatego, że w tej chwili się na mnie gniewa. Jak się udobrucha, zrozumie, że to niedorzeczność.

- Edmondzie, kocham cię jak własnego syna, ale czasami mam ochotę przetrzepać ci skórę. Otrząśnij się wreszcie z przeszłości, zanim będzie za późno.

- Co tu ma do rzeczy przeszłość!

- Och, brak mi słów.

Wania popatrzyła ze współczuciem na Edmonda i wyszła. Zagłębił się w fotelu i zamknął oczy. Do diabła z rzekomymi przyjaciółmi i ich dobrymi radami!

Trzy dni później Edmond był zmuszony zrewidować swoje aroganckie założenie, że Brianna odzyska zdrowy rozsądek i mu przebaczy. Za każdym razem, gdy ją odwiedzał, nie odzywała się do niego, a jej piękna twarz wyrażała kompletny brak zainteresowania jego osobą. Jakby pod kołdrą znajdowała się tylko jej zewnętrzna powłoka, a duch uleciał daleko, gdzie Edmond nie mógł go dosięgnąć.

Próbował nawiązać z nią kontakt na wiele sposobów: prowokował, żartował, nawet uciekał się do przekupstwa, ale nic nie było w stanie obudzić jej z tego dziwnego letargu. W ogóle nie dostrzegała jego starań.

Czwartego dnia z samego rana wtargnął jak burza do pokoju śniadaniowego Wani. Szczęśliwie Richard musiał wcześniej pojechać do pałacu i Edmond mógł porozmawiać z Wanią w cztery oczy. Do tej pory rzadko przegrywał. Duma nie pozwalała mu publicznie przyznać się do porażki.

Wania siedziała na brzoszowym krześle przy połączonym stole zastawionym półmiskami z jajkami, tostami i wędzonym węgorzem. W brokatowej sukni porannej z ponaszywanymi na staniczek szmaragdami, starannie ułożonymi włosami wokół pięknej twarzy, wyglądała na rosyjską szlachciankę w każdym calu. Gwałtowne wtargnięcie Edmonda przyjęła ze stoickim spokojem.

- Dzień dobry, napijesz się herbaty?

- Nie zwracaj mi głowy herbatą. Powiedz, dlaczego Brianna traktuje mnie jak powietrze?

- Jak mogę z tobą rozmawiać, skoro miotasz się niczym dziki zwierz w klatce. Usiądź, przynajmniej nie będę musiała wyciągać szyi.

- Do diabła, Waniu, nie jestem w nastroju do żartów.

- Widzę. Brianna wciąż nie chce z tobą rozmawiać?

- Traktuje mnie jak obcego. Wolałbym, żeby obrzuciła mnie najgorszymi wyzwiskami, nie mogę znieść tej obojętności.

- Wciąż jeszcze nie doszła do zdrowia. Musisz być cierpliwy.

Wyjaśnienie nie zmniejszyło irytacji Edmonda. Na odwrót, zwiększyło jego pretensje.

- Nie wyzdrowiała? Doktor utrzymuje, że rana się goi i nie ma infekcji. Nie jestem ślepy, widzę, jak ona wygląda: blada i wymizerowana. Dzisiaj rano, gdy przycisnąłem go do muru, powiedział, że to normalne i że jej apetyt wróci w odpowiednim czasie.

Przez twarz Wani przemknął przelotny cień.

- Musimy mu wierzyć - powiedziała wymijająco.

Edmond był pewien, że z chorobą Brianny wiąże się coś, co przed nim zatajono.

- Nie zamierzam wierzyć we wszystko, co ten głupiec mówi. Dzisiaj po południu przyjdzie chirurg Herricka i zbada ją na moją prośbę.

Wania podniosła się z krzesła. Była wyraźnie poirytowana.

- Nie ma takiej potrzeby.

- To moja decyzja.

- Nie. O tym zadecyduje Brianna. Ona jest zadowolona z opieki obecnego lekarza. Nie podziękuje ci za wtrącanie się w jej sprawy.

- Za nic mi nie podziękuje, bo ona...

- O co ci chodzi?

- Oddała się ode mnie.

- Ostrzegałam cię, Edmondzie. - Oblicze Wani złagodniało.

- Dlatego, że jej nie poślubię?

- Jestem przekonana, że każda kobieta musi myśleć o swoim bezpieczeństwie.

- Nigdy bym nie skrzywdził Brianny.

- Nie naumyślnie, ale ja cię znam. Miałeś wiele kobiet. Może Brianna już wyobraża sobie sytuację, w której będzie dla ciebie tylko wyblakłym wspomnieniem?

- Do tego nie dojdzie.

- Przeciwnie, to nieuniknione. Teraz się złościś, bo Brianna cię rzuciła, zanim ty zdążyłeś to zrobić. Czujesz się urażony.

- Na litość boską, nie chodzi o moją dumę, zapewniam cię. Nie pozwolę jej odejść. Nie ma takiej możliwości.

- Mówisz serio, Edmondzie?

Instynktownie bał się ujawniać uczucia. Nie życzył sobie, żeby stały się przedmiotem publicznych dociekań, jednak musiał odstąpić od tej zasady.

- Ja... zależy mi na Briannie - wyjąkał. Wania była niewzruszona.

- Wszystkim nam zależy na Briannie. Jest delikatną, łagodną istotą, która znosi przeciwności losu z niespotykaną godnością.

- Nie nazwałbym jej łagodną. Ma serce tygrysicy i potrafi używać pazurów, jeśli to konieczne. Wiesz, że szantażem zmusiła mnie do przyjęcia jej pod dach w Huntley House?

- Chodzi mi o to, że łatwo ją zranić, nawet niechcący.

- Potrzebuję jej.

- W tej chwili.

- Na zawsze.

- Wybacz, ale trudno ci uwierzyć, Edmondzie.

- Dlaczego?

- Bo nie chcesz się z nią ożenić. Gdyby ci na niej rzeczywiście zależało, dążyłbyś do utrwalenia waszego związku.

- Właśnie dlatego, że mi na niej zależy, nie chcę jej narażać na niebezpieczeństwo.

Umilkli oboje. Wania próbowała odgadnąć, o jakim niebezpieczeństwie mówił Edmond.

- Spiskowcy zostali aresztowani i, o ile mi wiadomo, nikt nie zamierza porwać tej biednej dziewczyny - powiedziała. - Naturalnie perspektywa bywania na dworze Romanowów mogłaby ją skłonić do ucieczki - dodała drwiąco.

Edmondowi nie było do śmiechu. W tej chwili był myślami daleko od Aleksandra Pawłowicza i intryg dworskich w otoczeniu cara.

- Nic nie rozumiesz - mruknął.

- To mi wytłumacz. Dlaczego się wahasz? Z powodu rodziców?

- Jestem odpowiedzialny za ich śmierć. - Poczucie winy przygniatało go od lat.

- Nie, Edmondzie. To był wypadek. Nie było w tym twojej winy.

Edmond słyszał takie pocieszenia wielokrotnie. Nie uspokajały go.

- Mogli równie dobrze zginąć w wypadku drogowym, jadąc na przyjęcie towarzyskie, albo zarazić się gripą, która pustoszyła Surrey w tamtym czasie. Nie masz mocy sprawczej, choć zapewne tak ci się wydaje. Nie decydujesz o życiu i śmierci.

- Mów, co chcesz, Waniu, ale to przeze mnie zginęli. Nie chcę, żeby przydarzyło się to komuś innemu.

- O mój kochany! - Wania delikatnie pogłaskała Edmonda po policzku. - Co za ciężar dźwigasz.

- Sam nałożyłem go sobie na barki.

- Za długo się dręczysz. Znałam twoją matkę i wiem na pewno, że chciałaby, aby jej synowie byli szczęśliwi. Dążenie do szczęścia nie uwłacza pamięci rodziców. Odwrotnie, to jedyny sposób złożenia im hołdu.

Edmond znowu podszedł do na wpół zamarznętego okna. Ciężkie chmury rozsunały się, promienie porannego słońca odbijały się od śnieżnej pokrywy, stwarzając wrażenie, że na ulicy rozsypano miliony brylantów. Nieco dalej trwał ożywiony ruch łyżwiarzy i przechodniów na zamarznętej Newie.

Widok Petersburga o poranku był niemal magiczny, Edmond nie dostrzegał jednak roztaczającego się przed nim piękna. Zastanawiał się nad tym, co usłyszał z ust Wani.

- Nie pragnę się dręczyć - odezwał się, raczej by przekonać siebie niż przyjaciółkę matki.

- Ale to robisz. I co gorsza, dręczysz tę wspaniałą dziewczynę. Ona na to nie zasługuje.

Wzdrygnął się. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że chcąc chronić Brianę, zadawał jej ból. Stała mu przed oczami jej pobladła twarz w chwili, gdy zatrzasnęła przed nim drzwi swojego pokoju. A gdyby tak...

Do jadalni weszła pokojówka.

- Goście przyjechali, proszę pani.

Wania ruszyła ku wyjściu. Wiedziała, że posiała ziarno wątpliwości w umyśle Edmonda.

- Przemyśl to, o czym rozmawialiśmy. Odwrócił się od okna, słysząc ciężkie kroki.

Zbliżał się Borys. Jego płaszcz pokrywały płatki śniegu. Rzucił w stronę Edmonda pakunek owinięty w brązowy papier. Pokój wypełnił aromat świeżo palonych kasztanów. Edmond wysłał Borysa na poszukiwanie przysmaku w nadziei, że Brianna skusi się i go spróbuje. Ostatnio nie udawało mu się dogodzić jej apetytowi.

- Najadł się pan na śniadanie nieświeżego węgorza, Summerville? - zapytał zaczepnie Borys.

- Odczep się, wiesz, że nie cierpię węgorza.

- To dlaczego wygląda pan jak zdjęty z krzyża? Mam zawołać doktora?

- Nie jestem chory, lecz zirytowany. Dlaczego kobiety komplikują proste sprawy?

- Jeśli kobiety nie sprawiają nam kłopotów, to znaczy, że im na nas nie zależy.

- Niech to szlag!

- Mam nadzieję, że pana pocieszyłem. Panna Quinn źle się czuje?

- Doktor zapewnia, że proces gojenia przebiega zadowalająco. Nie musisz się obawiać, że Janet będzie cię oczekiwała w Londynie z naostrzonym nożem.

- Chciałem panu powiedzieć - zaczął lekko zmienionym głosem Borys - o naszym postanowieniu. Na wiosnę Janet przyjedzie do Rosji. Car chciał, żebym wstąpił do jego przybocznej gwardii, a Janet szybko zadomowi się w Petersburgu. Boję się tylko, czy Petersburgowi wyjdzie to na dobre.

- Zamierzasz się żenić?

- Ta uparciucha nie dała mi jeszcze ostatecznej odpowiedzi, ale wierzę w siłę perswazji.

- Co słyszę?

- Dziwi się pan? Myślał pan, że nigdy się nie ożenię? A może robię to dlatego, że znalazła się taka, która mnie zechciała?

- Nie przyszloby mi do głowy, że zamierzasz założyć rodzinę.

- Tak myśli każdy, dopóki nie spotka odpowiedniej kobiety.

Edmond poklepał przyjaciela po ramieniu. Nie chciał okazać, jakie wrażenie zrobiły na nim jego słowa.

- Będzie mi cię brakowało, stary druhu.

- Nie, jeśli sam pan dojrzeje do tego, co jest oczywiste dla wszystkich.

- Ty też?

- Dostatecznie długo sprzeciwiał się pan własnemu szczęściu. Czas złożyć broń i przyjąć, co los oferuje.

- To nie takie proste.

- Najprostsze w świecie.

Zbliżała się pora południowego posiłku i do sypialni weszła Wania. Usiadła na skraju łóżka. Brianna wiedziała, że Wania martwi się jej stanem, ale jak na razie nie potrafiła otrząsnąć się z letargu. Była pewna, że wkrótce to minie i będzie gotowa do konfrontacji z życiem.

- Moja droga, tak dłużej być nie może - odezwała się Wania.

Brianna spodziewała się kolejnej porcji pocieszeń, to stwierdzenie ją zaskoczyło.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Muszę cię poinformować, że cieszę się opinią jednej z najgościnniejszych pań domu w całym Petersburgu. Zaproszenia na mój bal noworoczny są rozchwytywane. Obawiam się, że przez ciebie moja reputacja będzie zrujnowana. Po prostu nikt nie chce w oczach. Zaczynają krążyć po mieście plotki, że cię głodzę.

- Wiesz, że podziwiam dzieła twojej kucharki. Jest mistrzynią, jeśli chodzi o pierniki. Ale ja... nie jestem głodna.

- To przez dzieciątko? Masz nudności?
- Nie będzie dziecka.
- Jesteś pewna?
- Krwawię.
- Możliwe, że nie byłaś w ciąży.

Brianna brała pod uwagę tę ewentualność. Od kilku dni była się z myślami. Dziwne, ale ta kwestia była obecnie bez znaczenia. I tak opłakiwała stratę, bez względu na to, jak wyglądała prawda.

- Wiem.
- Tak chyba jest lepiej.
- Chyba.

Wania westchnęła ciężko. Ścisnęła dłonie Brianny tak mocno, że omal nie poraniła jej swoimi pierścionkami.

- Przestań się zamartwiać. Co mogę zrobić, żeby cię rozweselić?

Brianna zaskoczyła siebie samą i Wanię. Wstała z łóżka. Miała nogi jak z waty, ale zdołała dojść do wychodzącego na ogród okna. Poczula się zaskakująco dobrze, choć od pokrytych mrozem szyb ciągnęło chłodem.

- Jak się czujesz, Brianno?
- Chcę do domu - odparła krótko.
- Do Anglii?
- Tak.

- Ale... - Wania przysiadła obok Brianny. - Powinnaś wiedzieć, że przynajmniej na razie to nie wchodzi w rachubę.

- Dlaczego?
- Twój stan zdrowia wyklucza taką podróż, a i pogoda czyni ją niemożliwą w ciągu najbliższych miesięcy.
- Nie mogę zostać tak długo.

- Obawiam się, że nie masz wyboru. Nawet najwytrawniejsi podróżnicy unikają wypraw w czasie rosyjskiej zimy. Najmniejszą niedogodnością byłoby utknięcie w obskurnej gospodzie na długie tygodnie.

- Musi być jakiś sposób.

- Przyznam, moja droga, że czuję się wręcz urażona - powiedziała Wania.

- Nie tylko się głodzisz, lecz także dajesz mi do zrozumienia, jak niemiła jest ci moja gościna. Ktoś mógłby pomyśleć, że źle cię traktuję.

- Ależ skąd! Wszyscy wiedzą, że traktujesz mnie najlepiej, jak potrafisz. O wiele lepiej, niż na to zasługuję. Gdyby sytuacja wyglądała inaczej, może wówczas...

- Gdyby Edmond był inny, to chciałaś powiedzieć?

- To także.

Wania zawahała się, jak gdyby rozważała, jakich słów użyć.

- Kochanie, myślę, że gdybyś dała mu szansę, Edmond potrafiłby udowodnić ci, że się zmienił, albo że z twoją pomocą rokuje nadzieję na poprawę.

- Dzięki, Waniu, pozwolisz, że sam przemówię w swoim imieniu - rozległ się głęboki męski głos.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Tego właśnie Brianna się obawiała. Wystarczyło, że się pojawił, a jej puls przyspieszył i całe ciało drżało w radosnym oczekiwaniu. Miał nad nią władzę, to nie ulegało wątpliwości. Zatem aby zapewnić sobie spokojną przyszłość, musi znaleźć środki na powrót do Anglii i życia, zanim Edmond stanie się jeszcze ważniejszą częścią jej egzystencji.

Najwyraźniej Wania wyczuła rozterki Brianny. Pogłaskała ją czule po dłoni i uzbrojona w surową minę, ruszyła Edmondowi na spotkanie.

- Pozwolę ci zabrać głos w swojej obronie, jeśli obiecasz, że wszystkiego nie zepsujesz - oznajmiła.

Skrzywił się. Wyglądał okropnie: włosy nieuczesane, rozwiązany fular, odsłaniający szyję, szczeka pokryta zarostem.

- Nie zamierzam niczego obiecywać, nauczony doświadczeniem, że moje sławetne zdolności przekonywania nie robią wrażenia na pannie Quinn. Wolę jednak sam zawiązać sobie stryczek na szyi, niż pozostawić to zadanie tobie, Waniu.

- Jak chcesz.

Wychodząc, dotknęła go przelotnie.

Korzystając z chwilowej zwłoki, Brianna pospieszyła z powrotem do łóżka i okryła się kołdrą. Drżała, ale nie z powodu zimna czy osłabienia. Wbity w nią uporczywy wzrok Edmonda sprawiał, że poczuła się bezbronna.

- Boisz się, że rzucę się na ciebie?

- Nauczyłam się nie przewidywać, co mógłbyś zrobić.

- Bardzo rozsądnie.

Usiadł na skraju łóżka. Dotyk jego wysmukłych palców niemal parzył jej policzek.

- Jesteś taka blada. *Mon Dieu*. Jeśli chciałaś ukarać mnie, nie jedząc, to ci się udało - powiedział. - Przetrzaśałem cały Petersburg, żeby znaleźć smakołyki,

na które dałabyś się skusić, ale wszystko, co ci podsuwałem, wracało do kuchni prawie nietknięte.

Udało się jej nie zareagować na wieść, że te wszystkie delikatesy, które codziennie przynoszono jej na tacy, kupował Edmond.

- Nie zamierzałam cię karać. Czego ode mnie chcesz?

Nie odpowiedział od razu. Dopiero po dłuższej chwili rzucił w powietrze:

- Ciebie.

- Ja... ja nie rozumiem.

Spodziewała się, że Edmond obróci w żart swoje wyznanie. Nie zrobił tego, tylko patrzył na nią zasepionym wzrokiem i palcami gładził jej jedwabisty policzek.

- Potrzebuję cię, Brianno. Wiem, że nie jest to szczególnie elegancka i romantyczna deklaracja, ale to prawda. Potrzebuję cię - powtórzył.

Brianna czuła, że traci grunt pod nogami.

- W jakim celu?

- Każdym, cokolwiek to znaczy. Nie ty jedna nie jadłaś i nie spałaś, *ma souris*. Przez cały ten czas nie położyłem się do łóżka i nie opuszczałem sąsiedniego pokoju, chyba że po to, aby znaleźć coś, co mogłoby ci sprawić przyjemność.

Jego wzrok powędrował ku cieplarnianym kwiatom i bombonierce z marcepanem, które od rana, zanim otworzyła oczy, czekały na nią na półce nad kominkiem.

- Gdybym spotkał innego dżentelmena w tak żaloszny sposób zabiegającego o względy damy, śmiałybym się z niego.

Nie uwierzyła. Ból odrzucenia był za świeży.

- Ale przecież...

- Jakże ale?

Podciągnęła kołdrę jeszcze wyżej.

- Powiedziałeś wyraźnie, że potrzebujesz mnie wyłącznie do łóżka.

- Panno Quinn, jesteś najbardziej kłopotliwą, denerwującą, krnąbrną istotą płci żeńskiej, jaka kiedykolwiek stanęła na mojej drodze.

Brianna poczuła się dotknięta.

- Z całą pewnością nie jestem kłopotliwa - zaprotestowała.

Edmond miał ochotę się roześmiać, ale zachował powagę.

- Chciałem powiedzieć, że tuż za progiem znajdują się mniej kłopotliwe kobiety.

- To dlaczego do nich nie pójdziesz?

- Ponieważ, nieznośna pannico, nie chcę żadnej innej.

Pochylił się i pocałował ją w usta.

- Od czasu, jak wprosiłaś się do mojego domu, ledwo spojrzałem na inne.

A jeśli chodzi o to, co powiedziałem w rozmowie z Herrickiem... - Urwał i spoważniał. - Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, oprócz tego, że zachowałem się jak osioł.

Brianna popatrzyła podejrzliwie na Edmonda.

- Nie przeczę.

- Nie dziwię się. - Z jego spojrzenia wyczierała skrucha. - Ogromnie przepraszam, że cię zraniłem. Wierz mi, nie chciałem.

- Znam twoje intencje, Edmondzie. Nigdy nie próbowałeś mnie zwodzić.

- Ciebie nie, tylko siebie - mruknął.

- Co mówisz?

Wstał i podszedł do okna.

- Od początku wiedziałem, że znaczysz dla mnie więcej niż kolejne kobiety, z którymi zdarzało mi się iść do łóżka. Tak bardzo pragnąłem cię uwieść, że nie przyszło mi do głowy, że to ja jestem uwodzony. Nawet wówczas, gdy byłem zmuszony przyznać się samemu sobie, że życie bez ciebie nie ma sensu.

Oszołomiona jego wyznaniem, Brianna nie mogła uwierzyć, że ma taką władzę nad Edmondem.

- Absurd.

- Święta prawda. Dlaczego trzymałem cię przy sobie w Londynie, skoro byłabyś na pewno szczęśliwsza w Meadowland ze Stefanem? A kiedy już odzyskałem rozum i odwiozłem cię do Surrey, nie mogłem zostawić cię w spokoju.

- Przyjechałeś mi na ratunek. - Niechcący zaczęła go bronić, bo nie potrafiła zapomnieć, co mu zawdzięcza, bez względu na to, jak przykry się dla niej okazał. - Gdyby nie ty, Thomas Wade by mnie uprowadził...

- Nie rób ze mnie bohatera, *ma souris* - przerwał jej. - Oboje dobrze wiemy, że po tym zajściu powinienem zostawić cię w Meadowland i pozwolić ci poślubić mojego brata, choćby nawet miało mi pęknąć serce. A już na pewno nie należało żądać, abys pojechała ze mną do Rosji, gdzie wzbierały buntownicze nastroje. Zaiste, mało bohaterskie zachowanie.

- Do niczego mnie nie zmuszałeś, Edmondzie. Mogłam nie zgodzić się z tobą jechać.

- Mogłaś?

- Nie jestem bezwolną istotą - odparła Brianna, choć zdawała sobie sprawę z tego, że zachowuje się głupio. - Prawdę mówiąc, mam już dość tego leżenia w łóżku. Zachowuję się jak tchórz.

- Co ty opowiadasz! - zaprotestował gwałtownie Edmond. - Nawet siłacz z trudem zdołałby znieść to, przez co ty przeszłaś w ostatnich tygodniach, i potrzebowałby odpoczynku. Zwłaszcza że martwiłaś się, iż musisz się troszczyć nie tylko o siebie.

Zdumiona, nie wiedziała, co powiedzieć. Niechcący przycisnęła dłoń do brzucha.

- Wiedziałaś?

- Usłyszałem przed chwilą twoją rozmowę z Wanią.

- Ulżyło ci, że nie jestem w ciąży?

- Ulżyło?! *Mon Dieu*, nic nie mogłoby mi sprawić większej radości niż świadomość, że nosisz moje dziecko.

Brianna zastanawiała się nad reakcją Edmonda. Nie spodziewała się, że tak bardzo mu może zależeć na potomku.

- Och. Uchwycił jej dłoń.

- Oczywiście, aby uniknąć skandalu wolałbym, żebyśmy wzięli ślub przed rozwiązaniem. Jakby to wyglądało, gdybyś szła do ślubu, prowadząc dziecko za rączkę przez cały kościół.

Po tych słowach na dłuższą chwilę zaległo milczenie. Przerwała je Brianna.

- Edmondzie?

- Wiem, że to niezbyt romantyczna propozycja, ale prawda jest taka, że mam niewielkie doświadczenie w proszeniu kobiet o rękę, myślę więc, że mi wybaczysz.

- Nie... - Nie trzeba było wielkiej przenikliwości, aby się zorientować, że Edmond oświadczył się z poczucia obowiązku. I że będzie nieszczęśliwy, jeśli ona okaże się na tyle głupia, by przyjąć matrymonialną propozycję. - W gruncie rzeczy wcale tego nie chcesz, Edmondzie.

- Potrafisz czytać w moich myślach?

- W tej sprawie tak.

Odrzuciła kołdrę i wstała z łóżka. Podskoczył do niej i objął ją delikatnie w talii.

- Brianno, uważaj, jesteś wciąż słaba. Wzdrygnęła się, jego słowa podziały jak sól na rany.

- Uważasz, że musisz mi się oświadczyć, ponieważ mi współczujesz.

- Sądzisz, że jestem człowiekiem zdolnym do wielkiego współczucia, *ma souris*? Otóż wiedz, że robię to, co chcę, i to, co uważam za korzystne dla siebie. A w tym przypadku to, co sprawi mi największą radość.

Brianna uwolniła się z uścisku. Nie mogła jasno myśleć, gdy przepełniała ją radość z bliskości Edmonda, a tak wiele zależało od przytomności jej umysłu i zdrowego rozsądku.

- Jeśli to nie litość skłoniła cię do zaproponowania mi małżeństwa, to co takiego wydarzyło się w ostatnich trzech dniach, że zmieniłeś zdanie? Przecież byłeś pewny, że nie chcesz się ze mną ożenić.

Edmond ponownie objął Briannę i przytulił ją do piersi.

- Wydarzyło się to, że wreszcie pogodziłem się z faktem, iż weszłaś mi w krew i nie potrafię bez ciebie żyć.

Zalała ją fala gorąca, a zimne odrętwienie, w którym trwała przez ostatnie trzy dni, nagle ulotniło się bez śladu. Zrozumiała, jak bardzo pragnie Edmonda.

- Nigdy nie robiłeś sekretu z tego, że potrzebujesz mnie do łóżka. To zupełnie co innego niż traktowanie mnie jak żonę.

Przytrzymał jej brodę, żeby zajrzeć jej w oczy.

- Postanowiłaś zmusić mnie, żebym to powiedział, prawda?

- Co takiego?

- Że cię kocham. Tak, kocham cię. Jesteś szczęśliwa?

Brianna nie była pewna, czy dziwi ją takie bezceremonialne wyznanie, czy mało subtelny sposób, w jaki rzucił jej te ważne słowa w twarz.

- Nie, jeśli z tego powodu masz być nieszczęśliwy.

- Ach, Brianno - westchnął - nie to czyni mnie nieszczęśliwym. Po prostu nie mogę się wyzbyć obaw.

- Jakich obaw?

- Gdy moi rodzice...

- Edmondzie. - Zarzuciła mu ramiona na szyję i przywarła do niego z całej siły.

- Pozwól mi dokończyć. Gdy moi rodzice utonęli, obwiniałem się o ich śmierć.

- To był tylko tragiczny wypadek.

Pocierał policzkiem czubek jej głowy, jedwabiste pasma zaczepiały się o nieogolony zarost. Odurzał ją jego męski zapach.

- Na zdrowy rozum biorąc, właśnie tak było, ale wciąż nie mogę się pozbyć myśli, że gdybym nie wplątał się w kłopoty, wciąż by żyli. Nie zasługuję na to, żeby ponosić odpowiedzialność za innych.

Brianna skryła twarz w zagłębieniu jego ramienia. Nie mogła znieść myśli o niekończących się latach, kiedy borykał się z poczuciem winy.

- A teraz?

- Teraz mój egoizm jest zbyt wielki, bym mógł z ciebie zrezygnować. Możliwe, że zasługuję na piekło za swoją przeszłość, ale mimo to mam nadzieję na zbawienie. Brianno, obiecaj, że zostaniesz moją żoną - poprosił z uśmiechem, który zmiękczyłby serce z kamienia.

Nagle zapragnęła powiedzieć „tak”. Co prawda, chciała być kobietą niezależną, ale przekonała się, że samotność to wysoka cena za spokój.

- Brianno?

- Nie mogę ci odpowiedzieć w tej chwili, Edmondzie. Potrzebuję czasu do namysłu.

Na jego wargach pojawił się figlarny uśmiech.

- Jeśli słowa cię nie przekonują, mój uparciuchu, to może uda mi się znaleźć inne środki perswazji.

Delikatnie odchylił głowę Brianny, a ona rozchyliła wargi w niemym zaproszeniu. Wygiętym w łuk ciałem przywarła do Edmonda. Dopiero wtedy złożył na jej ustach czuły i namiętny pocałunek.

- Nie myśl, że stanie się inaczej. Zostaniesz moją żoną, Brianno - powiedział. Jego gorący oddech owiewał jej szyję. - Nigdy nie pozwolę ci odejść.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Londyn, Anglia

Trzy miesiące później

Dom lady Aberlane przy St. James's Square był długim, wąskim budynkiem z fasadą ozdobioną korynckimi pilastrami, marmurowymi schodami i eleganckimi weneckimi oknami. Mimo surowej wytworności wnętrza właścicielce udało się stworzyć ciepłą atmosferę, która sprawiła, że Brianna natychmiast poczuła się tu jak u siebie. To tłumaczyło, dlaczego wciąż mieszkała z lady Aberlane, zamiast poszukać własnego lokum.

Edmond niechętnie ustąpił wobec jej próśb, żeby wrócili do Anglii, nalegał jednak, by zatrzymała się u lady Aberlane. Argumentował, że Brianna będzie zbyt zmęczona po uciążliwej podróży, aby zająć się poszukiwaniem i zakupem domu.

Teraz już w pełni wydobrzała i wiedziała, że nie powinna dłużej zwlekać. Nie mogła się zdobyć na porzucenie czarującego towarzystwa starszej pani i na decyzję, jak postąpić wobec nieustających zabiegów Edmonda. Spodziewała się, że po powrocie do Anglii Edmondowi szybko znudzi się to nadszkiewanie. Nie brakowało tu pięknych kobiet, gotowych skwapliwie przyjąć jego awanse. Ponadto pobyt pod dachem ciotki Letty oznaczał, że ich stosunki ograniczały się do wymiany niewinnych pocałunków. Znała go. Wiedziała, że to mu nie wystarcza. Miał wiele powodów, żeby poszukać sobie innej na jej miejsce.

Był jednak niestrudzony w staraniach o Brianę, widać pragnął ją przekonać, że jego uczucia względem niej są stałe. Każdego poranka czekał na nią na stole w pokoju śniadaniowym pięknie zapakowany podarunek, każdego popołudnia meldował się z wizytą, przynosząc jej ulubione jasnoróżowe róże, którymi był obecnie zastawiony prawie cały salon lady Aberlane.

Było to takie... romantyczne.

Do jadalni wpadła lady Aberlane z rozwianymi siwymi włosami i iskrzącymi się z podniecenia oczami. Ledwo usiadła na podsuniętym przez lokaja krześle, rzuciła:

- Czy już go dostałaś, moja droga?

Brianna miała ochotę podroczyć się trochę ze starszą panią, udała więc, że nie wie, o co chodzi.

- Dzień dobry, ciociu Letty. Napijesz się herbaty?

- Nie bądź okrutna, nie trzymaj mnie w napięciu. Wiesz, jaka jestem ciekawa twojej reakcji na ten drobiażdżek.

- Drobiażdżek? - Brianna roześmiała się, słysząc to określenie.

Edmond zdążył podarować jej szmaragdowe kolczyki, brylantową bransoletkę, naszyjnik z szafirów i kilkanaście innych sztuk biżuterii.

- Tylko w rodzinie książęcej można nazwać drobiażdżkiem prezent, który Edmond przysłał mi dziś rano. - Popchnęła wyścielone aksamitem puzderko leżące przy jej nakryciu w stronę lady Aberlane. - To musi być warte fortunę.

Ciotka Letty uniosła wieczko i ze zdumieniem spojrzała na Briannę, która nagle spoważniała.

- Och - westchnęła starsza pani na widok pierścionka z nieskazitelny rubinem, otoczonym rzędem iskrzących się brylantów.

- Powinnam go zwrócić. Nawet na moje niefachowe oko jest to zbyt szczodry podarunek.

- Więcej niż szczodry, moje dziecko - przyznała lady Aberlane.

- Nie rozumiem.

- Ten pierścionek należał kiedyś do matki Edmonda - rzekła, zamykając pudełeczko i przesuwając je w stronę Brianny. - To jego scheda.

Serce Brianny tłukło się w klatce piersiowej, nie potrafiła jednak orzec, czy ze strachu, czy z radości. Powinna się domyślić. Takiego klejnotu nie

kupuje się, przypadkiem wstępując do sklepu, by go potem podarować przygodnej flammie. Taki przedmiot powinien przechodzić w rodzinie z pokolenia na pokolenie.

- Co on sobie myśli?

- Chce, żeby jego żona posiadała to, co ma najcenniejsze - oświadczyła ze spokojem lady Aberlane.

- Ale... - Brianna zwilżyła zaschnięte wargi - czy tego nie powinna dostać narzeczona Stefana?

- Stefan, z racji starszeństwa, otrzymał klejnoty Huntleyów, Edmond zaś biżuterię po matce i ma prawo przekazać ją swojej żonie i córkom.

- Swojej żonie.

- Tak.

- Jest najbardziej upartym, trudnym we współżyciu mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam - zauważyła Brianna, ale jej przepelniony miłością ton przeczył wypowiedzanym słowom.

- Nie on jeden jest uparty - stwierdziła Letty. Obserwowała Briannę z nadkrawędzi filiżanki, z której popijała drobnymi łykami herbatę.

- Chyba nie mówisz o mnie, ciociu?

- Może jestem stara, ale nie ślepa, Brianno. Widzę, że kochasz mojego bratanka.

Trudno było zaprzeczyć. Choćby nie wiadomo jak zręcznie udawała obojętność, każdy by się domyślił, że jest po uszy zakochana w lordzie Edmondzie Summerville'u.

- Tak, kocham go.

- To dlaczego wciąż odrzucasz jego oświadczenia?

- Najpierw dlatego, że byłam przekonana, iż oświadczył mi się z litości i poczucia obowiązku. Nie mogłam znieść myśli, że kiedyś tego pożałuje i będzie nieszczęśliwy.

- A teraz?

- Teraz? - Zaczerwieniła się. - Nie mam odwagi wyznać prawdy.

- Powiedz - nalegała starsza pani.

Brianna wiedziała, że nie wymiga się od odpowiedzi. Lady Aberlane potrafiła zachowywać się jak pies myśliwski, który wywęszył lisa.

- Jeśli mam być szczerą, podobają mi się zaloty Edmonda.

Spodziewała się, że starsza pani się obruszy. Edmond był jej bratankiem i Brianna nie powinna traktować go jak zabawki. Tymczasem lady Aberlane przyjęła jej wyznanie ze spokojem.

- Aha. - Kiwnęła głową.

Wyrozumiałość ciotki Letty wzmogła poczucie winy Brianny. Czula, że musi się wytłumaczyć.

- Wszystko przez Thomasa Wade'a. Nie pozwolił na mój debiut towarzyski w Londynie, nie uczestniczyłam nawet w najskromniejszym wieczorku, jak inne dziewczęta. Całymi dniami siedziałam w domu i rozmyślałam, jakby to było, gdyby zjawił się po mnie przystojny młodzian.

- Doskonale cię rozumiem, moja droga. - Ciotka Letty pogłaskała poprzez stół rękę Brianny. - Chcesz być adorowana.

- To chyba głupie z mojej strony, zważywszy na okoliczności.

- Odwrotnie, myślę, że to bardzo mądre. Każda kobieta zasługuje na adorację. Prawdę mówiąc, Edmondowi też to dobrze zrobi - dodała z przekornym uśmiechem.

Brianna wiedziała, że Edmond nie jest zachwycony platonicznymi umizgami. Ich namiętność była obopólna, jej także dłużyły się samotne noce, ale jego starania sprawiały jej wielką radość, tym większą, że nabierała przekonania, iż zależy mu na niej, a nie tylko na miłosnym zbliżeniu.

- Obawiam się, że Edmond nie podziela twojej opinii, ciociu.

- To dlatego, że kobiety go zepsuły. Edmond należy do mężczyzn, którzy lubią walczyć o to, czego pragną. A on bardzo pragnie ciebie, kochanie.

- Nigdy w to nie wątpiłam, ale ja pragnę jego serca.

- Masz je również - zapewniła lady Letty. - Nigdy dotychczas nie był tak wytrwały w zalotach. Będzie ci do końca życia przysyłał prezenty i nie odstępował progu mojego domu.

- Myślałam, że wreszcie się znudzi.

- Nie, moja droga, on już się zdecydował. - Lady Aberlane próbowała udawać pozorną rezygnację, ale była zadowolona jak kot, który dobrał się do śmietanki. - Podejrzewam, że będziesz musiała poślubić tego biedaka, jeśli ja mam kiedykolwiek odzyskać spokój we własnych ścianach.

Brianna nie zdążyła odpowiedzieć. Do pokoju wszedł lokaj w liberii i ukłonił się pani domu.

- Lord Edmond, milady.

- No i masz ci los! - Starsza pani uśmiechnęła do Brianny. - Wprowadź go, Johnston.

Brianna niepostrzeżenie wsunęła do kieszeni puzderko z pierścionkiem. Czy zawsze będzie tak reagowała na widok Edmonda? Czowała dreszczyk radosnego podniecenia, spływający wzdłuż kręgosłupa aż do pięt.

- Dzień dobry, kochanie. - Był już przy niej, uniósł do ust jej dłoń. Długo błędził wzrokiem po wycięciu jej lawendowej jedwabnej sukni, zanim odwrócił się do ciotki. - Odnoszę wrażenie, że mnie tu przed chwilą obgadywano.

Brianna była pełna podziwu dla lady Aberlane, gdy ta bez zmrużenia oka zapytała:

- Napijesz się herbaty, Edmondzie?

- Nie, dziękuję. - Znowu zwrócił się do Brianny, która była cała w pąsach.
- Właściwie przyszedłem, żeby zabrać pannę Quinn na przejażdżkę.

- Chyba trochę za wcześnie na objazd parku, nie sądzisz? - wtrąciła lady Aberlane, zanim Brianna zdążyła otworzyć usta.

- Nie jedziemy do parku.

- A gdzie? - zapytała Brianna.

- Niespodzianka.

Pomyślała o wspaniałym pierścionku, który schowała do kieszeni.

- Chyba wystarczy niespodzianek na jeden dzień, milordzie.

- Chodź, Brianno, zapewniam, że ci się spodoba.

- Chyba nie dobrałeś się do skarbcza koronnego?

Edmond był wyraźnie zadowolony. Bardzo się zmienił w ostatnich tygodniach. Zupełnie nie przypominał aroganckiego i posepnego mężczyzny, którego spotkała na balu kurtyzan.

- Raczej nie. Król dobrze pilnuje swoich rodzinnych klejnotów. Nawet królowa nie ma do nich dostępu.

- Mam nadzieję, że tak będzie nadal - zachnęła się z teatralną powagą lady Aberlane. - Ta brzydka cudzoziemka mogłaby je tylko skalać.

- Przemawia przez ciebie Angielka z krwi i kości, ciociu Letty. Jednakże dzięki tej brzydkiej cudzoziemce premier zwiększył królewskie pobory i król Jerzy czerpie pełnymi garściami ze skarbcza.

- Wielka szkoda, że równie ochoczo nie dobiera się do niej, bo mógłby mieć więcej niż jednego następcę.

- *Mon Dieu*, umieściłem Briannę u ciebie, Letitio, bo myślałem, że to przyzwoity dom - udał zgorszenie Edmond.

- Mówię to, co wszyscy myślą.

- Tak, i robisz to z niewinną miną. Podziwiam twój talent.

- Edmondzie, nie mam pojęcia, o co ci chodzi - odparła starsza pani.

Gdyby ktoś jej nie znał, mógłby uznać, że to prawda.

- Dobrze wiesz, o czym mówię. Mam tylko nadzieję, że kompletnie nie zbałamuciłaś Brianny.

Lady Aberlane spojrzała badawczym wzrokiem na milczącą Briannę.

- Och, jestem przekonana, że ma dość własnego rozumu.

- To prawda. No co, kochanie, idziemy? - Edmond wyciągnął rękę.

- Uhm... - Skinęła głową.

Bała się, co przyniesie przyszłość, nie chciała skończyć jak Wania Pietrowa i gorzko żałować decyzji podjętych w przeszłości. Zamierzała wyciągnąć rękę po szczęście, które znalazło się w jej zasięgu.

- Doskonale, chodźmy.

Brianna otuliła ramiona lekką pelerynką, na głowę włożyła kapelusik ozdobiony satynowymi wstążkami i kwiatami wiśni. Edmond doznał skurczu serca na widok ozłoconych porannym słońcem włosów okalających twarz o porcelanowej cerze i regularnych rysach.

Brianna rozjaśniała jego życie, przy niej czuł się radośniej i coraz dotkliwiej cierpiał z powodu dystansu, jaki utrzymywała między nimi. Zdobył się na cierpliwość. Rozumiał, że potrzebowała pewności, iż może z ufnością powierzyć mu swoje wrażliwe serce. Nadszedł jednak czas, aby wyciągnąć rękę po kobietę, która szturmem wkroczyła w jego życie i skradła mu duszę.

Nie chciał się przed sobą przyznać, że się denerwuje, gdy wsiadali do czekającego przed domem faetonu. Odebrał lejce od stajennego i ruszyli. Ranne powietrze było jeszcze dość rześkie, ale słońce już przygrzewało i Brianna przez dłuższy czas w milczeniu zażywała przyjemności jazdy otwartym powozem. Jednak gdy skręcili z Pall Mall w St. James's Street, zwróciła ku Edmondowi twarz

- Nie zamierzasz mi powiedzieć, dokąd jedziemy? - zapytała.

- Nie zamierzam - odpowiedział nie od razu, bo koncentrował uwagę na wyprzedzaniu ciężkiego wozu z węglem.

- Hm. - Dziwne, ale nie nalegała. - Ciotka Letty wspominała, że Stefan jest w Londynie - zmieniła temat.

Wiedział o tym. Poprzedniego wieczoru spędził z bratem wieczór w jego klubie i spadł mu kamień z serca, że ich stosunki nie pogorszyły się mimo nieobliczalnego zachowania Edmonda.

Stefan nie tylko poparł decyzję brata w kwestii poślubienia Brianny, lecz był najwyraźniej zadowolony, że jego młodszy brat się ustatkuje.

- Mają w parlamencie jakąś nudną ustawę do przegłosowania - powiedział Edmond, zwalnając powóz przed skretem w York Street. - Zanudzał mnie szczegółami chyba ze trzy godziny, ale niewiele z tego zrozumiałem. Chodziło o jakieś podatki i niezadowolonych dzierżawców. Takie sprawy nic a nic mnie nie obchodzą.

- Ciotka Letty jest amatorką, gdy chodzi o udawanie niemądrej arystokratki. Prawdziwym mistrzem jesteś ty. Widziałam na własne oczy, jak zapobiegłeś wybuchowi groźnej rebelii, o ile sobie przypominasz.

Edmundowi zrobiło się ciepło na duszy, że tak instynktownie wystąpiła w jego obronie.

- Prawdę mówiąc, pozostawiłem stłumienie rebelii Herrickowi, a sam udałem się w pościg za swoją piękną narzeczoną. Czasami mam właściwie poustawiane priorytety.

- Trochę się dziwię, że nie wróciłeś do Rosji. Na pewno cię tam potrzebują.

Czyżby chciała się go pozbyć? - Edmond zadał sobie w duchu pytanie. Niezbyt zachęcająca perspektywa.

- Po powrocie Aleksandra Pawłowicza do Petersburga pojedę do Rosji, żeby mu podziękować za wszystko, co dla mnie zrobił, ale poinformowałem już Herricka, że wycofuję się z polityki.

- A to czemu?

- Czekają mnie ważniejsze obowiązki. - Obrzucił ją gorącym spojrzeniem.

- Mnie masz na myśli, mówiąc o obowiązkach?

Brianna wyraźnie bawiła się jego kosztem, uznał Edmond.

- Jesteś moim najpiękniejszym i najbardziej fascynującym obowiązkiem.

- Czy dynastia Romanowów przetrwa bez ciebie?

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Rosja pozostanie skomplikowaną mieszaniną tradycji i nowoczesności, wielkości i straszliwej biedy, wzniosłych ideałów i ponurej rzeczywistości. Może w takim kraju car nigdy nie będzie mógł spokojnie panować.

- Nie przestajesz kochać tego kraju - powiedziała cicho, głaszcząc go po ramieniu.

Przytaknął. Złożenie rezygnacji nie przyszło mu łatwo. Służąc Aleksandrowi Pawłowiczowi, miał każdego ranka powód, by podnieść się z łóżka i oddać zajęciom, dzięki którym mógł przetrwać najsmutniejsze dni swojego życia. Nie zapomni, co zawdzięcza carowi.

- I jego ludzi. Jestem w równej mierze Anglikiem jak Rosjaninem i dłużej nie zamierzam uczestniczyć w tak niebezpiecznych grach. W każdym razie nie teraz, gdy mam dla kogo żyć. Dojechaliśmy. - Edmond ściągnął gwałtownie lejce.

Zatrzymali się przed niewielkim, ale bardzo zadbanym domem.

- Czy nie za wcześnie na wizytę?

- Na pewno nie. Nie ma nikogo w domu.

Stojąc u boku Edmonda, przyglądała się pomalowanej na biało fasadzie ozdobionej pilastrami zwieńczonymi girlandami gipsowych liści.

- Skoro nikogo nie ma, to po co przyjechaliśmy?

- To jest ta niespodzianka.

- To irytujące, Edmondzie. - Brianna była zbita z tropu.

- Nie marudź, chodź wreszcie.

Wziął ją pod rękę i poprowadził do wejścia przez żeliwną bramę ogrodzenia. Pod drzwiami sięgnął do kieszeni i wyciągnął klucz.

- Proszę, otwórz.

- Dlaczego ja?

- Zastanawiałem się długo nad stosownym podarunkiem ślubnym, *ma souris*.

- Ależ, Edmondzie, dostałam już więcej, niż mogłabym zamarzyć.

- Świecidelka, które każdy może kupić, jeśli dysponuje pieniędzmi. Mój prezent miał być wyjątkowy. Coś, co przekona cię, że moim pragnieniem jest zapewnienie ci szczęścia.

Patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami.

- I to ma być ten dom?

Nie mogąc doczekać się, żeby Brianna otworzyła, zrobił to sam i popchnął ją delikatnie do wyłożonego marmurem holu, gdzie na stoliku z drewna czereśniowego stał wazon, a w nim bukiet świeżych różowych róż.

- Tak, to ten dom.

- Kupiłeś mi dom? - Nie mogła wciąż uwierzyć.

- No cóż, mam nadzieję, że zechcesz zamieszkać ze mną w Huntley House, albo - jeśli wolisz - w naszej własnej rezydencji miejskiej, którą moglibyśmy nabyć. Ale już pierwszego wieczoru, gdy się spotkaliśmy, wspominałaś, że twoim marzeniem jest własny dom, pamiętasz?

- Tak, ale...

- Rozumiem, *ma souris*, co to dla ciebie naprawdę znaczy - powiedział z poważną miną, chwytając Briannę za rękę.

- Tak myślisz? - zapytała, trwożnie patrząc mu w oczy.

- Bezpieczeństwo - szepnął. - Absolutną pewnością, że nie będziesz uzależniona od czyjegoś widzimisie, że jest miejsce, w którym będziesz mogła czuć się swobodnie.

- Tak - szepnęła Brianna i nieoczekiwanie się rozplakała.

Nie mógł znieść widoku jej łez. Ujął jej twarz w dłonie i kciukami ścierał łzy z policzków.

- Widzisz więc, nawet jeśli mnie poślubisz, będziesz miała własny dom, gdzie znajdziesz schronienie, gdybyś doszła do przekonania, że jestem zbyt apodyktyczny czy dokuczliwy, albo jeśli...

- Jeśli... co?

Pochylił głowę, delikatnym pocałunkiem musnął jej usta.

- Jeśli przyjdzie nam do głowy przyjechać tu, żeby się pokochać - powiedział cicho, niemal nie odrywając warg od jej ust.

Przytuliła się do niego całym ciałem, ale tylko na chwilę.

- Edmondzie... sąsiedzi - zaprotestowała, patrząc w stronę niezamkniętych drzwi wejściowych.

- No dobrze - zgodził się. - Chodźmy zatem obejrzyć wnętrze, *ma souris*, zanim zgorszymy porządnym obywateli Londynu.

Ruszyli na górę. Dom w był w pełni urządzone. Edmond z radością obserwował Briannę, która cieszyła się jak małe dziecko odwijające pakunki z prezentami w dniu Bożego Narodzenia i palcami przesuwając po prostych, ale solidnych angielskich meblach, jakby to były bezcenne skarby.

W sypialni Edmond zdołał wreszcie zmusić ją, by spojrzała mu prosto w oczy.

- I co powiesz?

- Jest cudowny. Naprawdę go kupiłeś?

- Złożyłem właścicielowi ofertę, ale nie podpisałem umowy, bo nie miałem pewności, czy zaaprobujesz zakup. - Wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie. - Co ty na to?

Z uśmiechem, jaki musiał gościć na obliczu pramatki Ewy, Brianna pogłaskała go po policzku.

- Czy muszę wyjść za ciebie, żeby dostać ten dom?

Szerokie łóżce małżeńskie stało tylko kilka kroków od nich.

Mon Dieu, dałby tej kobiecie i tuzin domów, gdyby pozwoliła mu położyć się na tym materacu i skrócić jego mękę.

- A jeśli dostaniesz, zgodzisz się?

- Nie.

Poczuł się, jakby otrzymał cios prosto w żołądek. Cofnął się i patrzył na nią z rozpaczą.

- Brianno...

Położyła palce na jego ustach, żeby powstrzymać pełne goryczy słowa. Drugą ręką sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła małe pudełeczko. Otworzyła je. Był w nim pierścionek przysłany przez Edmonda z samego rana. Odrzuciła na bok pudełeczko, wsunęła pierścionek na palec. Edmond śledził jej ruchy z zapartym tchem.

- Tylko pod jednym warunkiem przyjmę pańskie oświadczyzny, lordzie Edmondzie Summerville'u - odezwała się, ciągnąc go za rękę w stronę łóża. - Ale tego nie kupi pan za żadne pieniądze.

Pełen zachwytu otoczył kusicielkę ramionami, zanim razem zdążyli opaść na łóże. Później wyrówna z nią porachunki, a na razie... na razie zamierzał rozkoszować się kobietą, która podarowała mu coś, o czego istnieniu nie ośmielał się nawet marzyć: przyszłość.

